

POWIEŚĆ HISTORYCZNA
Z CROŃSKIEGO
W DOKŁADZIE
OŚWIĘTLENIA

Z. M. E.

Z A M I E Ć

POWIEŚCI STEFANA ŻEROMSKIEGO

WYDANE W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ
ODRODZENIA PAŃSTWA POLSKIEGO

ZAMIEĆ

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 58634



BGZs 58634



MCMXXVIII
WARSZAWA KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

Przedruki nieuprawnione przez autora wzbronione.
Wszelkie prawa autorskie co do tłumaczeń i przeróbek zastrzeżone.
Copyright by J. Mortkowicz, nineteen hundred twenty eight.



58634

884-3

2-9/84/315
DRUKARNIA NAUKOWA T-WA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE
RYNEK STAREGO MIASTA 11

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Stojąc w oknie wagonu, Nienaski przypatrywał się ziemi francuskiej. Myślał o swych zamiarach i ich wykonaniu. Migły drzewa Chantilly, jak masy i kłęby chmur, rozelane po ziemi. Deszcz zalewał i zmywał brudne szyby. Dym buchał, urywał się i słał po zabudowanej ziemi. Szary poranek odsłaniał domy, ogródy, piętrowe chałupy, zarośla, fabryki, warsztaty. Wszystko było czarne i brudne.

Zmiana oto krajobrazu i zmiana w myślach, w uczuciach, afektach, w usposobieniu. Już jakby nie było tego serca ptasiego, które biło w piersiach, gdy się w cieniu polskich gór wałęsał. To, które teraz czuł w sobie, nasiąkło dobrze żądzą walki, a ta dawniejszą miękkość przegryzła. Nie było w nim również dawnych, sztucznych „snów o potędze“, lecz obojętna na mnóstwo zjawisk beztroska, prosty o jednym teraz zamysł: to moje i tego nie dam! W jednym tylko ciemnym punkcie nie było hartu.

Oto Paryż. W Paryżu... panna Xenia...

Nie wiedział, gdzie ona tam jest, co robi, co się z nią stało. Rok jej nie widział. Z tego jednego zagadnienia padał cień na myśli tak pracowicie teraz

wymustrowane, i na uczucia, dyscyplinowane w szkole logiki. Po powrocie do Krakowa z wycieczki w góry, z głębokim rozmysłem napisał był list do doktora Aloizego Żwirskiego z obszernem wyluszczeniem dość dziwnej propozycji. Prosił o pożyczkę pięciu tysięcy rubli na dwuletni okres czasu. Jako ewikycę zwrotu w razie swej śmierci, lub jakiej nieprzewidzianej katastrofy, przedłożył doktorowi projekt spłat rocznych, które w jego imieniu i zastępstwie uiszczać będzie lekarz warszawski, dr. Bronisław Ustański. Ten, po dostatecznej dyskusji zobowiązał się dać poręczenie na wekslu przez Ryszarda wystawionym. Ponieważ zaś dr. Brus miał nawet kiedyś w płockiem szmatek ziemi po ojcach kolonistach, posiadający wartość kilku tysięcy rubli, więc owe „dobra“ miały figurować, jako ostateczny zastaw pewności spłaty długu. Doktor Żwirski odsłonił się, jako prawdziwy (grubo zbożacy) gentleman. O żadnym zastawie nie chciał słyszeć. Przyjmował zaświadczenie wekslowe co do pożyczki pięciu tysięcy, udzielonej Ryszardowi Nienaskiemu i przysłał mu na tę sumę czek do jednego z banków w Krakowie. Oto wszystko. Łatwość w dokonaniu transakcji może nawet ubodła nieco dłużnika. Rozumiał, że mu wierzą, gdyż okazał tam, w owej Posusze, iż nie jest szelmą. Nadto domyślał się sukursu w przyspieszeniu decyzji ze strony pani Lenty. I ten domysł nie był mu również przyjemny. Lecz nie było wyboru. Pierwszy krok na ścieżce spekulanta, pierwszy manewr milionera — in spe. Korespondencya, prowadzona w tych sprawach pieniężnych z domem doktorostwa Żwirskich była sucha,

grzeczna, sztywnie krótka. W jednym wszakże liście, ostatnim, doktor Żwirski, zawiadomiony o projekcie wyjazdu Nienaskiego do Paryża „w interesach“ życzył mu kordyalnie powodzenia i w imieniu żony prosił o pozdrowienie bawiącej tamże, w Paryżu jej przyjaciółki, panny Xenii Granowskiej. Stąd Nienaski powziął wiadomość o miejscu pobytu panny Xenii. Z Berlina, gdzie bawił około trzech tygodni i gdzie pierwsze studia giełdowe prowadził, napisał do doktorowej Żwirskiej list nie oficjalny i nie suchy z prośbą o wskazanie mu ulicy i numeru mieszkania panny Granowskiej, gdyż te nie były mu znane, a chciał ściśle spełnić zlecenie. Prosił o nadesłanie listu z odpowiedzią na poste-restante jego nazwiska do głównej poczty paryskiej. Obecnie, docierając do wielkiej stolicy miał chwilami wrażenie, że zdąża do tego celu poto jedynie ażeby tam otrzymać list pani Żwirskiej. Posiąść adres! Jak też teraz wygląda Xenia? Czy zeszczupiała i przybladła? Jakie też teraz są jej oczy? Czy to są te same czarne płomienie, — chwiejne i porywające melodye? Jakie też nosi suknie? Czy jest taka sama, jak dawniej, czy się zmieniła? Co robi w tem mieście? Mieszka z ojcem, czy sama?

Skoro tylko zaczynał zatapiać się w rozplątywaniu tych pytań, ogarniała go tęsknota napastnicza, niepokojna, wybuchająca. Nie mógł usiedzieć na miejscu, nie mógł ustać w korytarzu, poganiał pociąg i wyprzedzał go chyżemi myślami. Za chwilę przypominał sobie wszystko i karmił w sobie tę słabość. Przyduszał ją wtedy i usiłował znieczulić. Lecz przy-

duszona istniała, jak zimny pocisk, o którym każdej chwili należało pamiętać, ażeby przypadkiem nie wybuchł. Było z tem niedogodnie w sferze myśli trzeźwych. Ta utajona troska zawadzała, jak zawadza organizmowi chore serce, biegnące niewłaściwymi skokami. A więc przyszły finansista opierał się rękoma o futryny okien wagonu i machinalną siłą przyduszał, przytłaczał pragnienia uczuć. Pociąg gnał szybciej, szybciej...

Oto uareszcie ukazało się miasto czarne i zadymione, dworzec Północny — miejsce tylu głębokich wzruszeń... Wędrowiec ujął w rękę tłumoczek, wysiadł i szybko wydostał się na ulicę. Późnojesienny, iście paryski deszcz zalewał chodniki. Ryszard zbiegł do Métro i pojechał wprost do swojej starej dzielnicy. Tam tylko mógł mieszkać i żyć. Tam był Paryż bliski i znany, jakby część ojczyzny. Wylazłszy z podziemia, udał się do hoteliku, gdzie dawniej biedował. Właścicielka, ukryta za swą szybą, siedziała w tem samem krześle, przed tym samym stolikiem, jakby ją wczoraj osierocił. Bardzo się (pozornie) ucieszyła, — nadewszystko, gdy zażądał numeru daleko większego, niż dawniej, na drugim piętrze i z bardziej okazałymi meblami. Trudno zaś byłoby opisać jej macierzyńskie roztkliwienie, gdy z góry za miesiąc zapłacił. Ten sam tedy wydeptany dywan na schodach i ten sam zapracowany aż do śmierci Adryan, pocziwy, łysy garson, życzliwy, dobry, wytrawny biedaczysko-pracownik. Przywitał się z dawnym klientem, jak istotnie ktoś z rodziny. Pogawędził o życiu krótko, węzłowato, a doprawdy —

doprawdy, jak filozof przenikliwy i głęboki. Jednakże nie była to chwila odpowiednia do gawędki. Przybysz pożałował snu.

Pokój był od ulicy, niemal narożny. Oto ta sama spokojna i cicha prowincja paryska, te same czarne, monotonne, wielopiętrowe pudła dzielnicy starej, jak świat, które już do końca świata tak tutaj będą systematycznie rentować. Dwa okna, zaopatrzone u dołu w żelazne balustrady, dawały widzieć całą ulicę. Na ten właśnie szczegół zwracała uwagę gospodyni, wizytując miłego gościa...

Sen nie przychodził. Drzemanie, przerywane przez jedną wciąż żądzę, przez myśl o poczcie, — huk w uszach po tak długiej drodze... Przelotne spostrzeżenie, że deszcz nacichł cokolwiek, — pchnęło z łóżka. Nienaski umył się, przebrał, przebrał starannie, w najniewinniejszej myśli, bez żadnego zamiaru, poprostu, jak człowiek, który przyjechał do miasta i wychodzi między ludzi. Starym „samowarem“ Mont-Rouge — Gare de l'Est, który dziś powiększył grono inwalidów i przeszedł do dziedziny historycznych wspomnień, — jechał aż do ulicy Etienne Marcel. Idąc później co tchu zabłoconym chodnikiem, nie zupełnie był panem swych uczuć. Raz wraz, bez przyczyny zaglądał w poprzeczne ulice i świdrował oczyma grupy przechodniów. W miejscach wolnych od tłumu biegł cwałem. Cóż miał począć ze sobą? Nie mógł panować nad wzruszeniami, pobudkami, impulsami. Nie mógł utrzymać na smyczy niegodnych trwóg i nikczemnych kurczów, spazmów i samowolnych biegów serca. Minał pośpiesznie wej-

ście, owo wejście o trzaskających drzwiach, które puszczały ręce zgorączkowanych ludzi, — hałę, w której luk jest ciągły, jakby tu się rozbijały z łoskotem wieści o sprawach rodu ludzkiego, które tam, jak wezbrana przepływają powódź, — i dopadł litery swego nazwiska w dziale poste-restante. Na zasadzie okazanego biletu oddano mu list. Poznał pismo pani Żwirskiej. Ucieszył się i uspokoił. Ta uciecha sprawiła w całym ciele ucieszenie, obojętność, nawet niechęć, — nawet niesmaczne zdziwienie, że przed chwilą mógł się tak forsownie i bez potrzeby wzruszać. Bardzo prędko przebiegł list oczyma. Był krótki. Pani Żwirska nader przyjaźnie i grzecznie przeproszała go, że nie może mu przesłać adresu panny Granowskiej. Zna ten adres, lecz, — niestety! — mimo najszczerzej chęci i z prawdziwym swym żalem nie może go wskazać w liście, jak sobie tego życzył, a to z tego powodu, iż osoba zainteresowana, panna Xenia Granowska zabroniła, zakazała jej pod najcięższymi zakłęciami przyjaźni udzielenia mu tego adresu. Jaka jest przyczyna tej dyspozycji, pani Żwirska nie mogła sobie zdać sprawy. Wyrażała zdziwienie z racji tego „ukazu“ swej przyjaciółeczki, a poczytywała to, oczywiście, za jeden z jej licznych kaprysów, który należałoby porządnie jakoś ukarać. Pocieszała się nadzieją, że Paryż nie jest tak znowu wielki, ażeby nie było możliwości odnalezienia miejsca pobytu kapryśnicy, pomimo i wbrew jej woli. Przeciwnie, — należało poszukiwać, odnaleźć adres i zbadać do gruntu przyczynę tych fanaberyi. Muszą być bardzo ciekawe. Jest to bowiem rzecz w istocie interesująca,

co też takiego skrycie knuje ta niewdzięcznica, nie życząca sobie nawet widoku swych najżyczliwszych przyjaciół i najżarliwszych opiekunów.

Krótką radość i niedługi zdrowo-żywotny spokój, wszystko dodatnie, co w normalnym, tęgim człowieku stale być powinno, znowu runęło, jak słup piasku. Ryszard wyszedł. Och, jakże teraz straszliwie, z jak dyabelskim łoskotem zatrasnęły się za nim te automatyczne, pocztowe drzwi! Zdawało się, że od ich łoskotu rozpęknie się serce. Ono wiedziało, co znaczy zakaz udzielania adresu! Ironia tego listu... Wyrażenia, zwroty, terminy „kapryśnica, niewdzięcznica“ — wzdrygnięciem przenikały głąb jestestwa. Pamięć nie mogła wytracić ich, otrząsnąć ze siebie. Czepiały się człowieka, jak płomyki ognia czepiają się palnego włosienia. Rozumiał dobrze, co się kryje za tą mściwą ironią. Przez krótką chwilę pocieszał się nikłą, iście pajęczą nicią nadziei, że może to jest w istocie tylko objaw złej rozkoszy tej podstarzałej piękności, która sobie na nim zemsty używa. Lecz nie! Po chwili wiedział już, że nie. Wysunęły się logiczne przesłanki. Pierwsza przesłanka: nie chce mnie już widzieć. Druga przesłanka — nie do sformułowania, jak pchnięcie noża. I wniosek: już jest zapóźno. Zapóźno! Bezdenne otchłań była pod nogami, na równej drodze. — Pocóżem ja jej dał wyjechać z Warszawy? Cóżem ja zrobił! — zakrążyły się, zakotłowały myśli, jak więdzmy. A więc wonne usta Xenii już kto inny całuje, — radosne oczy na inne spojrzenie czekają! Może w tej chwili, która mija, ona patrzy w czyjeś oczy, tak, jak wówczas...

Szedł przed siebie blady na twarzy, ze zmarzniętymi palcami nóg, wysiłkiem woli, trudem fizycznym siłę wzroku wydobywając z oczu. Była godzina jedenasta rano. Tuman deszczowy, przesiąknięty ciężkimi opary tej niskiej, starej części miasta, zasłaniał ulice. W grubej mgłę dał się postrzedz posąg króla na koniu, — bolesny od tej chwili nazawsze kształt. Widmo ohydne werznięło się i wryło w duszę.

Po pewnym czasie, idąc wciąż krętymi ulicami, Nienaski jakby zapomniał o tem, co mu się przydarzyło. Jakies pociechy... Małoż to na świecie zawodów... Pierwszyż to i ostatni? 'Tyleż to tylko jest do przeżycia: — panna nie pozwoliła mu zakomunikować swego adresu?... Wielka rzecz! Już też zapewne i nie istnieje ta „panna“ Xenia, więc coś dziwnego, że nie chce zobaczyć się z dawnym „narrzeczonym“. A więc może lepiej... Do pioruna, — skoro chce przepadać, niech przepada! Ostatnia to jest o niej myśl! Ostatnia myśl! Tak. Myśli o niej zostały wytępione. Jakies wspomnienia, nad którymi świadomość nie panuje, wałęsają się wokół, jak ta mgła uliczna wokół ciała. Wycieruch knajpiarski w cukierni w Warszawie przypominał się, gdy opowiada o kelnerze, zwijającym się w okół, że ten, taki idyota z pozoru, jest najzawołanyszim na Warszawę stręczycielem. Zbija hycel, majątek i udaje prostaka nie umiejącego trzech zliczyć. Ciekawe jakies szczegóły, przykłady, wykazujące czarno na białem, że z najlepszych, najzacniejszych rodzin... Och, i znowu istne obcegi z żelaza wyrrywają żywe ciało! Głowa kołem się toczy, traci moc swą i władzę, jak uderzona obuchem...

Właśnie dał się słyszeć odległy a potężny hałas giełdy. Wychodząc z ulicy poprzecznej na plac giełdowy, Nienaski przypominał sobie, poco przyjechał do Paryża. Przecie nie po to, żeby bezradnie i bezmyślnie rozpaczać w jego ulicach... Przypominał sobie — i jedną myślą, niby dokładną, stałą, wyprobowaną miarą zgruntował swój głęboki zamysł. Pomacał ręką lewy bok, gdzie w wewnętrznej kieszeni kamizelki, starannie agrafką zapiętej, pielęgnował dziesięć tysięcy franków, — logarytm miliardera. Zawrócił na lewo i po szerokich, mokrych stopniach wyniosłe wkroczył między korynckie słupy gmachu giełdy. Próżnia w głębi piersi, wyrwanie duchowego jestestwa, jama, na której dnie skowyczy ohydny ból, — i coś z tego? Trzeba jakiegoś fizycznego ucisku, jak się zaciska palcami rozdarcie tętnicy. Niema innego ratunku! Wstępując na schody, przybijał w sobie, usiłował zawalić wyrwę duszy wrzaskiem giełdziarzy. Był to na razie środek dobry, lekarstwo pomyślne.

W przedsionku, pośród filarów działała już na dobre kulisa, zawodowi spekulanci, faktorowie prądów skrytych, intryg podziemnych, agenci prywatni, udający zwyżkowców dla ukrycia istotnej gry na zniżkę. Większość ich stała na ławach i fundamentach słupów, wykrzykując w niebogłosy swe apport'y. Nienaski w tej minucie nie miał usposobienia do zgłębiania treści obrotów. Przysłuchiwał się biegowi gry i przyglądał twarzom, gdyż to sprawiało mu ulgę. Na podwyższeniu stał młody żyd, przez którego grdykę przelatywało istne szczekanie nazwy waloru.

Wśród natłoczonych grup wałęsał się starzec z wolem na szyi, który zdawał się łkać wciąż jakimś dźwiękiem, zrozumiałym jedynie w tem stadzie. Wbiegali wciąż nowi przybysze, tłoczyli się dokoła starych kolumn, nasłuchując, z okiem wlepionem w krzykaczy. W myśl ustaw giełdy paryskiej, która pozwala wchodzić do wnętrza bez żadnej opłaty, Ryszard wkroczył do sali. I tam już wrzało. Dokoła parkietu tłoczył się tak zbity i zwarty ścisk mężczyzn, że przybywający zzewnątrz nie byli w stanie dosięgnąć ręką balustrady dla oddania swych zleceń pośrednikom urzędowym, pracującym w centralnej corbeille. Tłumy kombinatorów, zwartych w grupy, zaciekle dyskutujących, samotnych i ruchliwie czynnych napelniały galerye, otaczały filary i płynęły tam i sam w chargoczących zespołach w głębi sal. Pewien stary wyga z bokobrodami, w cylindrze na tyle głowy uchodził z miejsca na miejsce przed ścigającą go zgrają, istny odyniec w opresyi kundysów i ogarów. Wśród tłumu przesunęła się zmurszała figura starego Ogrodyńca. Szedł z uśmiechem pogodnym, jakby na poobiedniej przechadzce, witając uprzejmem skinnieniem głowy tę lub ową personę. Ryszard unikał zetknięcia się z tym dziadygą, aczkolwiek zanotował sobie w myśli, że teraz należy wejść z nim w stosunki giełdowe. Raz wraz wbiegali woźni z telegrafu ze stosami depesz, które natychmiast znikaly. Każde takie wessanie nowej fali wiadomości podniecało wrzawę, czyniło ją intensywną, namiętą, rozpasaną aż do szału. Nienaski, potrącani i wymijani przez tych ludzi opętanych od jednej myśli, o twarzach

zdrętwiałych, oczach szalonych, albo zimnych i zbójeckich, jak u rekina, czy krokodyla, — ślaniał się wpoprzek i wzdłuż, pełen rozdwojonego, jakby dwumózgowego zamyślenia. Stanął przy jednym z filarów, oparł się oń plecami — i kombinował. W tej chwili był zaiste na giełdzie i to na giełdzie swojego życia. Wśród piekielnego wrzasku graczy, który pod sklepieniami sal przeradzał się w jednostajne, jednotonne, chóralne brzmienie skomlenia, — przepływała myśl o stracie. Głośniejszą była ta myśl, niż ów ryk szalonych rządców świata. Nadaremnie, nadaremnie przedsiębrać wysiłki! Nic jej nie mogło uciszyć... Była to bowiem treść wszystkiego. Ślepe cierpienie od przeszycia ciosu, naga klęska, na którą nikt już nie poradzi... Nie przyjdzie znikąd ulga i żadną miarą nie ustanie długość bólu! Tylko śmierć mogłaby go przeciąć i zniszczyć. Lecz człowiek nie umiera wówczas, gdy chce. Właśnie musi żyć, przetrwać całą długość cierpienia, zmierzyć sobą całą jego szerokość. Ryszard myślał spokojnie, jaka w tem jest nędza haniebna, że nie można przełamać jej wysiłkiem, rzutem świadomego gwałtu woli. Chciał wejść już w sferę giełdziarstwa, stać się już tym szachrajem, który z zaparciem się siebie będzie tu gromadził niegodziwy kapitał do walki o nakreślone cele. Chciał już dziś otrząsnąć się i zaczął próbować sił tu albo tam, na los szczęścia, zrobić eksperyment, kupować wartości zgoła nieznane, nie mając olbrzymich sum na uiszczenie ceny kupna, bez zamiaru nabycia ich naprawdę i w rzeczywistości. Jutro będzie sprzedawał walory, których w chwili aktu

sprzedaży wcale nie będzie posiadał. Pojutrze, jak ci oto wszyscy, nabędzie papiery, żeby je znowu przed terminem dostawy odprzedać, — odstąpi akcje, które dopiero przed dostawą kupi, — osiągając zyski na zmianach cen. Przelotnie, pobieżnie, jakby wtórnie poza swą myślą główną, rozważał teraz konieczność wejścia do jakiejś szajki sprzysiężeń haussier'ów, albo baissier'ów, — konieczność poznania metod układu min i kontrmin giełdowych. Miał wreszcie ze sobą tyle pieniędzy, że już dziś mógł rzucić się na jakoweś interesy premiowe, kupować akcje, zgóry uiszczając nadpłatę kursu. W ten sposób, gdyby kurs był niedogodny, lub nic nie wart, będzie miał prawo zrzczenia się nabycia, lub bezpiecznej sprzedaży na dostawę. Miał tyle ze sobą pieniędzy, że mógł nawet płacić zadatki na przepadłe dla zawarcia jakichś umów spekulacyjnych. Ślizgał się myślami po tych właśnie spekulacjach, tak mu dotychczas obcych. Myśli poślednie o nich i wzgardliwe miały się teraz stać siłami najgłówniejszemi, czynnością stałą i celową, ponad wszystko wyniesioną. Oglądał je w sobie ze śmiechem, jako wrogie najście zwierzęcych żywiołów. Z przymkniętymi powiekami słuchał huku zewnętrznego i płaczów wewnętrznych. Miało się to teraz jednoczyć w pospolitość, w zdrową codzienność. Dźwigał przeciwko swej niemocy taran taki, albo owaki, któryby ją skruszył u podstawy. Zabije nim ową Xenię! Lecz niemoc żalu była mocniejsza, niż wszelka zewnętrzna i wewnętrzna siła. Przeciw niemu występowały tylko wyrazy i wyrazy...

Znowu przelotne widziadło oczu jej, patrzących

w cudze oczy! Usta jej, uśmiechające się w inną stronę... Kto inny już napawa się czarodziejstwem tego uśmiechu... Cóż można było poradzić na to widzenie? Runęło w niwecz wszystko. Zwała się moc ostatnia, jak gmach zburzony. Ciemność. Rozpacz chwyta za gardło. Serce tylko jest samo na świecie. Myśli lecą, jak gnane od wichru iskry i perzyny z płonącego domu. Z dzikiem przekleństwem na ustach, z szalonemi modlitwami w struchlałym sercu począł przebijać się, przerzynać wskrós tłum. Najdrobniejsze potknięcie, najnaturalniejsza przeszkoda stawiała się nieszczęściem. Straszliwy wrzask ścigał go, jak przekleństwo na śmierć, gdy zbiegał ze schodów. Jedna jeszcze myśl, nadzieja w formie zamiaru... Wsiadł do kolei podziemnej i dał się unosić. Cóż poradzić? Niewątpliwie tak, — modlił się w głębi, wzywał Boga, żeby ją ratował od zguby, żeby ją wyrwał z otchłani. Wysiadł w Chatelet i przeszedł przez most. Zawrócił szybko do biura adresowego w pałacu sprawiedliwości. Długo tam czynił poszukiwania, żeby wreszcie otrzymać suche zawiadomienie, iż osoba tego nazwiska, Granowska Xenia, nie jest zapisana w księgach biura i nieznana z miejsca swego pobytu. Wyszedł.

Głębokość przepaści odtrącenia — w noc zamieniała dzień, a noc w katownię, która zabija sen. Słowo z natury swej musi się kusić o porządek, systemat i wdzięk, a przepaść odtrącenia była wrogą i przeciwną naturze człowieczej, jak głód albo gorączka, —

więc słowo oddać jej nie może. Ta niedola, ta niemoc ducha była wytrwalszą, niż choroba fizyczna i dokuczliwszą, niż wyrzuty sumienia. Siadała u łóża, po którym tarzał się kadłub bezsilny, ze śmiechem drwiąc z łez. Drwiła zaś z łez grubym i tęgim dowcipem. Chodziła za rozszarpanym w sobie człowiekiem krok w krok, wszystkimi drogami, — szpieg — który wszystką rozkosz miłości widział, podpatrzył, znał, spisał w swym protokole, a teraz za każde jej radosne tchnienie szczerze wymierzy zapłatę na podstawie nieubłaganego paragrafu. Przedziwne się wysunęło na pierwsze miejsce prawo odwetu: dokonanie klęski zbliżało wspomnienia. Wszystek ogrom szczęścia wyszedł na jaw i okazał się, jako skarb bez ceny, skarb, którego już niema wcale. Gdziekolwiek wzrok rzucił się po ulgę, dokądkolwiek posunęła się myśl, usiłująca zaczerpnąć zdrowia, zewsząd spadała furja zemsty, krzyk odwetu bez miłosierdzia, nieszczędzący cios kary. Przedmioty, zjawiska, kształty, myśli, przywidzenia, nawet przelotne sny — stały się teraz, jak organizmy, zatrute jednym jedynym jadem. Miały w swych głębiach, pod swojemi powierzchniami, jakgdyby miny i wybuchy wiekuistego wspomnienia. Klęska straty była wszędzie w tem mieście ogromnem, biegła rojowiskami ulic, — jak czarna mgła objęła place, — jak niewidzialna dla nikogo żałoba powiewała z gmachów. Zza wszystkich szyb spozierało nieogarnione dla słowa, niewypowiedzialne zjawisko „niema“, — ohydna próżnia, w której duch kona. Wszystkimi drzwiami wchodziła wieść jedna, wręczająca zawsze jednaki wyrok. Spojrzenie stało się

głodne jednego tylko kształtu, okrutne i złowrogie dla ludzi za wstrętną ich wszędzieobecność, za ich niewiadomość o istocie zgryzoty, za ich śmiech kатовski, dziki, tratujący bezsilną niedolę. Myśl się zwężyła i spłaszczyła, stała się twardą i ostrą, jak kinżał. Jakże być mogło inaczej? To miasto porwało i ci ludzie pochłonęli w swych wirach duszę świata, serce zjawisk. Zginęła jedna kobieta, „puściła się“ jedna więcej dziewczyna? Nie! To ziemia umarła, dusza czująca stała się bezpłodną, a cmentarz o tysiącu grobów zaległ od krańca do krańca... Jakże się było dowiedzieć, od kogo wyrwać tajemnicę, gdzie Xenia jest w mieście Paryżu? Wypatrywał, wypatrywał, wypatrywał z za szyb autobusów, z wyżyny starych tramwajów — aż do pęknięcia oczu, — jeżdżąc umyślnie wzdłuż i wpoprzek, tam i sam, najrozmaitszymi ulicami, — w tłoku podziemnych kolei, na stacyach, wśród wiru pieszych. Mijały dnie i tygodnie wałęsania się aż do późnej nocy w tłumach z jedną wciąż myślą i z tą iskierką nadziei zagaszoną od westchnień, zalaną łzami, — że ją przypadkiem spotka. Wyczerpie się przecie wszelka moc kary, — Bóg się zmiłuje. Ta przepaść, na którą między nim i sobą wskazała przez swój zakaz, — zginie z oczu, odejdzie ze snów! Rozpytywał przeróżnych bywalców, wydrwigroszów, najemników do każdej usługi, włóczykijów, knajpiarzy, hultajów nocnych, gogów paryskich i zawadyaków, hyclów i chodzików, którzy znają wszystkich niemal w tem mieście i wszystkie plotki umieją na pamięć. Znali tu w istocie skryte brudy wszystkich mężczyzn i

wszystkie cnoty kobiece przejrżeli pod światło, mogli wymienić adres każdej Polki, która się przewinięła przez te ulice, prócz jednej tej jedynej, poszukiwanej...

Ktoregoś dnia spełnił rzecz upadającą, niską, ostateczną: napisał list ugrzeczniony, chytrze pokorny, w istocie żebraczy do pani Sabiny Topolewskiej, za wszelką cenę dopraszając się o adres Xenii. Przyrzekał solennie, iż do niej wcale nie pójdzie i nie będzie się ze swą osobą narzucał. Pragnął tylko wiedzieć nazwę ulicy i numer domu. Nic nadto! Zaprawdę, — tylko to chciał teraz wiedzieć! Przecie sam honor nie pozwala pchać się koniecznie, gdy jesteśmy źle widziani. Maksyma to była ściśle przestrzegana zmarłej matki: „gdzie cię bardzo zapraszają, tam rzadko bywaj, a gdzie cię nie proszą, tam niech noga twoja nie postoi“. Cóż dopiero, gdy ostentacyjnie zakazują do siebie przystępu! Przez swą rekę Xenia oświadczyła wyraźnie, że abdykuje z miłości i nie jest spragniona jego widoku...

Ale ją zdaleka zobaczyć! Żyjącą! Ujrzeć ją, — Xenię! Iść za nią zdala i popatrzyć na jej postać, ruchy, głowę... Zdaleka, — na wszystką nieskazitelną honoru, — zdaleka! W kawiarni, na rogu ulicy du Bac i nadrzecznego bulwaru, gdzie ów list wśród takich uczuć pisał, — niemal na jawie widział Xenię w głębi swych oczu i poprzez to widzenie stylizował swą upadłą prośbę. Odniósł ją na pocztę i czekał na odpowiedź. Minął tydzień, drugi... Wówczas poszedł na ulicę Etienne-Marcel. Był list od tej pani, długi, wesoły, bezlitośnie żartobliwy — i bez adresu. Pisała,

że nie może „zdradzić“ kuzynki tak blizkiej, która wyraźnie sobie i wielokroć zastrzegła, iż nie chce spotykać się z nim w Paryżu. Pani Sabina dodała z ubolewaniem, iż ta dziwaczka Xenia dwa razy już specjalnie pisała do obudwu pań posuchowskich z gorącą prośbą o zatajenie jej adresu, choćby „pan Nienaski“ najbardziej się tego domagał.

A więc znowu z podwójną furją — w kościołach, sklepach, parkach, teatrach, kawiarniach, w teatrzykach varietés, noctambul'ach, w nieskończonych i nieprzemierzonych ulicach, w ulicach wiekiście pełnych po brzegi, przepchanych ludźmi, a pustych, jak rzymskie katakumby... Po południu, o zmierzchu, wieczorem, w nocy — szukał, wypatrywał, czekał. Oczy popadły w istny obłęd wzrokowy, serce biło wśród dymu modlitw. Nieraz zdarzyło się tyni oczom i temu sercu przeżyć straszliwe złudzenie, pomyłkę, istotną fatamorganę. Ktoś w tłumie tego samego wzrostu i postawy... Identyczne ruchy na schodach muzeum Louvru... Włosy i część profilu w kawiarni „Lutetia“... Śmiech taki sam w cieniu kinematografu... Przebudzenie z tych złudzeń było gorsze, niż wszystko, niż samo odtrącenie. Spychało w dół, jak kolana siepaczków, natrzasało się z chichotem, jak wykonanie uchwały spiskujących szpiegów. Pewnego wieczora, na koncercie w kościele Sorbony wysłuchał Orfeo Glucka. Śpiewano w starej, włoskiej słownej transkrypcji to dzieło hoffmanowskiego „Kawalera“. Głos altu rozlegał się w nawie kościoła, a po prawdzie gdzieindziej, w tem piekle bezbrzeżnem, gorszem, niż tamto, w tem kolisku żywych, bardziej

pustem niż tamten hades umarłych. Arya spadła w serce słuchacza, w przepaść jego męczarni i jego własnym stała się głosem:

Che faro senza Euridice?
Dove andrò senza il mio ben?
Euridice! Euridice!
Rispondi! Rispondi!
Oh, Dio!
Io son pure il tuo fedele...

Potem jeszcze ten ton przezroczysty, poprzez który widać materyalną postać straty, głos o bezwzględnej wymowie dokonanego nieszczęścia:

„Ah, non m'avanza piu soccorso, piu speranza, nè dal mondo, nè dal cielo!

Che faro senza Euridice?“

Każde z tych słów było własne, jedyne, zawierające wszystko.

Nie melodya, lecz istota sprawy. Nieprzemierzoność klęski leżała w krótkich tonach...

W tym czasie Ryszard Nienaski stał się okrutny i wewnętrznie wyzwolony z wszelkiej miękkości wzruszenia. Był niewątpliwie sobą, porządnym człowiekiem, lecz jakże blisko stał od najbezwzględniejszej decyzji! Wzrok jego stał się nieprzyjazny, rżnący, ostry i migotliwy. Gdy dostrzegł ludzi szczęśliwych, zakochanych, nachylonych ku sobie, jakże umiał cenić widok ich miłości! Pewnego dnia z okna swej izby zobaczył parę szczęśliwą. Śliczna kobieta chwyciła rękę mężczyzny i okrywała ją szalonymi pocałunkami... Szli chodnikiem, jak oblakany dwug-

los pieśni, nie wiedzając, że ktoś, patrząc na nich, wyłamuje aż do zdruzgotania i kasa swe palce, skowyczy jak pies... Jakże to ten podglądacz cudzego szczęścia rozumiał miłość, którą pokazywano na scenie! Sztuka odkrywała przed nim swe zabiegi, sztuczki, wszelkie mamiidla i wysiłki roboty — i prawdę z jej zapadniami i przemysłowością wyników natury. Rozumiał się na istocie rzeczy miłosnych. Mierzył je, jak nieomylny znawca. Często na dramacie „poety“ w teatrze parskał śmiechem i wychodził w półaktu. Kiedy indziej rozumiał twórcę, może pierwszy i ostatni, może od momentu utworzenia dzieła. W pewnych dniach muzyki nie mógł znieść, nienawidził jej tkliwości, jej siły przypominania. Kiedy indziej przywierał do niej, do jedynej pocieszycielki, do tej ostatniej deski ratunku w zdziwczale i rozhukanem morzu życia.

Pewnego dnia rano ubrał się porządnie, zszedł do Métro i wysiadł aż w Passy. Na jednej z nowych ulic odszukał dom, znany mu z dawnych czasów, i wszedł na pierwsze piętro po wspaniałych marmurowych schodach, szczerze wysłanych dywanem. Stał przed drzwiami mieszkania pana Henryka Czarny i nacisnął krążek dzwonka. Niezwłocznie otworzył mu drzwi wyfraczony lokaj i wprowadził go do salonu. Wziąwszy bilet wizytowy, bez szelestu wyszedł. Nienaski usiadł w fotelu i czekał. Oczy jego błądziły po ciemnym, strzyżonym dywanie, który zaścierał olbrzymi salon, po meblach, krytych błękitnym at-

łasem, po obrazach i drogocennych sprzętach. W rogu salonu stał marmurowy posąg, wizerunek nagiej dziewczyny. Białoróżowy, przezroczysty marmur uwydatniał w sposób plastyczny piękność nagości ukrytego, dziewiczego łona. Widok tego marmuru zmącił i zmieszał szyki duchowe i zepsuł na nic porządek siłą wytrzeźwionych myśli petenta. Zgryzota poczęła opadać znowu, jak ciemna noc, na przedmioty, pojęcia, impulsy. Stało się po dawnemu duszno i ohydnie. Wyjść, wymknąć się, uciec! Było już za późno. Na progu stanął tenże służący, skłonił się i uchylił drzwi do sąsiedniego gabinetu. Nienaski musiał iść po dywanie, jak po miękkiej trawie łąki. W owym gabinecie, zastawionym ciężkimi meblami, obwieszonym mnóstwem obrazów, rysunków i sztychów, przy ogromnem biurze, zajmującym środek pokoju, niby przy ołtarzu starej bazyliki, czekał inżynier Czarnca. Był to wysoki, pękaty mężczyzna, czarny, aż fiołkowy brunet, z włosami przystrzyżonymi przy skórze niemal w kwadrat. Śpiczasta broda, w trójkąt znowu przystrzyżona, obejmowała jego czerstwą i tęgą twarz, niby kłamra z żelaza. Mięsiste, czerwone usta były czegoś nieprzyjemne. Na widok gościa te usta pokryły się niby uśmiechem, grymasem towarzyskim. Inżynier wyciągnął grubą prawicę ruchem zdecydowanie gościnnym, który jednak w gruncie rzeczy był odtrąceniem na dystans. Z udanym entuzjazmem zawołał:

— Kogo widzę? Lata, lata minęły! Gdzież ty pan bujał? Co pan ze sobą poczynił?

Nie czekając odpowiedzi na tyle i tak natarczy-

wych zapytań, przysunął gościowi fotel, tak miękki, że w nim było żyć nie umierać, sam osiadł za swem biurkiem na czemś w rodzaju rzeźbionego tronu i, nachylając się porozumiewawczo, z przymrużeniem oka pytał:

— Kotyzacyjka? Nieprawdaż? „Pomoc“, „Biuro“, biblioteka, czy owo zgola odbudowanie ojczyzny?

— Ani jedno, ani drugie, trzecie, ani nawet nie czwarte...

— Pojmuję. Nie od dziś znamy się i wspieramy. Powiedzmy sobie, żeby orientację ułatwić, we dwu słowach, — ile?

Pozwoli pan, że mu zajmę chwilę czasu. Nie przychodzę w interesie żadnej z tutejszych instytucji, ani po składkę na odbudowanie ojczyzny.

Inżynier najzupełniej konspiracyjnie odetchnął. Na znak uwagi zsunął swe czarne brwi, gdy Nienaski mówił:

— Chciałbym zasięgnąć od pana rady w kwestyi czysto osobistej.

— Jestem wszystek, jak tu stoję, do dyspozycji. Dla pana — wszystko!

— Poszukiwałem tu dawniej zajęcia i zarobków dla innych. Teraz szukam miejsca dla siebie.

— Nosił wilk owce, ponieśli i wilka... Posady?

— Zapewne, ale zyskowej.

— Myśl godziwa. „Posady zyskowej“... W Pa-ryżu? — podkreślił pytanie nie bez ukrytej ironii.

— Niekoniecznie. Raczej gdzie daleko. Na przykład — w koloniach, nad Kongo, w okolicy je-

ziora Osad, w Kochinchinie lub na Martynice — byleby można wkrótce a znacznie zarobić.

— Tiens! Wszakże to pan, jeśli mię pamięć nie myli, architekturę nową, monumentalną, wyzwoloną z dawnych więzów... Nieprawdaż?

— Tak jest. Nosilem się dawniej z myślami lekomyślnymi o ciężkiej, nowoczesnej architekturze. Dziś podjąłbym się wszelkiej pracy, imprezy niebezpiecznej, byleby nie była łajdactwem albo złodziejstwem — dla zdobycia pieniędzy.

— „Zdobycia pieniędzy“? Tiens. Jeszcze jedno... Wszakże to pan, jeśli mię pamięć nie zawodzi — aprobaty sabotażów, oczywiście ideowe — w tym rodzaju... — poważnie szydził pan Czarnca.

Nienaski nie podniósł tej rękawicy. Ciągnął dalej swe upokorzenie z zupełną obojętnością:

— Wiem, że szanowny pan ma tu wielkie, różnorodne i rozległe stosunki, że pan zna ludzi bardzo wpływowych, szefów, podsekretarzy, senatorów, że w domu pańskim bywali ministrowie...

Inżynier Czarnca potrząsał głową niby to z odparciem tych twierdzeń, a właściwie z wewnętrznem upajaniem się dumą.

— Ministrowie... — mówił. — Parę razy był tu u mnie dawniejszy minister handlu, dziś zero i gaduła w senacie. Paru innych... I cóż stąd, panie? Są to znajomości towarzyskie. Gramy w brydża i gawędzimy o kobietach. O cóż panu idzie?

— Okoliczności mego życia tak się ułożyły, że muszę zrobić majątek.

— Aż miło słyszeć, że się komuś tak układają

okoliczności życia! Zrobić majątek? Nic łatwiejszego!

— Widzę to... — rzekł Nienaski, przenosząc wzrok z przedmiotu na przedmiot w tym gabinecie. Gdy tak patrzył, ukłuła go, jak żądło żmii, świadoma myśl:

— Xenia gdzieś, w takim może salonie, u takiego może draba...

Głośno oświadczył:

— Nie jestem dzieckiem. Dawno, przed laty skończyłem trzydzieści lat życia. Chciałem pana, jako człowieka bogatego, prosić o wskazówki, do kogo się tutaj udać, żeby otrzymać jakieś miejsce bardzo zyskowne. Wiem, na przykład, że rząd francuski organizuje i wysyła ekspedycję w celu poszukiwania złota w Afryce podzwrotnikowej — wiem, że bardzo tam dużo płacą, gdyż rzadko kto przetrzyma klimat, żółtą febrę i inne choroby. Jabym chętnie pojechał w celu zebrania funduszu na podstawę dalszych dorobków, ale nie wiem, jakich dróg szukać w celu osiągnięcia takiej posady.

— Czy pan jesteś francuskim poddanym?

— Nie.

— No, to na nic. Zresztą, już te rzeczy ustały. O, tam robiono majątki! Po pierwsze pensya szczerzłota, po wtóre bunty murzynów... — mówił Czarnca z uśmiechem.

— A cóż mogły dawać komu bunty murzynów?

— Murzyni tamtejsi — tłumaczył inżynier — nauczyli się już płukać złoty piasek. Mają zwyczaj zakopywać złoto czyste w ziemi, w środku swych chat

okrągłych z chróstu, wygwamów, czy jak je tam nazywać. Otóż, odpowiedniem postępowaniem należało zawsze doprowadzić do buntu jakieś plemię, oczywiście, takie, co umie już obchodzić się ze złotem i ocenić jego wartość. Urządzało się wówczas przeciwko buntownikom ekspedycję karną, wojсковą, w celu aresztowania hersztów i przestępców, którzy, dajmy na to, zbiegli ze swej wsi w lasy. Taka ekspedycja przejmowała wsi murzyńskie uzasadnioną trwogą, to też ludność czmychała, jak stado jeleni, i wyprawa zastawała wieś zupełnie pustą. Przeprowadzano w opuszczonych szalasach ścisłą rewizję, bardzo ścisłą, powiadam, rewizję, przetrząsano uważnie wszystko, nie wyłączając owych skrytek w ziemi, w myśl zasady *principiis obsta* — i powracano do faktoryi a nieraz wprost do Europy. Tak—ale to są już *tempi passati*. Wszystko mija, panie! Nawet Kongo minęło.

— Ja nie myślałem o tego rodzaju karyerze. Pragnę zdobyć kapitał zakładowy, dla robienia później majątku, drogą w mem rozumieniu godziwą, zgodną z obowiązującymi dziś przepisami.

— Majątek można zdobyć niekoniecznie w Kongo. Można nawet w rodzimej Galicyi, na jakiej ropie.

— Na ropie można zdobyć pieniądze, jeśli się ją wraz ze szmatami polskiej ziemi sprzeda obcym: Niemcom, Francuzom, Amerykanom, Anglikom, Belgom. Jedyne posiadacz kapitału w Polsce, magnateria, jedna z najbogatszych w Europie, nie da przecie szeląga na kupno lub eksploatację skarbow nieprzebranych Galicyi. Jakże tam robić pieniądze?

Co do mnie, chciałbym tutaj. Jesteśmy sami. Przecie to tutaj jest ten tłusty poleć, z którego warto choć trochę omasty ukrajać do naszej jałowej strawy.

— Tutaj koniecznie? — mówił inżynier w zamysleniu. — Panie łaskawy... My przedziwnie nie umiemy z niego korzystać. Magnateria nie chce dać pieniędzy na przemysł. To prawda. Ale któraż to na świecie magnateria tworzy gdzie przemysł? Przemysł wytwarzają przemysłowcy, wrogowie magnaterii, ludzie z miast, mieszczenie, burżuazya. Nie wyrzekajmy na naszą magnaterię! Jest to kasta ekskluzywna, dziwaczna, jakaś wyspa w morzu tego przedziwnego życia polskiego. Należałoby zużywać ją do innych celów, niż przemysł

— Do jakich?

— Czy pan kiedy widział salon zbogaconego milionera, Żyda warszawskiego, który wszystkimi swemi siłami zależny jest od wrogich nam potęg? W takim salonie zobaczy pan najwyszukańsze objawy kultury polskiej, nowoczesnej sztuki naszej, zabytki naszej przeszłości, zbiory, pamiątki...

— Karabele, kontusze, buńczuki i czekany...

— Tak jest. Proszę pana... Czemu taki człowiek, dla którego my jesteśmy przecie niczem, zborem nędzarzy, stroi się w nasze pióra, czemu zbiera nasze — świeć im Panie! — karabele? On usiłuje dostać się za drzwi szczelnie przymknięte naszej arystokracji. Niech mi pan wierzy, że ta arystokracja jest nie tylko dzierżycielką pieniędzy. Ma ona nieodparty urok przez swe zamknięcie, milczącą dumę, eksclu-

zywność i, cokolwiekby mówiły o niej wyjątki, przez swą głuchą polskość.

— Panie! Jak mię gniewa to, co pan mówi!

— Nie umiemy z niczego korzystać. Ani z arystokracji, ani z Żydów. Żmiech mnie bierz! Żadnego interesu polskiego, ani jednego wielkiego przemysłowego dzieła, a Żydów, którzy wylażą ze skóry, żeby się upodobnić do arystokracji polskiej — my precz pędzamy! Zamiast ich przyciągnąć, wziąć, wyżyć, my ich odrzucamy, nikt nie mając na to miejsce. Bo gdzież to jest ten pieniądz polski? Jeśli czysty Polak zabawi się w bankiera, to wnet, albo siedzi w kryminale, albo czmycha do Ameryki. A stare firmy żydowskie siedzą na miejscu. Istna komedia!

— Nie znam się na tem.

— Ani ja. Obserwuję jednakże zjawiska. Wracając do rzeczy, przeproszę pana za pewną niedyskrecję... Jesteśmy tu sami i mówimy zupełnie otwarcie... Pan nic nie posiada dziś na zakład przyszłych sum bajoniskich?

— Posiadam kilka tysięcy franków.

— Z kilkoma frankami w kieszeni puszczali się na robienie milionów konkwistadorowie nowocześni. Więc co mam czynić? Co pan każe?

— Czy nie mógłby mi pan dać wskazówki, dokąd się obrócić, jaką wybrać drogę?

— Jaką wybrać drogę? — rozmyślał pan Czarnca, patrząc w okno, za którym deszcz jesienny szumiał w ogołoconych drzewach. Rozmyślał tak długo, iż zdawał się nic nie wiedzieć o obecności gościa. Po

znacznej dopiero pauzie spojrzał ostro i bezwzględnie w twarz Ryszarda i rzekł:

— Powiem panu jasno i szczerze. Pan nie robi majątku, ani tutaj, ani gdzieindziej. Chyba przypadkiem.

— Dlaczego?

— Ponieważ pan nie idzie ze światem, lecz staje przeciwko światu. Wciąż pan coś podpiera, wydobywa, lecz, kuruje, pielęgnuje. A teraz nagle chce pan jakiś kęs właśnie z zepsucia świata wyrwać dla siebie. Jakże to?

— Tak właśnie.

— Nie bardzo w to wierzę. Panie szanowny! Zdobyć pieniądze można jedynie, waląc po czaszkach na prawo i na lewo, bez rozmyślań, że od uderzenia drągiem czaszki pękają, — wybijając zęby, przebijając kości i palce pałą niemiłosierną. Jakże to pan potrafi? Ja sobie pana przypominam... Przemówienia obchodowe... To było przecie tak serdeczne, tak szczerze, tak niewątpliwie nasze...

— Cóż począć?

— A teraz?

— Teraz to jest również szczerze i nasze. Prośby — to jest przecie rzecz tak nasza! „Podać prośbę“... cha-cha! Zabieram panu czas, ale tak muszę. Zdecydowałem się na to, gdyż pan jest człowiekiem niemałej siły i samotnej energii.

— Komplementy! Timeo Danaos et dona ferentes. Czy pan zna dziadziusia Ogrodynca?

— Znałem go dawniej dość dobrze. Był to jeden z najbardziej czynnych członków tutejszych insty-

tucyi polskich. Przychodził pilnie na posiedzenia, stąd moja z nim znajomość.

— Ależ tak! I teraz przecie to filar „Pomocy“ i „Pracy“. Dobrodziej, filantrop, opiekun — cha-cha! Jakie sześc, siedem milionów — i to serce poczcziwe, te litościwe oczka między dwoma wzgórzami nosa... Otóż panie, to jest właśnie człowiek, który wiele może. Ten ma stosunki!

Nienaski rozumiał, że ów Czarnca pozbywa się go w ten sposób. Rzekł spokojnie:

— Bardzo byłbym wdzięczny, gdyby szanowny pan ułatwił mi przystęp do pana Ogrodyńca.

— Nic łatwiejszego! Zaraz napiszemy list, który pan wręczy dziadziusiowi osobiście. Co do mnie, będę czuwał, będę miał w pilnej uwadze pańskie aspiracje i dążenia. Proszę mi wierzyć! — mówił z brwiami majestatycznie wzniesionymi.

— Bardzo dziękuję!

— A więc piszemy...

Inżynier Czarnca rozwarł wspaniałą tekę i począł pisać list. Układał go bardzo długo, głęboko myśląc nad treścią. W trakcie wystosowywania tego listu petent obmyślał i formułował pewne pytanie, z którym tu przybył. Było ono równie ważne, jak kwestye już poruszone. Stało za wszystkim, jak niejasny obłok nadziei. Gdy inżynier kładł adres na niezaklejonej kopercie, Nienaski spytał:

— Czy szanowny pan nie spotykał przypadkiem w ciągu ostatnich lat na paryskim bruku niejakiego pana Granowskiego? Jegomość to starszy, wykwintny...

— W monoklu. Widziałem go kilkakroć w cerclach polskich.

— Ale gdzie się teraz obraca nikt mi tego powiedzieć nie mógł z tutejszych znawców i bywalców...

— Nie byłem bardziej ciekawy, ani uświadomiony w tej kwestyi od tutejszych znawców i bywalców... Mówiono mi, że to jakiś aferzysta minorum gentium. Zakładał tutaj handel jajami, to znowu z jakimś podejrzanym towarzyszem coś tam majstrował w biżuteryi. Ale coś to wszystko pachniało bardziej kryminałem, niż zepsutemi jajami. Zresztą nic dokładnego nie wiem o panu tego nazwiska.

Nienaski powstał i z ukłonem przyjął list z rąk Czarncey.

Należało już odejść, bo przyjęcie trwało aż nadto długo. Mając położyć rękę na kłamce, Ryszard odwrócił się i zapytał otwarcie:

— Przepraszam z góry jeszcze za jedno pytanie.

— Słucham...

— Dlaczego pan nie wraca do kraju?

Inżynier podniósł głowę z grzecznym zdumieniem i wyniosłością. Uśmiechał się, bębniąc palcami w powierzchnię swego biura.

— Do kraju? — pytał ociężale. Jestem tutaj, jak pan widzi, pracuję, prosperuję.

— Tam trzeba na gwałt ludzi takich, jak pan, ludzi silnych, twórczych, znających europejskie metody pracy.

— Proszę pana, muszę być nieprzyjemnie szczerym. Przemysł wymaga swobody myśli i ręki, wbija pazury wszędzie, gdzie jest gleba podatna do wy-

darcia pieniędzy. Pan mię zapędz łaskawie do Krakowa, siedziby bezpłodnych sentymentów, gnuśnych przesądów i martwego biedowania. Cóż ja tam pocznę?

— Zapytam otwarcie, czy pana to wszystko, co się tam dzieje, nie obchodzi?

— Trudno odpowiedzieć na tak kategoryczne pytanie. Jestem przemysłowcem. Nie mam nic wspólnego z szerokimi ideami. Robię w ciasnych zyskach. Nadto, nie wierzę w zawracanie biegu wód Wisły nie tylko kijem, ale nawet chorągwią najczciodsza.

— Bardzo efektowne porównanie. Koryto Wisły i bieg jej wody zmienić można, oczywiście nie kijem, ani chorągwią, lecz kilofem i rydlem.

— Tak.

— Cóż dopiero mówić o zmianie łóżyska tej rzeki drugiej, szerszej, niż Wisła, którem płynie chłopstwo polskie w ziemie cudze na służbę i poniewierkę...

— Mowa o emigracji?

— Im nas jest więcej — mówię o inteligencji — im więcej umiemy, im jesteśmy silniejsi intelektualnie, tem jest gorzej, jak się okazuje, bo zwiększamy obce organizmy, karmimy sobą wrogów, albo obcych. Przepraszam, że to mówię...

— W Krakowie musiałbym słuchać, co mówi jakiś profesor, albo udawać jakiegoś działacza, palającego od uczuć „dla dobra ludu“. Tu jestem sobą. Być może, iż jestem szkodliwy...

Nienaski skłonił się. Inżynier odprowadził go przez salon aż do drzwi przedsionka i pożegnał swym majestatycznym, przyciągająco-odpychającym gestem.

Teraz przyszły zdobywca pieniędzy podążył do stacyi tramwajów, wdrapał się na piętro jednego z nich i jechał wzdłuż Sekwany. W pewnem miejscu rozejrzał się i wysiadł. Zadzwoił do żelaznej bramy, wpuszczonej w mur, który otaczał ogrody i willę w ich głębi ukrytą. Stary portyer, któremu się przypomniął, wpuścił go do ogrodu i przeprowadził do willi. Na stopniach przedsionka spotkał go lokaj w pończochach i pantoflach lakierowanych, we fraku z jakimś oblamowaniem. Był to młody człowiek, blade, suchy, z mądrymi oczyma. Ryszard poznał w nim jednego z bywalców „Pracy“, paryskiego znawcę, rodaka-utrapieńca. Zdziwił się, widząc go w tem lokajskim odzieniu, udał jednak, że nie poznaje dawnej facyaty. Tamten zdawał się czekać na jakiś gest, czy znak, któryby go popchnął do przypomnień. Gdy to nie nastąpiło, poprowadził Ryszarda, jako nieznajomego przychodnia, do wnętrza. Okazało się, że pan Ogrodyniec był w oranżeryi. Można było albo czekać nań dłużej w salonie, albo pójść do tejże oranżeryi. Te arkana wyjaśnił drugi służący, Francuz, łysy, wytrawny wyga. Nienaski zdecydował się na oranżeryę. Bywał tu nieraz dawniej, znał drogę. Minął kilka salonów i gabinetów, umeblowanych z przepychem, pełnych obrazów, książek, starej broni rozwieszanej na ścianach, — wreszcie stanął we drzwiach cieplarni. Na jego spotkanie przycłapał z pomiędzy palm i kwitnących egzotyków stary pan Ogrodyniec, taki sam niemal, jak za dawniejszych czasów.

— Przepraszam, przepraszam... — mówił — że

aż tutaj pana fatygowałem. Mam tu dość wdzięczne kwiaty i — myślałem, że po starej znajomości mogę poczęstować pana ich widokiem. Nieprawdaż?

Kłamał, oczywiście, gdyż nawet owych kwiatów wcale nie miał zamiaru pokazać. Wpatrywał się w swego gościa przenikliwie i z uwagą. Poprowadził Ryszarda do trzcinowej kanapki między rododendronami i prosił uprzejmie, żeby zajął miejsce. Sam usiadł na sąsiednim fotelu, splótłszy na brzuchu ręce o pazurach czarnych od gmerania w ziemi i jeszcze oblepionych próchnicą. Nienaski z grzecznym ukłonem podał mu list Czarncy. Ogrodyniec nie bez wyrazu zdziwienia obejrzał dużą kopertę ze wszech stron, rozciął starannie jej brzeżek i zabrał się do czytania, spuściwszy okulary w wyimek nosa, jakby w dolinę. Badał ów list długo, nie pokazując na twarzy żadnego wrażenia. Możliwe było sądzić, że usnął, albo że bezmyślnie patrzy w przestrzeń. Skończywszy wreszcie odczytywanie dwustronicowego listu, złożył go starannie, schował do pugilaesu i zlekka westchnął. Nienaski, który już w drodze powziął plan indagowania starego pana Ogrodynca o pewne rzeczy, czekał, cierpliwie i bez żadnego wzruszenia na jego sprzeciw. Doczekał się takiego zdania:

— Szanowny pan nie grał nigdy na giełdzie?

— Nie.

— Tak. Jest to przedsięwzięcie nieprzyjemne. Pisze mi tutaj pan Czarnca o pańskich zamiarach. Przyszło mi na myśl...

— Nie jestem od tego, żeby grać na giełdzie, ale obawiam się, że stracę od razu to, co posiadam.

Pan Ogrodyniec poprawił z żywością swe okulary i wyjrzał z poza nich na gościa. Białka jego oczu po winnyby się były właściwie nazywać żółtkami. Błado-niebieskie źrenice żywo błysnęły.

— Niekoniecznie, jak szanowny pan wie, gra się własnymi pieniędzmi. Można wiele zarabiać, ryzykując niewiele, albo nic zgoła. Zresztą — ja tak oto wspomniałem. Co do posady, o której tu czytam, to w istocie bardzo jest trudno. Prawdziwie, nic nie widzę, nic nie widzę...

— Pragnąłbym zaczepić się, znaleźć punkt oparcia, żeby potem...

Mówiąc powyższe zdania, a szczególniej ostatnie, Ryszard poniewierał samego siebie w myśli, pogardzał sobą i lżył się ostatnimi wyrazami. Ta żebranina, gdy się jest tęgim i zdrowym chłopem!... Ten jakiś pomysł nagrabienia pieniędzy byle jak i wszystko jedno gdzie! Co on tu robi wśród tych ludzi? Co on tu gada?

— Wracając do pomysłu giełdy — mówił pan Ogrodyniec powoli i wyraźnie — miałbym na myśli tylko zabiegi planowe, bez jakiegokolwiek ryzyka, czynności dobrze obmyślane i wytrwały pochod krok za krokiem. Giełda przecie nie zna żadnych sentymentów względem ludzi i względem nas... Czemużbyśmy mieli rządzić się sentymentami względem niej?

— Oczywiście.

— Gdyby szanowny pan chciał podjąć pewien plan i wykonywać go systematycznie, ja sam, w miarę mych skromnych środków, mógłbym panu iść na rękę.

— Iść na rękę? — zapytał Nienaski.

— Tak jest. Nie mam zamiaru bardzo ryzykować, gdyż jestem stary, przyzwyczajony do swego sposobu życia. Ale do pewnego stopnia, do pewnej granicy jeszcze ciągnie wilka w ostępy. Znam szanownego pana z jego tutaj czynności...

Było coś ohydnie plugawego w tem wypominaniu tamtych robót wobec zamiarów giełdziarskich. Wyglądało to na sekretne obcinanie kuponów od tamtego waloru. To też Nienaski mruknął:

— Przedsiębrałem tamte prace nie dla wyrobienia sobie dobrej marki...

— Przepraszam, bardzo przepraszam, jeżeli to poruszyłem... — tłumaczył się starzec grzecznie i bardzo wytwornie. — Jeżeli o czem podobnem mówię, to tylko dlatego, ażeby panu dać dowód, iż stoimy na równej stopie: pan ze swą dobrą wiarą, której ja jestem pewny, jak swojej — a ja znowu z ufnością, ugruntowaną na doświadczeniu, że z panem właśnie mam do czynienia. Dlatego to gotów byłbym odrazu przystąpić do interesu. Z kim innym nie mógłbym wyjawiać się tak bez obsłon przy pierwszej rozmowie o zakulisowych troskach.

— Dziękuję.

Ogrodyniec pochylił się w jego stronę. Po chwili zapalił cygaro, gdy Ryszard za nie podziękował — i ciągnął:

— Proszę pana, ośmielę się powiedzieć, że mnie głęboko cieszy zamiysł pański dobijania się z całą forszą o majątek. To dobrze! To nawet bardzo dobrze! Panu, właśnie panu, potrzebny jest majątek.

— Czyż tylko mnie? — uśmiechnął się Nienaski.

— Panu przedewszystkiem. U nas w kraju są albo enotliwi ludzie, i ci zebrzą, wciąż zebrzą dla zaspokojenia nieprzeliczonych potrzeb biedactwa, albo nieenotliwi — i ci nic zebrzącym nie dają. Trzeba, żeby jak najwięcej tych z szeregu pierwszego zdobywało majątek.

— Do takiej samej przyszedłem konkluzji... — śmiał się Ryszard.

— Proszę mi wierzyć, że nie raz, ale dziesiątki i setki razy o szanownym panu po swojemu myślałem. Jestem stary człowiek i gorzkie przetrawiam w sobie myśli.

— Czemuż nie czyny! I to nie tutaj, lecz właśnie w kraju!

— Jestem już na uboczu... — rzekł sucho Ogrodyniec, wycierając swe okulary. — Za późno mi już na czyny. Dożywam już swego czasu.

— W kraju taka bieda, taki brak głów i rąk!

— Z kraju wyszedłem, jako obskubany przez opiekunów z resztek dziedzictwa szlachecki potomek. Nie wyniosłem stamtąd prawie nic! — rzekł cierpko.

— Gdyby pan tak wrócił... Przecież tam wszystko czeka...

— Gdyby... — mruknął starzec, machnąwszy niecierpliwie ręką.

— Nie mam prawa wtrącać się w sprawy szanownego pana, ale mówię, bo stamtąd przychodzę i wiem, o czem mówię.

— Jeszcze się kołace po tym bruku, gdzie się

dosyć nadreptał za życia. Niewiadomo, co jutro przyniesie. Chi lo sa...

— Co do mnie, muszę być z tych, co żebrzą, bo, prawdziwie, trudno jest nie żebrać!

— Samemu, samemu trzeba brać w ręce siłę, która pod nogami, na ziemi leży! Samemu! Gdybym ja miał pański wiek męski!

— Niech pan nim zechce rozporządzać.

— Hm... Rozporządzać... — uśmiechnął się stary pan podstępnie i z chytrą. Ten uśmiech długo stał na jego spękanych, czarnych wargach, gdy jeszcze raz powiedział do siebie:

— Chi lo sa...

— A więc proszę...

— Jest tutaj teraz na porządku dziennym pewna sprawa, która człowiekowi śmiałemu może dać w ręce krocie. Widzi pan, a jakże tu brać już cokolwiek tak starczeni rękoma.

Nienaski spojrział na te dłonie i musiał w duchu przyznać, że były nie tylko starcze, ale i bardzo brudne.

— Sprawa jest tego gatunku... — mówił Ogrodyniec. — Trafiono w pewnym miejscu na Węgrzech, a właściwie w Siedmiogrodzie, na duże pokłady węgla. Miejsce to nazywa się Uj-Kahul. Przybiegli tutaj do Paryża Węgrzy, właściciele owych terenów, przeważnie ludzie bez grosza, jacyś spekulanci, karyerowicze, inżynierowie, ażeby utworzyć towarzystwo, zgromadzić kapitały i fundować tam wielkie kopalnie. Paru tutejszych kapitalistów zbadało rzecz dokładnie, jak to się w takich razach praktykuje. Posłani tam

zostali wiarygodni specjaliści i ci, na podstawie długich badań orzekli, że istotnie rzecz jest godna czynu najbardziej daleko idącego. Utworzono w małym gronie towarzystwo akcyjne. Tworzyli je ludzie, którzy mi imponują. Przystąpiłem i ja. Zaangażowałem się nawet znacznie, jak na me środki. Podniecała mnie do tego pewna okoliczność, ta mianowicie, że głównym inżynierem do badania pierwszych wierceń i ewentualnych eksploatacji tych przyszłych kopalń mianowany został pewien mój znajomy, człowiek bardzo tęgi, któremu swego czasu, w najcięższej chwili jego życia, podałem był rękę i tym sposobem wyprowadziłem na ludzi. Dziś to człowiek bogaty, a jutro — potentat. Owo miejsce w Uj-Kahul dostał również nie bez mego wpływu i poparcia.

— To jest Francuz?

— Tak, Francuz. Dotąd jesteśmy w porządku. Teraz zaś poczyną się zabawniejsza i ciekawsza strona afery. Ale à propos możebyśmy przeszli stąd do mej izby. Tam będzie nam wygodniej. Jeden z moich służących jest Polakiem i ciekawskim.

— Młody, blady?

— To właśnie. Dobry chłopiec, ale ciekawski. Skoro tylko Polak jaki rozmawia ze mną, czuję ucho tego smarkacza za drzwiami, a oko w dziurze od klucza.

Gospodarz podreptał do guzika dzwonka, ukrytego w ścianie i zadzwonił. Zjawił się stary lokaj i na dany znak zabrał z oranżeryi jakieś tam sprzęty i narzędzia. Nienaski podążył za Ogrodynicem do zacisznego gabinetu. Wnet siedział na sofie obitej

skórą i rozglądał się po bogatym umeblowaniu tego pokoju. Ogrodymiec zamknął drzwi i usiadł na tejże sofie. Mówił teraz ciszej i w sposób konspiracyjny:

— Nasz inżynier zabrał się tam do rzeczy bardzo mądrze. Tak... Wybił szyb jeden, wyłożył na to niemały kapitał, gdyż czynił to z całą precyzją, a kiedy jego mandatarysze oczekiwali, że pocznie eksploatować kopalnię i dawać należyte zyski, on nie spodziewanie począł bić szyb drugi. Nie wiem, czy szanowny pan zdaje sobie z tego sprawę, że w interesach tej kategorii, jeżeli się bije jeden szyb w kopalni, to go się wyrabowuje do ostateczności i wówczas dopiero, gdy już nic niema, gdy filary są wyrwane i powierzcchnia w dół się wali, bije się szyb następny.

Tu starzec przerwał i przez długą chwilę patrzył w okno. Po pewnym dopiero czasie zwrócił się do Ryszarda i rzekł, nachylając się do niego:

— Więc tworzymy spiszek?

— Spiszek? Nie wiem jeszcze przeciwko komu.

— Jeżeli pan mi zaufa...

— Ufam panu.

— Słowo?

— Słowo.

— Dobrze więc. Objaśniam rzecz całą. Kiedy i ja, zaniepokojony takim rzeczy obrotem i niepewny swych wkładów, napisałem do inżyniera-kierownika z zapytaniem, co oznacza to jego postępowanie, przyjechał do Paryża, uspokoił akcyonariuszów obietnicami nadzwyczajnych korzyści, mnie zaś wyjawiał całą tajemnicę. Wówczas przestałem protestować. W na-

stępnym roku począł bić szyb trzeci. Akcyonariusze zabronili dalszego awanturowania się. Poczęto, stosownie do ich życzeń, eksploatacyę, lecz cała afera kopalniana pochłonęła tak wielkie sumy, że akcyje Uj-Kahul poczęły na giełdzie spadać. Spadają też ciągle i stale. Jest to, jak mówią, psi interes. Inżyniera naczelnego nie można wyrzucić, bo po takim postawieniu sprawy nikt jej prowadzić nie chce i nie może. Zresztą on faktycznie jest w porządku, gdyż kopał tylko do normy pokładu węglowego, a masa tam jest głębiej. Co do mnie, to ja skupuję te akcyje Uj-Kahul. Liczę, że dopiero eksploatacyja może zbadać istotną wartość tych kopalń. W interesie całej afery nie mogę nabywania tych akcyi czynić zbyt jawnie i zbyt pośpiesznie. Nie mogę tego czynić osobiście. Patrzę tu na mnie ze wszech stron. Niech pan kupuje na giełdzie akcyje Uj-Kahul. Ręczę, że pan nie straci, a zarobić można grubo.

— Kupować za gotówkę?

— Niekoniecznie.

— Mam bardzo mało pieniędzy, żeby ze swego na seryo kupować, a na powiększenie kursu trzeba będzie pewno długo czekać.

— W takim razie niech pan kupuje dla mnie. Ja dostarczę gotówki.

Nienaski uśmiechnął się złośliwie. Mruknął:

— Nie zachwyca mię rola strohmana.

— Więc niech pan kupuje za swoje, za wszystko, co pan posiada.

— Zobaczę. Zresztą -- mogę kupować i dla pana, byle ta rzecz pozostała między nami.

— Nic tu nie wychodzi na wierzch, co się mówi w interesie. A czy pan nie znał tu dawniej baronowej Halfsword?

— Nie słyszałem nigdy tego nazwiska. To Angielka?

— Niby to rodaczka nasza, Polka z urodzenia. Była za Anglikiem Halfswordem. Jest to nasza współniczka.

— Czy i moja?

— Skoro pan pozna do głębi ten interes i raczy być ze mną w spisku — to i z nią także.

— O ile wiem, powinniśmy się spiskowcy znać chociaż z oblicza.

— Nic łatwiejszego! Pojedziemy do niej.

Nienaski wahał się. Ogrodyniec nastawał:

— Pojedziemy koniecznie! I to zaraz! Pan przecie ma czas wolny.

— Czasu mam dosyć. Lecz potrzebuję choć dnia do namysłu...

— Żałuję bardzo, bo teraz jest chwila. Chwila dla pana!...

— Doprawdy? W takim razie jestem gotów jechać.

Stary pan zadzwonił, ażeby podano automobil. Nim się Nienaski opamiętał, już go ów młody Polak w liberyjnym kostymie wsadził do pojazdu. Podczas drogi Ogrodyniec, trzęsąc się od ruchu, mamrotał:

— Babsko ma grube pieniądze, a skąpa i podstępna niemożliwie. Radaby jednak garściami łapać zyski. Nie leży to w naszym interesie, żeby powiększać grono wtajemniczonych. Tej babie musimy dać

zarobić w interesie Uj-Kahul. Inaczej nie ruszyłaby kapitałów, które posiada, na inne imprezy. A są teraz do zrobienia zadania bajeczne, jeśli się będzie rozporządzało wielkim funduszem. Musimy babę pozyskać na grubą, zakładową siłę. Jeżeli będą straty, to czemużby ona nie miała ich pokryć? Próchno! Ja sam, jakem panu mówił, nie mogę się ofiarować w sprawie Uj-Kahul. Zwąchałiby pismo nosem i dyabliby wziąć mogli nasze kopalnie.

— Jakto nasze?

— Nasze kopalnie na Węgrzech... Skupimy akcje we cztery osoby i wtedy...

— Cztery osoby? Które osoby?

— Baronowa, inżynier Lafleur, ja i pan.

— I ja? — śmiał się Ryszard.

— Pan się tu nadzwyczajnie nadał. Skupimy pańskimi rękoma akcje i wtedy ruszymy całą parą. Nasz inżynier w tem!

— Przepraszam pana, że o to zapytam się otwarcie: co ja na tych obrotach mogę zarobić?

— Może pan zarobić milion, może dwa. Pan jesteś człowiekiem nowym, nikomu nieznanym, obcym na giełdzie. Należy udawać obcego kapitalistę, krótkowidza, lekkomyślnego gracza i niedołęgę. Będzie pan miał w ręku walory moje i baronowej, więc nie będą pana podejrzewali o strohmana. Przeciwnie, lotry giełdowe dopatrzą w panu naiwności i fafultstwa. Będą pana poczytywali za wróbla, który się łapie na plewy. Będą ci wciskać, wpakowywać Uj-Kahul, którym teraz wszyscy pomiatają. Ja sam postaram się dziś sprzedać ostentacyjnie kilkanaście akcji

owego Uj-Kahul. A pan je zaraz po zniżonej cenie kupisz dla mnie. Rozumie pan? Niech je pan bierze obiema garściami! Oto wszystko.

— Jeszcze tak nie a nie o tem nie myślałem...

— Pomyśli pan później. Ta Halfswordowa powinna teraz poruszyć się na dobre. Uważa pan, mam tutaj nabytą na wybrzeżu morskiem bajeczną plażę. Trzeba tam przeprowadzić kolejkę, zbudować casino z domem gry i szereg will. Ogromne lasy, plaża ośm kilometrów... Trzeba, żeby i pan wyszedł na swoje. Musimy damę obstarwić zyskami, któreby ją olśniły. Wtedy ruszy kiesą i na casino i na kolejkę. Gdy wejdziemy, niech pan mówi jak najmniej. Niech pan akceptuje, co powiem.

Automobil zatrzymał się przed zwykłą kamienicą nowego typu. Na dole klatki schodowej odzwierciadła usadowił przybyszów w windzie, nacisnął guzik i powierzył ich losowi z uśmiechem tak błogim, jakby odpływali do nieba. Na trzeciem piętrze winda zatrzymała się i obadwaj spekulanci wysiedli. Otworzył im drzwi lokaj wyfraczony, wygolony i tęgi, jak byk. Gdy zapytali o możliwość widzenia się z baronową Halfsword, począł czynić pewne objeżdżanie, ale koniec końców wprowadził ich do salonu. Mebli tam nie można było zobaczyć, gdyż wszystkie były poprzykrywane gazetami. Stoły, fotele, szafy, kanapy, nawet dywany i obrazy, słowem wszystko zakrywały płaty Journal'a i Matin'a. Pan Ogrodyniec zdjął ostrożnie jedną z gazet i usiadł na fotelu. Nienaski przechadzał się tam i z powrotem po gazetach, które były pluskiewkami przytwierdzone do miękkiego dy-

wanu. Kręcił nosem, gdyż panowała w tem mieszkaniu potworna mieszanina zapachów naftaliny, siarkowodoru i mocnych perfum. Czekali długo. Nareszcie drzwi się uchyliły i wsunęła się do tego salonu dama stara, mała i bardzo wychudzona. Jakoweś modne ciemnobarwne robiony okrywały jej postać wiotką i przygnębiającą. Twarz pomarszczona, co najmniej sześćdziesięcioletnia, upudrowana i z ustami lekko zabarwionymi, literalnie ginęła pod nastroszonym uwłosieniem (zapewne) peruki, ufarbowanej na kolor rudy. Spojrzenie oczu, zapadniętych w sine oczodoły, oczodoły pełne żył i pręg czerwonych — było po ptasiemu drapieżne. Drapieżny również był uścisk ręki, który Ryszard poczuł w swej dłoni, gdy go stary Ogrodyniec przedstawił. Ręka ta była podobna do indyjskiej łapy, z powykręcanyimi od artretyzmu członami, sucha a obrzmiała. Dama Halfsword mówiła po francusku, raz wraz wtrącając nie wyrazy, lecz całkowite zdania angielskie, to znowu włoskie. Perorowała zaś ciągle, chodząc od mebla do mebla i machinalnie zdejmując gazety. Papiery te składała na jednym ze stołów, wywijając nimi w miarę wzrastającego ożywienia. Widać było, że jest podniecona i że to podniecenie powiększa się, nabiera cech egzaltacji. Skarżyła się na swą służbę. Naśladowała basem gruby głos lokaja — to znowu cieniutkim dyszkantem mowę służącej:

— Ona musi być na mszy, i to co dzień, i to w kościele Saint-Germain de Prés, bo to stąd najdalej. Dlaczego? Ona wie, że ja jestem niereligijna, że nie-
nawidzę bigoteryi, że się tem brzydzę. Istny spisek!

Bo proszę sobie wyobrazić, ten bizon amerykański jest znowu krańcowym syndykalem! W oczy mi to mówi. Mam tedy w domu nowomodne połączenie katolicyzmu z syndykalizmem. Każde oddzielnie z tych dwojga próżniaków może prenumerować pismo katolicko-syndykalistyczne George'a Sorela.

Ogrodyniec śmiał się serdecznie pod wąsem, kiwając raz wraz głową, niby to ze współczuciem.

— Panu to jest, oczywista, obojętne — mówiła baronowa, podskakując ku niemu — bo sam jesteś masonem i spiskujesz przeciwko porządkowi społecznemu.

— A ba! Któż dziś nie jest masonem z ludzi żywych i zajętych interesami, jeżeli chce mieć wpływ i poparcie?... Co do mnie, to właściwie jestem niczem. Aferzysta Ogrodyniec — do usług — oto wszystko. Pani baronowa nie raczy pamiętać, iż obiecała na ten termin...

— Termin! Termin! — krzyczała coraz grubiej i niemal basem. Co mi za termin, co mi ze złotych rojeń, gdy ja mam duszę na ramieniu, że mię bizon udusi w nocy. Przyjdą takie czasy, że go za to ogłoszą w pismach z portretem w profilu, jako dobroczyńcę ludzkości. Czy pan wie, do czego doszło?

— Nie wiem.

— Do tego doszło, że, mając tutaj dwanaście pokoiów, nocuję w hotelu Nonorgue'a.

— A dlaczegożby nie? Bezpieczniej i weselej!

— Nietylko nocuję, ale stołuję się u tego z bogatego bandyty rondla, podczas gdy w domu mam

przecie kucharza, któremu płacę pensję, jakiej za moich czasów nie pobierał sędzia trybunału.

— Nonorgue wcale nieźle gotuje, wcale... Jadłem tam parę razy. Wcale!...

— Wolę przecie jeść z hołotą przy wspólnym stole i to samo, co hołota, bo przynajmniej trucizny się nie lękam.

— I pani baronowa już dawno tak u Nonorgue'a?

— Trzy miesiące! Uwierzy pan? Ale kiedyż nie może być inaczej. To są zbóje, szpiegi, apasze, a przede wszystkim socjaliści! Ja mu tak, a on mi owak. Ja z góry na łotra, krzyczę, tupię nogami, a on na mnie patrzy z podełba i milczy. Sznuruje usteczka, albo się uśmiecha, aż dreszcz lata po kościach. Wreszcie „prosi“. On „prosi“, żeby mówić do niego grzeczniej i... ciszej. Słyszał pan? „Taki“ prosi, żeby mówić ciszej!

— Tak, czasy są demokratyczne — mówił z udanym smutkiem pan Ogrodyniec. — Jak w geologii, przesuwają się pokłady u góry i w dole.

— U góry! Otóż ja panu oświadczam, że skoro ta zgraja tworzy sprzysiężenie przeciwko nam, to my powinniśmy utworzyć sprzysiężenie przeciwko zgrai! Strajk na strajk! Zobaczmy, co to będzie, gdy my zastrajkujemy! Gdy my na całej kuli ziemskiej urządzimy powszechną grewę generalną!

— To się już nawet tworzy... — wtrącił Nienaski.

— Gdzie się tworzy? — zapytała baronowa, wykręcając ku niemu twarz z rozognionymi oczyma.

— Wszędzie, pani, ale jeszcze nie na całej kuli

ziemskiej i nie jednocześnie. Zupełnie zresztą, jak w tamtej grève générale.

Wzdęła wargi i poczęła wnet mówić przewyborną angielszczyzną, zwracając się tylko do Ogrodynica:

— Aristokracja! Aristokracja! Cóż za nędza! Cóż za ohyda! Nigdzie oparcia, nigdzie kańczuga na te zespoły lamparcie, na te „partye“, stada hyen, wilków, tapirów i gryzoniów! Jakies wokóło buldogi i kundysy! Człowiek zostawiony jest najzupełniej samemu sobie. Mam wrażenie, jak gdybym miała skończyć na gilotynie. Taki bizon będzie mnie sądził! Broń się sama, powiada do mnie tak zwane prawo!

— No, tak znowu źle nie jest... — wtrącił Ogrodyniec, ażeby tylko coś powiedzieć.

— Nie jest źle temu, kto się umizga do swej służby, kto, po opłaceniu grubej pensyi, jeszcze jej schlebia, stara się o jej łaskawe względy, podszywa się pod jej opinie. Alboż ja nie czytam, co piszą podszczuwacze, kajdaniarze dziennikarscy, rozmaici truciście? „Camarade Ogrodyniec“! To mnie śmieszy... Zresztą jesteś pan mężczyzną! Co do innie, ja po dawnemu rozkazuję, rozkazuję i jeszcze raz rozkazuję!

— Cóż gdy oni po nowoczesnemu nie słuchają. Robią to tylko, co do nich należy, do czego się zgodzili za umówioną zapłatę. Ale à propos... Przychozimy, pani baronowo, z dobrą wiadomością... — przerwał Ogrodyniec.

— Z jaką wiadomością? — spytała wyniośle, siadając na fotelu zasłanym gazetami, niczem królowa na tronie.

— Należy skupować Uj-Kahul z całą usilnością.

— Mnie przecie na giełdę nie puszczają... — wtrąciła wykrętnie.

— Nic łatwiejszego, jak posłać zastępcę.

— Pana? Kawaler legii Ogrodyniec, jako strohman? Ciekawe?

— Mnie znowu zbyt tam dobrze znają. Zrozumie liby odrazu, o co chodzi. Ale oto, mój przyjaciel, pan Nienaski.

— Pan... Nienaski? — obrzuciła obiekt wzrokiem od stóp do głów. — Polak?

— Tak jest, pani.

— Z Królestwa? — spytała z ironią, po polsku.

— Tak, z Warszawy.

— A w tej Warszawie zawsze błoto po kostki na ulicach i konny tramwaj z habetą o obciętej grzywie?... — zakończyła po francusku.

— Warszawa, pani, jest jednym z najczystszych miast w Europie... północnej. W każdym razie Warszawa czystsza jest, niż Paryż.

— Może będzie lepiej — wtrącił stary pan Ogrodyniec — sformułować tę prawdę inaczej, w sposób bardziej ścisły, iż Paryż brudniejszy jest od Warszawy...

— Och z tym szowinizmem!... — skrzywiła się baronowa. — To pan jest przyjacielem pana Ogrodynica?

— Szczycę się dawną znajomością, a tuszę sobie, że i przyjaźnią pana Nienaskiego... — pośpiesznie wtrącił starzec.

— I pan się rozumie na tym całym interesie, na tym podstępie, na tym Uj-Kahulu?

— Nie wiem, czy to jest podstęp, czy zwykła na giełdzie gra. Jedni tam chwytają pieniądze z rąk innych — to jest giełda, — mówił Ryszard.

— Jeżeli pani baronowa nie życzy sobie należeć do tego „podstępu“, w takim razie będziemy go prowadzić sami. Sądziłem, że leży to w interesie raczej pani, niż naszym, i dlatego przyszedłem w towarzystwie pana Nienaskiego.

— Nie powiedziałam jeszcze, czy chcę czy nie chcę. Pan ma zwyczaj chytać za słowa.

— Na giełdzie wszystko jest „podstępem“. Musimy decydować się szybko. Właśnie jest godzina pierwsza. Sam czas.

Baronowa świdrowała obudwu sowiemi oczyma. Jakieś nieprzyjazne półuśmiechy przewijały się po jej wargach, odstawiając szeregi białych, wstawionych zębów. Rzuciła spojrzenia niemal pokorne, to znowu badawcze i sondujące. Uśmiechała się i marszczyła groźnie. Stary Ogrodynec czekał w milczeniu, cierpliwie i z uszanowaniem. Od wewnętrznej, niewidzialnej emocji okulary zjeżdżały niepostrzeżenie z garbu między oczyma w wyrwę nosa. Co pewien czas sapiał, w sekrecie. Baronowa Halfsword wstała i nacisnęła krążek dzwonka.

We drzwiach ukazała się potężna postać lokaja. Syknęła:

— Podać wino!

— My musimy bardzo, bardzo śpieszyć... —

usprawiedliwiał się Ogrodynec, szastając nogami po gazetach.

— In vino veritas! — rzekła decydująco poliglotka.

Zanim zjawił się „bizon“, niosąc na tacy butelkę Moët et Chandon, płaskie kieliszki i biszkopty, baronowa najwidoczniej rozmyślała nad powzięciem decyzji. Gdy nalewał i stał pochylony nad jej kieliszkiem, rzekła w kierunku Ogrodyńca, po przez plecy lokajskie:

— W każdym razie nie więcej nad pięćdziesiąt!

— Pięćdziesiąt! — z udanem zdumieniem mówił stary giełdziarz.

— Ostatnie słowo!

— Skoro pani baronowa chce tracić... Gdy będziemy akcye Uj-Kahul sprzedawali po ośmset, dziewięćset, będę twardy! Nie dam ani jednej!

Powiedziawszy to, starzec począł wolno saczyć wino w czelusć workowatej gardzieli i zagryzać biszkoptem, rozsypując okruszyny na wszystkie strony. Dawał baronowej, która piła wielkimi haustami, dolewała do pełna i znowu piła, jakieś bardzo oględne znaki porozumienia. Ona wciąż zaprzeczała ruchem głowy. Nienaski nie chciał przeszkadzać tej wymianie sygnałów. Siedział ze spuszczonemi oczyma, z rękami splecionemi. Przez jego serce przewijało się najcichsze, najsekretniejsze westchnienie:

— Daj mi zmysł gronostaja, żeby tędy przejść czysto, żebym się nie zwał, żebym był sobą, żebym zawsze był przy Tobie! O, Boże! Daj mi przeczcucie, gdzie łotrostwo!

Z tych refleksyi, zupełnie nie giełdowych, obudziła go refleksya starego pana:

— Komu w drogę, temu czas!

Szastając nogami, jak to było w modzie u młodej za czasów wojny krymskiej, zęgnął baronową. Ryszard musiał znowu uścisnąć jej koślawą łapę. Wyszedł z ulgą w całym jestestwie. Gdy już siedzieli w samochodzie, nachylił się ku staremu znajomemu i szczerze zapytał:

— Proszę pana, mam wiele wdzięczności za okazane mi zaufanie, za obietnicę pomocy na tej, bądź co bądź, śliskiej drodze. Muszę o jedno zapytać otwarcie i prosić o zupełnie szczerą odpowiedź.

— Proszę.

— Dlaczego mi pan zaufał do takiego stopnia przy pierwszym bliższym poznaniu? Jest to dla mnie bardzo dziwne.

— Ja pana znam bardzo dawno, choć pan o tem nie wie, — śmiało się wygadał w swe niepowabne wąsiska. Notuję w pamięci co ważniejsze sprawy. Nie śpiąc po nocach, przypominam rzeczy widziane, przepowiadam sobie zdarzenia, zestawiam ze sobą ludzi rozmaitych. Słyszałem, co o panu mówili zwolennicy, co przeciwnicy, co wrogowie, co oszczercy. Nadto — jestem stary człowiek. Wiele twarzy widziałem i znam się na twarzach ludzkich. Od pierwszego wejścia nabieram sympatii albo antypatii, ufności albo ostrożności, nieraz trwogi. Było tak w tysiącu wypadków. Zrobiłem niemały majątek, kierując się w wyborze i stosunkach ryzykownych z ludźmi tylko

tym wskaźnikiem instynktu. Niech pan będzie spokojny. Wszystko jest w porządku.

— Cieszy mnie ta dobra opinia.

— Przystępujemy teraz do roboty. Na pierwszy raz będzie pan kupował akcje Uj-Kahul dla siebie. W przyszły wtorek będzie pan je nabywał dla mnie. Wtedy wręczę panu należną kwotę w gotówce. Będzie pan miał nie tylko prowizję, lecz i procent doraźny od każdej akcji nabytej. O cóż chodzi?

— Zgadza się.

— Nie czas teraz na nic innego, prócz uwagi. Gdy wyjedziemy na ulicę Quatre-Septembre, każę stanąć. Pan wysiadzie i sam pójdzie na giełdę. Ja zajadę z paradą i wysiadę oddzielnie. Będę tam ostentacyjnie czynił na szkodę Uj-Kahul. Nie będziemy się tam witać ani żegnać.

Automobil skrzył z wielkich bulwarów i gnał w kierunku giełdy. W pewnym miejscu stary pan dał umówiony znak szoferowi. Nienaski wysiadł i poszedł piechotą w zwartym tłumie. Wkrótce usłyszał giełdziarską wrzawę. Wszedł po schodach i wolno mijał hałasującą kulisę. Nasłuchiwał. Patrzył. Minął przedsionek. Jakiś gruby, stary człowiek wydobywał ze siebie jak gdyby bek całą gardzielią:

— Uj-Kahul! Uj-Kahul!

— Otóż to! Twoja się rola zaczyna, faktorze aferzystów... — mruknął do siebie Nienaski.

Niedbałym ruchem dotknął ramienia owego grubego człowieka.

Rano wychodził za interesami, na giełdę i do swych nowych sprzymierzeńców — pana Ogrodyńca i baronowej Halfsword. Wieczorami oddawał się w dalszym ciągu pasji poszukiwania. Te wytrwałe i nieustanne śledztwa stanowiły jednakże dobrą metodę, gdyż uwiecznione zostały nareszcie, po sześciu blisko tygodniach, dobrym — a raczej fatalnym — skutkiem. Pewnego wieczora, dżdżystego, jak większość wieczorów paryskich, Nienaski kupił trzyfrankowy promenoir do Folies-Bergeres i nudził się tam przez kilka godzin, patrząc na jakąś czysto francuską revue, gdzie ośmieszano osobistości wybitne w rządzie, prasie, świecie, literaturze i teatrze. Nic go to wszystko nie obchodziło, to też miał zamiar wynieść się przed końcem widowiska. Błądził po sali tam i sam, spoglądając według swego zwyczaju w krzesła, ukryte w głębi amfiteatru, oraz na wysokiej galeryi. Tak już przywykł do bezskuteczności poszukiwań, że czynił to raczej z nałogu, czy obowiązkowości względem własnego postanowienia. Stał właśnie z lewej strony sali, nie patrząc na głupestwa sceny. Mierzył oczyma twarze piękne i brzydkie. Wtem pewien profil zmusił go do wzdrygnięcia od stóp do głów, — uderzył weń, jak dzika burza radości. Zawiedziony tylekroć. Ryszard nie ufał już oczom. Znał te złudzenia bardziej duszy, niż ciała, które prawdziwie nieraz kazały wzrokowi widzieć postać nie istniejącą. To też sprawdzał teraz pokusę z uwagą, z badawczością, ze ścierpiętemi stopami i dłońmi, z zimnem lodowatym w sercu.

To jednak była niewątpliwie Xenia.

Siedziała w jednym z krzeseł amfiteatru. Jej to

była postać, jej głowa! Jej połyskujące czarne włosy puklem niezrównanym wymykały się z pod aksamitu kapelusza! Rozmawiała z jakimś mężczyzną, który obok niej siedział. Twarz jej była wciąż uśmiechnięta, rozradowana...

Jakież to było szczęście, jakie szczęście patrzeć tak i utwierdzać się w pewności, że to nareszcie jest ona! Serce poczęło łomotać w piersiach. Myśli spłonęły w ognistych językach radości. Jak przykuty do miejsca, zastygał wszystek, a przecie zarazem płonął od ognia, ulatującego w górę. Najcichsze modlitwy, ostatnie jęki, najsłodsze nazwy, milion pozdrowień z głębokości, z otchłani odtrącenia, z przepaści nędznej bezsiły... Obejmował ją oczyma, ogarniał wzrokiem, przyzywał, wołał. Nie wiedziała nic o tym wzroku — zatopiona oczyma w twarzy blondyna, który z nią rozmawiał. W przelocie, mimowoli Nienaski zwrócił i na niego uwagę. Był to już nieco starszy człowiek, lat około czterdziestu, łysawy, o pięknym, subtelnym profilu i ładnym blond wąsie. Typ, a raczej wielkomięski wzór, wytwornego Francuza. Człowiek ten uśmiechał się do Xenii, patrząc bez przerwy w jej oczy, coś z cicha mówił.

— To nic, to nic! — mówił niepowołany świadek tej rozmowy. — Bóg zapłać, Xeniusiu! Więc to ja cię widzę nareszcie! To już nie jest sen! To nie jest obłąd! To nie jest halucynacja, ani fatamorgana! Twoje to przecie usteczka ozłaca ten radosny uśmiech! To twoje brwi, twoje sobolowe, prześliczne brwi! Twoje to oczy patrzą na tego pana!... Xenia! Xenia!..

Nie słyszała wcale tych krzyków duszy, które, zdawało się, byłyby w stanie ziemię w biegu zatrzymać. Ani razu oczy jej nie skierowały się na scenę, ani razu nie odwróciła się głowa od twarzy tamtego pana.

Ta poza jej głowy poczęła wreszcie narzucać się świadomości. Męka zrozumienia poczęła ogarniać jestestwo. Rozpacz, jak stopudowe kowadło przyniotła piersi.

— Oto dlatego nie chciała mię już tutaj widzieć! Ach! więc to dlatego!... — dowiadywał się rozum, jakby od uprzejmego furtyana, który to wszystko nareszcie palcem pokazał i szczegółowo noocznie wytłómaczył.

Spazm zazdrości ścisnął pięście i jadem śmiertelnym napełnił serce. Kroplisty pot zrosił czoło. Jedna myśl, pierwsza i ostatnia, przerznęła się poprzez to wszystko:

— Adres! Dowiedzieć się o adres! Rozmówić się!

Jakimże sposobem uzyskać możność rozmowy? Był się każdego ruchu, każdego kroku, każdego gestu, ażeby nie stracić Xenii z oczu. Nie mógł się zdecydować na żaden krok. Jeżeli z tego miejsca odejdzie, straci ją z oczu! Zanim dobiegnie na górę, ona już przepadnie. Stąd ją widział nieomylnością wzroku! Zarazem rozumiał, że przedstawienie dobiega końca. Przy wejściu do teatru ją spotka. Będzie śledził. Już wychodzono. Oto ostatnie kuplety, wrzaski, śmiechy, brawa, klaskania. Tłum widzów ruszył się z miejsc nagle i ze wszech stron. Nienaski poskoczył ku wyjściu. Ale tych wyjść było kilka, nadto niektóre z nich

prowadziły do restauracyi i gabinetów. Przeszywał tłum, jak obłąkany, szukając oczyma, szalejąc wewnętrznie. Nie było nigdzie! Jakby na przekór, jakby wiedząc, co się z nim dzieje, jakby naigrawając się i szydząc, tłum zbijał się, zwierzał, gęstniał, zastępował, zagradzał i zabiegał drogę, stawał się zwartym szeregiem, wałem nieprzebytym, murem. Schodzono z galeryi, zstępowano na dół ku głównym wyjściom powoli, śmiejąc się głośno, weseląc jeszcze widowiskiem. Ryszard usiłował wdrzeć się w ten zastęp, przeszyć go, ale był raz wraz powstrzymywany uwagami, że potrąca damy. W istocie — popychał damy. Przepraszał. Cofnął się, szukając na gwałt innego wyjścia. Nie znalazł go. Został zatarasowany przez grupy wyfraczonych birbantów w rogu sali. Garson zwrócił mu uwagę, że potrąca stoliki, że stłukł szklankę. Płacił za tę szklankę... Niepojęty mrok zasłonił mu oczy. Dzika pasya ćmiła jasność rozumu. Ciżba główna przewaliła się do szatni, lecz jeszcze nie było luźno. Nienaski zstępował ze schodów pospółu z innymi, wolno, krok za krokiem... Znany głos, ten sam znowu głos wewnętrzny — jakby bicie zegara nocnego: — niema! Widział ją żywemi oczyma — i stracił! Był tuż, o kilkadziesiąt kroków... A teraz ta sama znowu będzie noc i pustkowienie. Gorzej! Bo żywemi oczyma widział ją z innym. Tak! To sam dyabeł pokazał mu ją — i odebrał.

Nie on to już, zdrowy, tęgi mężczyzna, staczał się w motłochu z tych schodów, lecz martwe, cielesne zwłoki. Plugawe przekleństwo pięliło się w nim i zlatało z ust, jak piana z warg wściekłego psa. Do-

świadczał nieustannego złudzenia, że to ktoś natrząsa się zeń i śmieje się z tych przygód. Temu to nieodstępnemu towarzyszowi bryzgał w ślepie krwawymi płatami gluchej swojej boleści.

Oto nareszcie była szatnia. Namacał w kieszeni numer metalowy i podał służącemu. Gdy ten ruszył w głąb wieszadeł, oczy Nienaskiego padły na drzwi. Znowu! Xenia wychodziła z tymże blondynem. On miał na głowie elegancki cylinder, futro z pluszowym kołnierzem. Ona — ten sam, warszawski paltocik. Drzwi poruszyły się — tam, z powrotem — i zamknęły. Służący nie wracał! Nie wracał! Straszliwe chwile biegly, uchodziły, łomotowały. Nareszcie! Ryszard wybiegł. Szeregi automobilów, podjeżdżając ku portykowi, zagroziły drogę. Nic nie widać! Nigdzie niema! Rzucił się naprzód, biegł między pojazdami. W głębi ulicy dojrzał... — Xenia! — Wsiadała do automobilu. Za nią ów człekwiek... Lśniący połysk na jego schylonym cylindrze... Drzwiczki zatrzasnęły się. Samochód ruszył w ulicę. Szalenięć skoczył do pierwszego z brzegu taximetru. Ten był prywatny. Drugi zajęty, trzeci również, czwarty również... Piąty, szósty... Poleciał wąską ulicą, rozpychał i roztrącał ludzi. Rozbryzgiwał nogami błoto w rynsztokach, ślizgał się i potykał. Przebiegał to tu, to tam... Wreszcie utknął w jakiejś bramie. Miał w sobie coś, jakby stopiony żużel, przez piorun ukrecony w piasku stożek, widomy ślad błyskawicy. Chciał się opamiętać, czemś umocnić, przyjść do trzeźwości rozumu, do równowagi duszy. Tak — tak! To już się dokonało! Już się stało!

Bezsens to jest przecie gonić piechotą pędzący automobil, który uwozi szczęśliwą parę... Bezsens to jest przecie zatrzymywać automobil osób, które są w jego głębi. Dobrowolnie tam wsiadła. Ten pan za nią. Trzeba się uciszyć i uspokoić.

Błądził, nie mogąc trafić na bulwary. Pytał o to jakiegoś przechodnia. Ten śmiał się, pokazując mu bulwar, o parę kroków odległy. Nogi niosły go dokądś. Widok tysiąca kolorów lamp elektrycznych, sztyldów, ruchomych znaków, kół, liter żółtych, pomarszczonych, zielonych, niebieskich, fiołkowych rznął oczy, jak okruciami szkła. Nie wiedząc, co czynić, Ryszard wszedł do narożnej Café Cardinal i kazał podać kieliszek koniaku. Pił trunek, który ogrzewał zlodowaciałe serce i, jakby pięścią, strącał dokądś wstające jęki. Łzy gluche padały w kieliszek. Ach — do pioruna! — widok schodów! Schody, schody! A następnie Xenia... W oczach migoce połysk samochodu... — Dużo się dowiedział — ha! — mówił Ryszard do siebie. — Byłem tuż. Mam szczęście. Czemu wtedy nie poszedłem na górę? Zdziwiłaby się. Bardzoby się zdziwiła. A teraz!

Przewinął się profil jej twarzy i uśmiech, darowany tamtemu. Teraz właśnie w głębi tego automobilu. Tak! Teraz właśnie usta jej schyliły się do jego ust...

Odrzucił niedopity kieliszek, zostawił na stole pieniądze i wyszedł. W nocną szarugę... Ciemnymi ulicami, wśród ludzi, wzdłuż obmurowań Sekwany... Patrzał w czarną toń, porzniętą śpiczastymi smugami wielobarwnych światel. Nakładał na się jak gdyby

pętląc spokoju i dusił się dobrowolnie, gdy serce zbyt
łkało. Ale ręce łączyły się same w ciemności, palce
wyłamywały palce, nieustanny wewnętrzny jęk ucho-
dził, jak krew z rozdarcia rany. Na umysł przyszło
grube zaćmienie. Na wzór rąk — wbrew postanowie-
niom woli — chwila przeżytych zdarzeń zaczęła się
w drugą chwilę, uczucie doznane chwyciło się
uczucia, klęska klęski, ślepa boleść ślepej boleści i tak
powstawało koło ogniste, wirujące w wewnętrznym
mroku. Zapatrzony w ten wieniec męczarni, kręgiem
— płasający przed pamięcią, Ryszard szedł kędyś po
mieście pustoszącym. Myśli zdrowe w tem kolisku
udręczenia podobne były do ruchów i skoków to-
pielca, którego porwał przypływ morza. W jakimś
miejscu, o jakiejś godzinie nocy te myśli zgmatwały
się w kłęb projektu. Rzecz prosta! Za pieniądze,
które leżą bezużytecznie w kieszeni, nająć trzech. Po
dwa tysiące franków na głowę. Ci napewno wyszu-
kają tę Eurydykę, choćby się w piekle ukryła! Nie
głupiem poszukiwaniem po kabaretach, nie wypatry-
waniem z imperialów, lecz swoimi sposoby wytropią
ślad tej pani. Znajdzie takich wśród klienteli „Pracy”.
Cha-cha! Ostatni raz będzie działał na polach
„Pracy”... Wydrą ją z ramion kochanka, przetrną
ciągłość pocałunków! Zabić tę kobietę! Cicha, łag-
odna, dobrotliwa radość pachniała z płataniny tych
myśli zbójceckich. Marzenie rysowało dokładny obraz
odwetu. Salon, jak u Czarncy, lokaje, jak u Ogro-
dyńca lub Halfswordowej. To salon tego człowieka,
to jego służba, służba Xenii... Czy to jej mąż? Tamta
swolocz wejdzie pod jakimś pretekstem, pod wymyślo-

nym pozorem. W uszach rozlegał się radosny huk
strzałów, które trupem Xenię położą. Po tych upra-
guionych strzałach raz wraz w ognistym kole męczarni
zalegała błoga cisza. Spokój nareszcie! Gdy już nie
będzie Xenii, nie będzie jej serce żałowało. Gdy
trzeba będzie ukrywać tę sprawkę, nadejdzie za-
pomnienie o miłości. Tamci zrobią tę rzecz czysto...
Lecz oto skądciś, jakby ze drzwi ciemności, wychy-
liła się twarz wytwornego pana w cylindrze. Jego
spojrzenie, jego uśmiech, ruch głowy!... Ryszard
zatoczył się w pustej ulicy. Bezdenność żalu, nie-
wysłowione uczucie, jak u psa, któremu pan umarł...
Cóż za pociecha, gdyby ją nawet zabito? Cóż z tego?
Już przecie dokonała się zdrada na zawsze! Niema
już Xenii! Jakąż radę poda wymądrkowana zemsta?
Jeszcze raz podźwignął się z tej zapadni obłąkania
ku radzie poprzedniej. Przemocą myśli układał plan
szczegółowy, wmyślał się w knowanie fenomenów
czynu. Zatopiony w tych wybiegach niedoli, krążył
wciąż na tem samym miejscu, pod nagimi drzewami,
które deszcz chłostał. Było to na jakimś pustym,
nieznanym mu placu. Chodził sam jeden, zataczał
koła jednakie, aż do chwili, gdy mu z całego planu
nikłe jakoweś wspomnienia wyrwały podstawę. Znowu
runęła nań bezradna męczarnia, upust wzruszeń, po-
wodujący nędzę upadku. Odszedł z tego miejsca i
włókł się znowu ulicami, które późna noc огоłociła
z ludzi. Ślepy, śmieszny i głupi brnął wpoprzek ol-
brzymiego miasta — przez czarne piekło. Spotykał
już tylko włóczęgów i rozpustnice, czatujące na nich.
Od widoku rozpustnic wstrząsała się w nim boleść,

jak gdyby nasycona nową mocą, wsparta nowym tchem. Przerzynał się wtedy sobą, duszą czującą, przez to zjawisko straszliwe w samym sobie, poprzez rozpustę. Mierzył je miłością swoją. Rozsądna walka ze sobą nie dawała nic. Chwile zwycięstwa nad uczuciami były tryumfem soldateski woli, opijaniem się i obżeraniem obfitością siły, spoczynkiem w chamstwie krótkiego spokoju na czemś, co łkało, jak niemowlę. Cóż z tego, że nie pozwolił sobie na wybuch wewnętrznego żalu, na ślepą rozpacz? Nic z tego nie miał, jeśli w jakim zaułku te monstra duszy pokonał i szedł dalej, jak normalny włóczęga. Nic nie miał z mniemanej beztroski i kawalerskich sofizmatów o mocy — nic nie miał ze wzgardy, wydartej ze siebie, wykręconej z jestestwa. Siłą potężnego zaparcia drzwi do czułości zdobywał jedynie odwłokę jej napaści. Nic nie miał z nowych krynic zapału, otwartych teźże nocy kuciem i waleniem w skałę, która go przytłukła. Na nic mu było wszelkie śmieszne wyrwidębstwo i chamsko-soldackie waligórstwo. Miał to w sobie i stał nad tem wszystkim w ośpieniu, widząc, że to na nic. Przecie moc duszy i wielkość serca nie miała z tymi środkami ratunku nic wspólnego. Moc człowieka — to przecie entuzjazm, zamieniony na robotę czynu. A on miał tylko samą robotę, wydębioną z sił niewolnika. Ach, nie chciał już szukać panny Xenii!... Myśląc o tem, w jaki to sposób zaprzestanie już dawniejszych praktyk zupełnie, zbłądził w wązkich i krętych uliczkach. Wszystko mu było jedno, gdzie jest i dokąd idzie. Domy, bramy, latarnie, zamknięte sklepy, długość ulic i ciemność — były to postacie

naigrawania się zeń rzeczywistości — formy zemsty. W pewnem miejscu trafił oczyma na kształt przychylniejszy, na mur czarny, wyniosły. Przypatrzył mu się, zadarłszy głowę do góry — i poznał.

— Ach, to ty! — wyszeptał poprzez narywającą zagnęła boleść — do muru Saint-Severin. Jak gdyby spotkał w swej drodze winowajcę i twórcę nieszczęścia, zbliżył się do tej wyniosłej ściany, za którą ongi krzyżem leżeli ojcowie, twórcy ducha narodu, — a którą za jej kształt tak dawniej kochał... Znajomym chodem okrążył ją, gdzie uchodziła z ulicy w zakręt swój portalowy, i stanął, wzdychając, z głową opartą o zimne kamienie. Wszystko, co się stało, zobaczył teraz w migotliwym świetle błyskawic swej miłości. Dni i noce wszystkich marzeń o szczęściu, wszystkich tęsknot, zeszyły się teraz w jedno, stały sumą i zmieszczyły w tej chwili. W tej też chwili uczuł swą klęskę nie do przeżycia. Patrzył w drobne szczęścia pamiątki i rozumiał, że już nie są zapowiedzią, lecz obrazem rzeczy przepadłej. Ta to pewność zwała go z nóg. Upadł na twarz. Bezsilne łzy wylewał w głązy. Wyl w kamienie. Całował zimną płytę. Wołał ku sobie Boga z głębi, z najniższego upadku. Tak długo leżał w szlochach modlitwy, aż się przed jego duszą ten czarny mur rozstał. Oczy, zalane potokami łez, zaprawdę ujrzały w głębinach niejasną postać. Stał nad nim nieomylny Sędzia, który trzyma w ręku ciężar i lekkość, rozpacz i radość, karę i nagrodę, — Przyjaciół, Nauczycieli i Wychowawcę, — patrząc się w głębokość piekła jego duszy. Wtedy nieszczęśliwy począł błagać o zbawienie Xenii ze wszech swoich sił.

Być może, że wołał głośno, bo go końcem buta potrącił jakiś człowiek. Coś gadał. W mroku nie można było rozpoznać, kto to, w zaćmieniu zrozumieć, czego chce. Ryszard nie chciał rozmowy. Lepy, śmieszny i głupi, a jednak niosący widok Boga w sercu swoim, odszedł z tego miejsca w nocną szarugę.

W kilka dni po przygodzie w teatrze, przed hotelikiem, gdzie Nienaski mieszkał, zatrzymał się automobil ciemno-zielony i tak wielki, że zatarasował podrzędną ulicę, a do stanu radosnej ekstazy doprowadził właścicielkę tego zbioru pokoiów. Sama, we własnej osobie wprowadziła inżyniera Czarnca na piętro i wskazała mu drzwi „apartamentu“ Nienaskiego. Tęgi „bussinesman“, jak się sam chętnie nazywał, wstąpił do pieleszy Ryszarda, udając, że nie widzi ani dywanu na schodach, wydeptanego przez pokolenia, ani wygniecionych mebli „apartamentu“. Rozmowa toczyła się żywo i przyjemnie o rzeczach najrozmaitszych. Okazało się, że inżynier dobrze już jest poinformowany o stosunku z Ogrodyńcem i Halfswordową, aczkolwiek nie wie, co się w tem naprawdę święci. Usiłował za pomocą przytyków i konceptów coś wysondować, ale to wcale nie wydało rezultatu. W trakcie rozmowy wspomniał o pewnym planie, który właśnie Ryszardowi przyszedł do smaku. Mówił w sekrecie, że agituje się teraz w Paryżu sprawa przeprowadzenia wielkiej linii kolejowej, która ma przeciąć Amerykę Południową, od oceanu Atlantyckiego, poprzez lasy Brazylii i stepy Argentyny.

Przyjechali z tym projektem rozmaici mężowie amerykańscy, ażeby go w Paryżu sfinansować. Cała sprawa spoczęła w ręku osobistości, której inżynier Czarnca był bardzo blizki, lecz której imienia nie mógł wymienić. Miał możność widzieć na mapie i skopiować linię tej przyszłej kolei, miał spisane dokładnie tereny, które ona przetnie.

— O cóż teraz chodzi? — pytał z uśmiechem. — Chodzi o podróż do Ameryki Południowej — oczywiście — z pieniędzmi i tą mapą w kieszeni. Chodzi o skupywanie ziemi, którą przetnie ta kolej, od rozmaitych karbokłów i cow-boy'ów, oraz wszelkich tamtejszych dzikusów, dojeżdźczaków i drapichrustów. Czy pan zdaje sobie sprawę, ile na takim zabiegu można zarobić? Za ile można sprzedawać ziemię przyległą do kolei, po jej wybudowaniu, kolonistom i osadnikom? Każdy centim da sto franków...

Nienaski potwierdzał, że to jest myśl godna zachodu. Ale czy sprawa budowy jest zupełnie pewna? A nuż się co zmieni? Można zostać z ziemią i lasem — bez grosza. Czy linia jest naprawdę już zatwierdzona i znana?

Na wszystkie te wątpliwości inżynier machał ręką. Wszystko pokrywał spokojnym uśmiechem. Interes jest murowany. Gdy Nienaski jeszcze o różne szczegóły rozpytywał, Czarnca rzekł kategorycznie:

— Jedź pan ze mną!

— A ja tam po co?

— Żeby zarobić w ciągu paru lat duże sumy.

— Nie mam przecie pieniędzy.

— Ja je mam. Będziemy kupowali razem. Ja dużo, pan mało?

— Z małymi i pożyczonymi pieniędzmi coś można zarobić?

— Można zarobić napewno. Pożyczę panu niewiele, ale pożyczę.

— Dziękuję. A dlaczego mnie pan wybrał na swego dłużnika?

— Bo pan jesteś, przepraszam za otwartość, człowiekiem pewnym, najpewniejszym ze znanych mi ludzi, a nadto — sam jechać nie chcę.

— Czemu?

— Rozmiałem w tym Paryżu. Zwlokłem się, jak dziadowski bicz. Żyję tu przecie, jak inni. Teraz-że siadaj na koń, czy na muła i tłucz się po dziewiczych lasach, wyrąbuj drogi w lianach; szukaj przejść w wertepach i górach! Pan jesteś człowiek zdrowy i tęgi. Jedźmy razem! We dwu damy sobie radę. Wyruszysz pan z niczem, a wrócisz bogaty.

— Ile czasu mogłoby to potrwać?

— Parę lat. Ja zobaczę te strony na oko, ocenię tereny, kupię, a pana zostawię, jako generalnego pełnomocnika.

Nienaski śmiał się. Oto znowu miał tentację nagrody za swe cnotki tutejsze, niegdyś wypraktykowane. Mierziło go to i obrażało. Burzył się i chciał odtrącić propozycję. Ale z drugiej strony — okazała się wymarzona. Pojechać w obce strony, przebyć ocean, zanurzyć się w lasy, skały, stepy. Może słońce równika wypali, wiatr oceanu wygwizdże i wyśwista z duszy piękno, którego nie można ze siebie wytepić.

Gdy Czarnca nastawał, żeby odpowiedzieć co do tej sprawy w zasadzie, w — zasadzie przystał.

Po odjeździe tego człowieka długi chodził w swym pokoju wzburzony do głębi. Zarysowały się przed oczyma nowe perspektywy życia. Praca w Paranie wśród osadników polskich, parobków i małorolnych, którzy są najdzielniejszymi kolonizatorami dzikiej puszczy. Osiąść wśród nich na czas pewien, poznać tam wszystko i zacząć pracę! Możeby tam znowu wrócił w serce entuzjazm młodości, utracona wesołość świszczypały, który świat odkupuje, zbawia i podpira od świtu do nocy. Teraz musiał zabiegać około swych i cudzych spraw i to z podwójną pieczołowitością. Zaangażował się był porządnie w kupno akcji kopalń węgierskich i chciał wycofać pieniądze, a zarazem coś przecie zyskać. Tymczasem te akcye nieznacznie, lecz wciąż spadały. Ogrodyniec pocieszał go nadzieją, że chwila odwetu jest bliska, i że on sam skupi wszystkie walory Uj-Kahul. Już teraz nawet gotów był nabyć akcye, będące w posiadaniu Nienaskiego po cenie nominalnej, a więc ze znacznym dla posiadacza zyskiem. Należało czekać, żeby nie przyjmować łaski od tego uprzejmego starca...

Pewnego dnia, już w drugiej połowie stycznia, właścicielka hotelu, a zarazem jego odźwierna, roztańczająca nad swymi gośćmi macierzyńsko-plotkarską opiekę, zastukała do pokoju Nienaskiego i po rozmaitych przedwstępnych ceregielach zwróciła jego uwagę na pewną ważną okoliczność. Ostrzegła go po prostu, żeby się miał na baczności, gdyż osoba jego i mieszkarnie podlega nadzorowi. Szpiegują go.

— Kto? — spytał z drwiącym uśmiechem.

— Pewien młody człowiek.

— Tutaj? W Paryżu? Szpieguje mnie młody człowiek?

— Tutaj, w Paryżu!

— Ten młody człowiek jest, oczywiście, cudzoziemcem?

— Nie. To Francuz rodowity. Mówi najzupełniej po francusku. Ale to nietylko on sam pana śledzi.

— A któż jeszcze?

— Pewna młoda dama, Niemka.

— Co u licha? Niemka! Jak wygląda?

— Proszę, niech pan się zbliży do okna i ostrożnie popatrzy, to ją pan zaraz spostrzeże.

Nienaski skwapliwie posunął się ku oknu i, schowany za firanką, oglądał ulicę. Hotelarka wskazała mu na rogu zaułka osobę młodą, biednie ubraną, w filcowej kapelusinie, zrudziałej i splaszczonej z jakimś suchym kwiatkiem, który podobny był do węzła splątanego szpagatu, — w zielonym, syberyńskim kabacie do pięt — i w kaloszach. Te kalosze dały Ryszardowi wiele do myślenia. To już pachniało bardzo odległym Wschodem.

— Skądże pani wie, — zapytał, — że to jest Niemka?

— Bo z nią rozmawiałam! Ledwo — ledwo może się po francusku wyjęzyczyć. A zresztą, gdym zapytała, czy jest Niemką w istocie, — potwierdziła. To chyba wystarcza.

— Gdzie pani z nią rozmawiała?

— U siebie, na dole, w łóżu.

— Jakto, przyszła do pani?

— Skądżeby mogła wiedzieć, że ona pana mianowicie szpieguje, gdyby się do mnie nie zgłosiła? Przyszła i rozpytywała długo, szczegółowo i natrętnie, kiedy pan wychodzi, o której porze, godzinie i minucie, jakimi drogami udaje się pan do miasta, — gdzie pan bywa, u kogo, kto u pana... Z temi samymi pytaniami przychodził przedtem ów młodzieniec, o którym mówiłam. Tak samo rozpytywał mnie najszczegółowiej, nadewszystko o to, którądy pan chodź do miasta, któremi ulicami...

Te wiadomości zastanowiły Ryszarda. Rozmyślał nad tem, kto też może go tutaj tropić. Tutaj! Było to śmieszne. Jakaś mistyfikacja, czy pomyłka. Nie przedsiębrał nic politycznego, nie widywał się z żadnym człowiekiem politykującym. Lecz skoro znano jego nazwisko, nie mogła to być pomyłka co do osoby. Śledzono przecie lege artis. Raz jeszcze wyrżał na ulicę i przypatrywał się „Niemce“. Istotnie, defilując po chodniku, albo stercząc widomie na rogu, dziewczysko to raz w raz rzucało oczyma w jego okna, albo oglądało się na drzwi wejściowe. Była to puculowata, piegowata, z małym, zadartym noskiem i niebieskimi oczyma — typowa „Niemka“, skądś, z „ostziejskich prowincyi“. Bardziej jednak niepokojąco zarysowywał się problemat owego młodego Francuza. Nienaski rozpytywał o niego szczegółowo. Okazało się, że jest to młody człowiek, lat dwudziestu trzech najwyżej, elegancki, porządnie ubrany, jednym słowem — młodzieniec z dobrej sfery. Co do Niemki, to właścicielka hotelu nadmieniła, że ta wystaje tutaj oddawna.

Nieraz tyle czasu trawiła na czekanie, że to zwróciło powszechną uwagę sklepikarzy i sklepikarek ulicy. Dość powiedzieć, że sam pan sierżant z sąsiedniego placu, widząc ze swego posterunku to pracowite, całemi godzinami wystawanie, spytał się pewnego razu w najniewinniejszej myśli, czy nie mógłby koleżance być w czem pomocnym. Odburknęła wtedy, że ma prawo stać na tem miejscu, skoro się jej tak podoba, a gdy nic złego nie wszczyna, to czego policya chce od niej. Istotnie, pan sierżant musiał uznać słuszość argumentu i oddalił się, jak zmyty. Hotelarka zwierzyła się Nienaskiemu, iż na własną rękę obserwowała czynności „Niemki“, gdy on z domu wychodził. Otóż wtedy szpiegówka szła za nim krok w krok, ale tylko w tych wypadkach, gdy skręcał w ulicę i siedł piechotą. Ponieważ jednak rzadko chodził na piechotę do miasta, więc obserwacya nad obserwacyą szybko się kończyła. Gdy schodził do najbliższej stacyi „Métro“, Niemka podążała za nim chyżo i sprawnie. Zrazu wszyscy sądzili, że to jakaś afera miłosna, za-wiedziona donna i tak dalej. Nikt się w takie rzeczy w Paryżu nie wtrąca. Tegoż zdania były wszystkie sklepiczarki. Lecz młody człowiek, dopytujący się o to samo, komplikował sprawę. To też nadeszła chwila ostrzeżenia... Któż może wiedzieć, co się poza tem kryje? Ostrzeżenie hotelarka uważała za swój obowiązek wobec lokatora, który — i tak dalej...

Gdy Nienaski, po wyjściu tej damy, został sam w pokoju, rozmyślał spokojnie nad rewelacyą. Dawne, wystygłe sprawy polityczne? Było to niewiarygodne... Lecz któż mógł wiedzieć? Śledzenie, któremi

ulicami chodzi do miasta? Czyżby go chciano porwać, uwięzić, napaść, zasztyletować? Co u licha! A czy nie nowi przyjaciele, giełdciarze, pan Ogrody-niec i baronowa Halfsword, chcą dokładnie wiedzieć, co to on porabia, z kim przestaje i jakimi chadza drogami? Było to i prawdopodobne i niemożliwe zarazem. Czy nie przeciwnicy tamtych, to znaczy Ogrodyńca, Halfswordowej i owego Lafleura, inżyniera z Uj-Kahul, zwietrzywszy w nim strohmana, chcą poznać prawdę stosunku jego, Ryszarda, do tamtych? Widywano go przecie u Ogrodyńca i Halfswordowej na sekretnych naradach... Ów ponury, bladej lokajczuk Ogrodyńca, syndykalista „bizon“ baronowej... Widzieli ci ludzie, gdy wsiadał z Ogrodyńcem do automobilu, szofer wie, że wysiadał przed giełdą. Chcą wiedzieć, kim jest ten obcy przybysz, kapitalista z pod ciemnej gwiazdy. Rzecz była niemal wyjaśniona. To są szpiegostwa min i kontrmin giełdowych. Przestał nawet o tem myśleć, jako o rzeczy dowiedzionej.

Gdy wyrzał jeszcze raz na ulicę, zobaczył „Niemkę“ na posterunku. Jak murowana figura tkwiła na rogu ulicy. Postanowił zabawić się i wytropić jej manewry. Narzucił co prędzej okrycie na ramiona i wolno wyszedł z hotelu. Ocieężałym krokiem, poświstując i rozglądając się po wystawach sklepowych, włókł się pustą prawie ulicą właśnie ku miastu, w stronę ogrodu Luxemburskiego. Gdy przemaszerował prawie całą ulicę, zapalił papierosa i udał, że starannie gasi zapalkę. Odchylił wtedy na bok głowę i rzucił okiem na chodnik przeciwny. „Niemka“

szła za nim. Postanowił tedy prowadzić dalej grę, aż nadto dobrze znaną sobie z czasów młodości. Szedł leniwie ulicą Notre-Dame de Champs, skręcił w Vavin. Tu i owdzie zatrzymywał się przed wystawą sklepową i skrycie rzucał wejrzenie poza siebie. Tropicielka szła za nim krok w krok po tym samym chodniku. Stanął przed narożnym magazynem z reprodukcjami fotograficznymi i przepuścił ją przed siebie. Ruszyła na drugi chodnik ulicy d'Assas i formalnie czekała. Przebył tedy wpoprzek tę ulicę i wszedł do parku. Dopóki zwolna kroczył szeroką aleją, pannisko taszczyło się równolegle wąską alejką. Gdy zaś po schodach zstąpił w środkowe zagłębienie parku i okrążył klomby kwiatowe, ona pomknęła środkiem, obok sadzawki, wbiegła na przeciwległe schody, prowadzące w kierunku bulwaru Saint-Michel. Kiedy doszedł do szczytu tych schodów, widział ją już przy bramie, prowadzącej na bulwar. Nie rozumiał już teraz zupełnie, co to znaczy. Był zaś bardzo ciekawy, co dalej być może. Przy bramie żelaznej owa „Niemka“ wałęsała się tam i z powrotem, wyraźnie czekając na jego nadejście. Gdy zaś był już w pobliżu, prędko wyszła i znikła w tłumie ulicznym. Nic się tedy nie dowiedział, co to może znaczyć.

— Zaraz... — rozmyślał. — A czy mię tutaj teraz nie będą napadać jakie draby? Może brać przemocą do automobilu? Cóż za głupstwo — reflektował się — coś za mania grandiosa! W biały dzień na jednej z ulic Paryża!

Powoli dotarł do bramy parku i rozglądał się po ruchliwym rozwidleniu ulic. „Niemka“ znikła na

dobrze. Nie miał chęci wlec się dalej. Do domu nie było poco wracać. Dzień był mglisty, lecz miły, cichy. Ryszard postanowił chodzić z godzinę po parku. Biła właśnie trzecia godzina na zegarze Senatu. Zawrócił w aleję i, potrącając laską pnie drzew, zatopił się niepostrzeżenie w swe myśli-czucia. Doszedłszy do schodów, zawrócił i stał w miejscu, niezdecydowany, co dalej robić: wracać do siebie, czy jeszcze czekać na wypadki... Aleja główna była prawie pusta. Gdy w nią teraz wzrok skierował, stracił wątek swych myśli. Jak woda z naczynia, które nagle pękło od potężnego uderzenia, wysączyły się wszystkie... Dech zamarł, stanęło w biegu serce, tętna przycichły. Cichy, radosny szum w uszach. Ten moment życia, jedyny i nieskończony!... Panna Xenia Granowska szła sama środkiem alei — czarna, aksamitna, polyskliwie wyraźna na żółtej drodze, uderzająca, jak okrzyk trwogi. Nienaski bezmyślnie posunął się na spotkanie idącej. Zrównał się z nią. Gdy był o dwa kroki, podniosła głowę, oczy spuszczone na ziemię i, w odpowiedzi na jego ukłon, wydała lekki okrzyk zdziwienia:

— A! pan Nienaski...

Zatrzymał się i nieśmiało wyciągnął do niej rękę. Mając w swej dłoni jej dłoń w dziwnie małej, czarnej rękawiczce, zwolna ocułał się z nierozumu. Fale obłąkania, przez tyle dni i nocy huczące w całym jestestwie, teraz opadały bezsilnie. Patrzał na Xenię — i przedewszystkiem tego nie mógł pojąć, że nie czuje spodziewanej radości. Ani szczęścia, ani uciechy... Po prostu nic. Spostrzegł natychmiast, że

ma wargi zlekka ukarminowane, — paskudnie, jakimś smarowidłem na czarno usmolone lśniące brwi, a nawet pod czarodziejskimi oczami, w zagłębieniach dolnych powiek jakieś śniade macania farbą. Zresztą puder... Te obserwacje i wrażenia trwały niepomier- nie krócej, niż ich opis. Na wdzięczny, kokieteryjny jej uśmieszek, odpowiedział niezbyt przychylnem słowem:

— Jeżeli pani spotkanie ze mną i obecność moja w tym parku sprawia przykrość, mogę zaraz odejść. Chciałbym tylko wiedzieć, jaki jest adres pani mieszkania, gdyż mam dawno jakąś ważną posyłkę od pani Topolewskiej.

Żadnej posyłki nie miał. Kłamstwo to utworzył w tejże chwili, w błyskawicznym olśnieniu, iż w ten sposób, przez zaciekawienie, adres wyludzi.

— Ma pan posyłkę? Dla mnie?

— Tak.

— Od Saby?

— Tak.

— Dawno?

— O, bardzo dawno! Ponieważ pani zabroniła i pani Żwirskiej i pani Topolewskiej udzielenia mi swego adresu, nie mogłem oddać. Już to blisko trzy miesi- ące, bo od przyjazdu, mam u siebie.

— Jeżeli to jest co do jedzenia, to ładnie wy- gląda... i pachnie.

— Złe to nie pachnie, więc, widać, nie jest ja- dalne. Zresztą, nie wiem.

— Skądże to pan wie, że zabroniłam Saby i Lencie dać panu mój adres? — pytała z przewrotnym

uśmiechem, schodząc z tarasu na dół. w kierunku okrągłego basenu.

— Z listów tych pań.

Parsknęła zcicha swym śmieszkiem niezrównanym i rozglądała się po wierzchołkach odległych drzew.

— Cóż, dobrze się pan bawi w tym Paryżu? — spytała.

— Dosyć dobrze. Dziękuję za pamięć.

— Dużo pan ma znajomości?

— Chwalić Boga, nie mogę skarżyć się na brak znajomości.

— Poodnajdywał pan tutaj swe wielkoświatowe stosunki z damami, a także swe wielbicielki, spo- łecznice, panny z uniwersytetu?

— Pytanie tak hurtowne... Może pani raczy za- pytać partyami, stanami społecznymi, albo na wy- rywki, łatwiej mi będzie prawdę powiedzieć.

— Można i nie odpowiadać, bo mię to ostatecznie nie interesuje, — rzekła, wydymając wargi z imperty- nencką bufonadą. — Tak się zapytałam, bo mi o tem w uszy kładli, że pan tu taki otoczony, obłożony przez różne damy, katoliczki i żydówki...

— Nawet żydówki... Tiens! A kto to pani kładł w uszy?

— Byli tacy.

— Proszę pani, a ten szuwaks na brwiach, to się od mgły nie rozpuszcza? I to pod oczami, może być na deszczu tak sobie — i nic? To nie rudzieje? Chyba cieknie po twarzy? A, nie! Teraz nie cieknie! Gdyby tak było, tobym powiedział, bo przecie ja jestem wierny pani przyjaciel.

— Czy przyjaciel, tego nie wiem. Ale że saloni-kowy warszawiak, to pewna. Polak! — mruknęła z odrazą, jakoś głębią krtani.

— Pożegnaj panią za chwilę... Tylko chciałbym dowiedzieć się o adres. Najlepiej będzie odesłać to pocztą? Prawda?

Miała teraz oczy spuszczone i złość w pobladłej twarzy. Po chwili wstrząsnęła głową i rzekła, patrząc gdzieś na bok:

— Nie jestem ciekawa tej przesyłki. Niech ją pan zniszczy, albo komu daruje.

— A, nie! Ani niszczyć, ani darować samowolnie cudzej rzeczy nie można. Skoro pani przyjąć jej nie chce, muszę zwrócić ją pani Topolewskiej.

— To niech jej pan zwróci!... — dorzuciła z wrastającym gniewem.

— Będzie to dosyć kosztować, a także kłopotliwe.

— Dobrze! Proszę odesłać do mnie. A co tam jest takiego?

— Pani! Ja nie wiem.

— Proszę odesłać na rue Blanche Nr. 23. W podwórzu, na pierwszym piętrze.

— Rue Blanche 23, w podwórzu, na pierwszym piętrze... — powtarzał kilkakrotnie pilnie, z rozważą.

— Adres położyć na nazwisko pani, czy na nazwisko tego pana, z którym panią widziałem w Folies Bergeres?

Twarz jej zwolna pokrywała się różem, ponsem, szkarłatem. Niema, wzburzona wewnętrznie, a udająca wesołość szła obok niego kilkadziesiąt kroków. Nie spodziewał się zapytania, które w końcu usłyszał:

— Kiedyż to mnie pan widział w Folies Bergeres?

— W jesieni.

— To nieprawda! — rzuciła wręcz.

— Widziałem, jak pani z tym panem, blondynem w cylindrze bawiła się w teatrze, a później, jak pani z nim wsiadła do automobilu.

— No, więc co? Czemuż pan do nas nie podszedł?

— A czemu pani mówi, że to nieprawda o bytności w teatrze?

— Bo panu nic do tego!

— A nic mi tam do tego! Pytam się, do kogo adresować?

— Cóż to za niedelikatność! Że byłam z kimś w teatrze, to zaraz inwektywa, żeby przesyłkę od rodziny do tamtego adresować... Otóż... dla odparcia wszelkich insynuacji... mówię panu, że ów blondyn jest to adwokat, broniący mego ojca. Jest dla mnie dobry i grzeczny, nie tak, jak wy, wszyscy, wszyscy!

Siłą powstrzymywane łkanie wyrwało się z jej ściśniętego gardła. Ale teraz nie wzruszył go ten głos! Rozpętywała się dzika rozkosz od duszenia w garściach tego rajskiego ptaka, tego motyla, który z przestworów tajemnicy nadleciał. Nie uwierzył ani jednemu jej słowu. Doskonale spostrzegł dwa kłamstwa: najpierw nieprawda, żeby wogóle miała być w Folies Bergeres, — a teraz „adwokat ojca“...

— Moja rola jest skończona, — mówił wyniośle. Nie mam prawa wchodzić w to, kim jest ten pan. Nie miałem wcale zamiaru ubliżyć pani. Powiedziałem wprawdzie to... niedorzeczne zdanie. Wyznaję, że to było bez taktu. Ale przecie wszystko na świecie

jest możliwe. Przepraszam panią bardzo za to moje wyrażenie.

Wytarła łyż chustką. Przy tej okazji niepostrzeżenie, jak mniemała, usunęła palcem śniade smugi pod dolnymi powiekami.

Szybko oczyściła wargi z karminowej barwiczki. Nienaski patrzył, jak te usta, odzyskawszy swój przyrodzony kolor, stały się śliczne.

— Kiedyż — pytał — można odesłać paczkę? Jutro rano, dobrze? A o której godzinie?

Mówił to łagodniejszym już głosem, ale tylko w tym celu, żeby jakoś wybrnąć ze swego kłamstwa i powziąć napewno wiadomość ścisłą o adresie.

— Do pierwszej po południu jestem zwykle w domu.

— Pani mieszka tam, na rue Blanche Nr. 23?

— Tak, odnajmuję pokój umeblowany od jednej znajomej, króra ma zakład fotograficzny. Na drzwiach tego zakładu wypisana jest nazwa firmy — „Thérèse“. Są to drzwi ze szkłem matowym. Na tym szkłe jest ta firma wypisana. Pierwsze piętro w podwórzu. Trzeba przejść chodnikiem całe podwórze, aż do schodów w głębi sionki. Na pierwszym piętrze...

— Będę pamiętał: Firma „Thérèse“.

— A pan długo zostanie teraz w Paryżu?

— O, nie! Broń Boże! Dość już tego Paryża! Wyjadę stąd i to, na szczęście, już niedługo.

— Do Warszawy, do Krakowa?

— Nie proszę pani. Pojadę na bardzo długo do Ameryki Południowej.

Szła spokojnie, patrząc przed siebie i słuchając tego, co mówił.

Spoglądał teraz na nią z boku. I znowu — znowu, nie oczyma, nie zmysłami, lecz niepojętem wewnętrznym czuciem, jestestwem duszy spostrzegł ją, poznał i wchłonął na nowo. Jakby w górach dalekich, w niewymownie pięknych Tatrach wołanie nocne:

— Xenia! Xenia!

Nie mógł nic mówić. Szli w milczeniu. Poprosiła, żeby usiąść na chwilę, bo była nieco zmęczona! Ale zaledwie usiedli przy ulicy, prowadzącej do galerii luxemburskiej, zauważył, że ona znowu czegoś płacze, a raczej usiłuje płacz ukryć. Wargi jej drżały. Twarz stała się chmurna i ciemna.

— Pani ma może jakie smutki? — rzekł w pomieszczeniu.

— O, nic, nic! Trochę jestem rozdrażniona. To wnet przejdzie.

— Wspominała pani o ojcu. Czy mógłbym zapytać?...

— Może pan będzie nieco wyrozumiały i nie zechce mnie o nic, a szczególnie o to, pytać.

— Temu jasnemu panu, z którym panią widziałem w automobilu, opowiada pani swe smutki?

Spojrzała na niego potężnymi płomieniami oczu i odrzuciła go wyniosłe słowami:

— Opowiadam! Rozumie się! Są to nasze wspólne sprawy i zmartwienia. Moje i jego!

— Szkoda, że nie wolno mi być pani przyjacielem!

— Przyjacielem!...

— Tak, o to prosiłem półtora roku temu w Ujazdowskim parku...

Nic na to nie odpowiedziała. Znowu osuszyła oczy chustką, pytając:

— Kiedyż pan stąd wyjedzie?

— Za parę tygodni. Zapewne, tak... Za parę tygodni.

— Czy można zapytać, — pan się tu zajmuje sprawami społecznymi, interesem polskich stowarzyszeń, organizacyi... Prawda?

— Mniej więcej. Tak, jak wszyscy...

— Bywa pan także i u ludzi bogatych?

— Bywam u paru.

— U pań bogatych?

— Bywam u jednej bogatej damy.

W owej chwili przechodziła obok dziewczynina — obdartus, sprzedająca wczesne, bezwonne fijołki. Stała przed ławką, nadstawiając swój koszyk z kwiatami. Nienaski kupił dwa bukiety i podał je pannie Granowskiej. Przyjęła je z wdzięcznym uśmiechem. Gdy włożyła te bukiety między klapy swego zimowego paltota, stała się urocza, jak samo widzenie piękności. Smutek, przechodzący przez jej serce, powlókł twarz bladością, a oczy nowym wdziękiem zaczarował. Milczała. Nienaski siedział obok niej również w milczeniu. Tuż obok siebie miał teraz ten jej paltocik, który w Folies Bergeres był widziałem, snem, obłokiem znikającym... Poczynają się w nim tortury duszy, których przebieg znał tak dobrze... Podniósł głowę i, patrząc w jej twarz, mówił:

— Proszę pani, ja nie mam żadnego pakuunku od pani Topolewskiej.

— Niby ja nie wiem!... — uśmiechnęła się, jak dziecko spłakane, które się rade przeprosić.

— Chciałem wyżebrać, a raczej wyszachrować pani adres.

— O, pan jest nadzwyczajny Macchiavel! Powinien pan ogłosić w Sorbonie kurs przebiegłości, metodykę podstępów i dawać korepetycyę prywatne dyplomatom! To było tak dobrze skonstruowane i ukryte, że aż panu dałam fałszywy adres, żeby nie wpaść w jaki potrzask. Bo zdaleka być trzeba z dyplomatanami! Niech mi pan teraz szuka do sądnego dnia!

Zakołysały się gmachy, drzewa, ziemia pod nogami i ta ławeczka, na której spokojną toczyli rozmowę. Nie tym sztucznym świadomie, ani mściwym bezwzględnie głosem, lecz swoją własną mową zatraconej miłości rzekł do niej:

— Niech mi pani powie tylko tyle: czy pani kocha tamtego pana, adwokata swego ojca? Przecież to powiedzieć można. Jeżeli tak, to ja już pójdę. I skończy się to już raz nareszcie! Już nigdy!

— A dlaczego pan się o to pyta?

— Dlaczego się pytam... — wyszeptał, patrząc w ziemię.

— Powiem panu, owszem, powiem prawdę!

— Taką, jak z tym adresem!

— Taką samą, bo adres jest prawdziwy. Ten człowiek mi się trochę podobał... Czy to jest zbrodnia, że mnie się kto podoba? Z wierzchu? Ale teraz już go nie zobaczę więcej na oczy. Nigdy w życiu!

Nareszcie odpowiedź po tych wszystkich nocach!

— A gdzie wysiadł?

— Przed bramą ja wysiadłam, na ulicy Blanche 23, tam, gdzie mieszkam.

— I cóż potem?

— Nic. Pożegnał się ze mną i odjechał.

— Ale bywa u pani?

— Nie. Nigdy u mnie w mieszkaniu nie był. Ani jednego razu!

— Więc gdzież go pani widziała?

Zastanowiła się przez chwilę, nim wyrzekła, a raczej z tchórzostwa wythnęła z głębi piersi:

— U niego.

— Ach! — jęknął, jak rażony strzeleniem pioruna. Skurczył się, skręcił w sobie i fizyczną siłą sztukami i sposoby ciała pokonywał niestrzymaną boleść duszy. W zdrtwieniu swem czuł, że ona dotknęła się jego ręki, że obie jej dłonie ściskają jego bezsilną dłoń, że ją ciągną ku sobie i, — o, dziwne, przedziwne zdumienie! — że ją okrywają żarliwymi pocałunkami. Oderwał tę rękę od jej ust i spojrzał w oczy całem, rozwartem na ścieżaj piekłem męczarni, zamkniętem dotąd we wzroku. Była teraz cicha i pokorna. Bełkotała:

— Przecie panu wszystko powiem! Wszystko a wszystko!

— Nie! Prawdy — nie!

— Powiem!

— Ten pan, to jest niezależny człowiek, kawaler?

— Żonaty.

— Więc gdzież pani bywała u niego?

— Ma wynajęte oddzielne, małe mieszkanie.

Znowu, — jeszcze gorzej, — znowu, aż do zemdle-
nia nielitosne uderzenie żęgałem. Tymczasem, jakby dla osiągnięcia najgłębszego dna rany, ona mówiła cicho i spokojnie, gubiąc się w dziwnych sromach, to znowu w lubieżnych uśmieszkach:

— Niech pan posłucha uważnie..

— To mieszkanie wynajął dla pani?

— Ale skądże znowu! Jest to kancelarya jego, czy co, ale umeblowana bardzo ładnie, elegancko i tak wykwintnie, jak tylko u Francuzów można zobaczyć. Ma śliczną zastawę do herbaty... Na stole fotografia żony i dzieci... Kanapki, etażerki, książki, ilustracje... guéridon, pełno kwiatów...

— To pani tam u niego na herbacie bywała?

— Tak... — potwierdziła, nie wiedząc, czy to dobrze, czy źle. — Mówiliśmy o sprawie ojca, a on przyrządzał przez ten czas herbatę. No, więc miałam nie pić, gdy już zagotował w takim srebrnym, ślicznym czajniku?

— A jak on się nazywa, ten pani adwokat?

— A bo ja wiem! Nie wiem.

— I to nie jest kłamstwo! Pani trafiła do jego... mieszkania, a nie wie pani nazwiska... To nie „kancelarya“, pani!

— No, nie wiem. Powiedział mi adres ulicy i domu, określił drogę. Rez-de-chaussée... Zostawił o naznaczonej godzinie otwarte drzwi. Cekał za temi drzwiami, bo natychmiast otworzył... Tyle wiem, że mu Andrée na imię.

— Tak, imię było potrzebniejsze w tej sprawie, niż nazwisko...

— Szłam jednego dnia — a żeby też pan wiedział skąd? koło Palais de Justice. Zaczepił mnie jakiś błazen i nie chciał odstąpić...

— Gdy się kto tak maluje, to co dziwnego?

— Przechodziłam na drugi trotuar, cofałam się w tył i wyprzedzałam go, bo to było oberwane i paskudztwo — na nic! Łazł i mamrotał. Aż, nie mogąc sobie z tem poradzić, stanęłam i namyślałam się, czy nie zawołać „pelerynki“. Podeszedł do mnie ten adwokat i obronił mnie od tamtego. Z sądu wtedy wychodził i zobaczył moją przygodę. Odprowadził mnie do domu...

— Zastąpił tamtego.

— No, tak. Okazało się, że jest bardzo przyjemny, sympatyczny, inteligentny...

— Przystojny...

— A nawet i przystojny, choć już troszeczkę myszką trąci. Był u mnie raz w hotelu, na Saint-Honoré, bo tam wtedy mieszkalam. Wtedy wspomniałam mu o sprawie ojca. Prosił, żeby przyjść z tem do niego, do mieszkania. No więc poszłam, według adresu, który mi zostawił...

— Ileż razy pani była u niego? W tem „aimoir“?...

— Trzy razy.

— Czemuż pani już nie chce do niego chodzić?

— Bo gdym przyszła trzeci raz na jego pisemne zaproszenie, zastałam tam jakąś damę.

Śmiał się długo, jak zupełny obłąkaniec, z wyniosłą niby pogardą. Słowa okrutne, jak mściwe razy

basiosem, przewalały się w jego myślach. Zdławił je w sobie i zatrzymał przemocą. Milczał. Znowu jej ręce ujęły jego rękę. Cichy, błagalny głos dopraszał się jego łaski:

— Już go nigdy więcej nie zobaczę! Już nigdy, a nigdy!

— Dlaczego?

— Bo nie! Już mam teraz obrzydzenie do niego.

— A przecie pani przed chwilą mówiła, że to jest jedyny przyjaciel, obrońca ojca?

— No, mówiłam. Zawiodłam się. Już nigdy do niego nie pójdę, już ja go nigdy nie zobaczę! Pójdę z panem do kościoła i przysięgnę, że go nigdy dobrowolnie nie zobaczę!

Nie przyszło mu na myśl zapytać, dlaczego ona w jego ręce i przed jego majestatem składa tę swoją przysięgę, tak szczerze i prawdomównie. Wydawało mu się to naturalnem i usprawiedliwionem, aczkolwiek był przecie obcym dla niej jegomościem, którego z górą przez rok nie widziała.

— Jeszcze tylko jedno pytanie... — cedził przez zęby. — Nie chciała pani widzieć się ze mną, bo ten bezimienny adwokat podobał się w tym czasie? Prawda?

— Nie, nie dla tego... Ale może trochę i dla tego. To trudno odpowiedzieć. I nie teraz. Ale pan się dowie potem. Opowiem panu. A teraz ja zapytam, czy pan nie był w tym czasie zajęty romansami, historiami miłosnemi, przygodami?...

Słuchał tego, patrząc obojętnie w ziemię. Coś mruknął.

— Myśli pan — ciągnęła ze wzburzeniem — że nie wiem, co pan wyrabiał w tej mieścinie, w tej Posusze?

— A co?

— Myśli pan, że nie wiem — drwiła słowem, brzmieniem głosu i gestami.

— Dobrze, ale skąd pani o tem wie?

— Skąd wiem, to wiem!

— Że też to te niewiasty nic nie mogą utaić!

— Nie osiągnął pan w tym wypadku tryumfu, więc wszystko jedno.

— Tak, w tym wypadku przepadłem z krete-sem... — śmiał się do rozpuku.

— Miałam być tutaj jedna z szeregu! Co mi pan mówił w Warszawie, co pan wypisywał, a co potem!

— No, co potem?

— Pisała mi o panu Saba, mówiła mi Lenta. Z początku nie wierzyłam, ale mię przekonała rzeczywistość...

— Jaka rzeczywistość?

— Potem panu powiem. Bo pan przecie będzie u mnie bywał? To nieprawda, że pan znowu gdzieś tam jedzie...

— Prawda! — krzyknął jej prosto w oczy. — Właśnie, że prawda! Nie chcę już więcej męczarni, pękania oczu od wypatrywań w ulicach, po teatrach, knajpach, żeby zobaczyć, żeby raz spojrzeć!

Coś jakby światłość własna, wewnętrzna — podobnie, jak zorza przeświecła noc — natchnieniem szczęścia rozjaśniło jej twarz. Cóż to za uśmiech okazał się na jej ustach — i jakąś piękność rozpostarł

w rysach! Słuchała, co mówił, i jeszcze raz zasłuchiwała się w to samo, nurzając w dzikim wybuchu jego spowiedzi ten uśmiech wewnętrznego szczęścia.

— Takam czegoś zmęczona... — rzekła. — Pójdę teraz do domu. Ale mnie pan zaraz jutro odwiedzi. Jutro, o czwartej. Dobrze?

Nie mógł mówić. Od jej uśmiechu zatlił się w jego duszy uśmiech taki sam i poniósł radosną światłość do oczu, do ust.

— Czegoś mi chłodno — mówiła. — Tu wilgoć. Już sobie pójdę.

— Mogę panią odprowadzić?

— Dobrze, ale dokąd?

— Dokąd pani pozwoli.

— Do Saint-Germain de Près, bo pan się zmęczy gdyby dalej.

— Dobrze. A czy to pani chce wracać do siebie piechotą?

Skinęła głową. Wstali i już pod zmrok szli w kierunku bramy. W zupełnem, zupełnem szczęściu... Nienaski mijał tę bramę — wąskie, ruchliwe chodniczki ulicy Vaugirard — zakręt ulicy Bonaparte, pochyłość na dół, wiodącą do placu świętego Sulpijusza. Drzewa platanów, czarny, brzydki, ponury kształt kościoła — wszystko, co w tej minucie pod jego wzrok podpadło, zatapiało się w pamięć, jako forma szczęśliwości. Rozmowa toczyła się o niczem, banalna rozmowa, nakrywająca szczęście. Zwyczajne wyrazy, które mówili, były dla Ryszarda jak gdyby tony, zawierające wszechświat i wszystkie na nim przedmioty. Xenia wciąż uśmiechała się radośnie.

Było to zasadniczą jej cechą, że wesołość nadawała jej ciału powab niezwalczony, czyniła z jej organizmu istny rytm powszechnego życia. Każde skinienie głowy, każdy ruch ręki, każde spojrzenie i odemknięcie ust stawało się wtedy doskonałe i jedyne. Była przecie pospolitą kobietą, jak tysiące tysięcy innych, a jednak w takich minutach stawała się tylko symbolem, wyjątkowym ujęciem nieśmiertelnego piękna. Chciał jej powiedzieć o swych poszukiwaniach, wyrazić jakoś, choć w części, historię mąk — lecz wyrazy uwięzły w gardle. Poco było mówić? — Oto już się skończyły długie męczarnie! To ona idzie z nim wzdłuż tych samych ulic, wzdłuż katakumb śmierci, wzdłuż tych łóżysk, które sama tylko rozpacz się toczyła! Jakże miłościwy jest Bóg! On to wysłuchał nocnych modlitw i szlochów pod nagim murem. On to odemknął nareszcie wrzeczadze zamku utęsknienia i otworzył jaskinię ucisku!

Na placu przed kościołem Saint-Germain des Près zwróciła mu uwagę, że należy już pożegnać się. Prosił, żeby jeszcze pozwoliła iść ze sobą dokąds, na przykład, do Luwru. Powiedziała na to, że tylko chyba do Luwru, gdyż tam już wsiądzie do autobusu i pojedzie do siebie. Na tem stanęło. Gdy przeszli most i minęli Luwr, poczęła żegnać się i powtórzyła zaproszenie na jutro. Ukłonił się tedy i odszedł, niby z powrotem. Ale stanąwszy we wnęce bramy, w czadzie śwędu samochodów, powziął nagłą myśl, żeby jej teraz z oczu nie tracić. A nuż ów adres — to fikcja? A nuż ją znowu zgubi na zawsze? Zawrócił w mgnieniu oka i śledził ją oczyma w ruchliwym tłumie.

Czarne pióro na jej kapeluszu było wydatnym znakiem. Kryjąc się za filarami ulicy Rivoli, szedł wśród ludzi z oczyma utkwionemi w tej oznace Xenii. Ścisnęło mu się serce, gdy zauważył, że wcale nie podążyła, według zapowiedzi, na plac Komedii Francuskiej, lecz poszła pod arkady. Przystawała tutaj przed wystawami sklepów, osobliwie przed jubilerskimi. Pocieszał się refleksyą, że to przecie kobiecinka, maniaczka biżuteryi, jak na tej ziemi od niepamiętnych czasów one wszystkie. Cosi fan tutte! Jej piękność była tego rodzaju, że zwracała powszechną uwagę. Przechodzący mężczyźni zatrzymywali się i pili ją oczyma. Ten i ów szedł w jej ślady, dłużej lub krócej. Gdy się zatrzymywała przed witrynami, zaglądali jej w oczy. Nienaski zza swych słupów widział ich i jej zachowanie się — i zlatywał w swą przepaść. Nie! Ze swej znanej przepaści zlatywał w otchłań nową, nieznaną, w głębie inną. Uśmiechała się do tych podskakiewiczów ulicznych w swój łobuzersko-uliczny sposób i szła dalej. Gdy jej który przecinał drogę i natrętnie lał w oczy, niby to wymijała go, niby to marszczyła brwi... Wkrótce urwała się ta ulica udręczenia. Panna Granowska skręciła na rue Royale i przeszła ją całą. Nienaski biegł zdyszany, kryjąc się za słupami latarni i za drzewami. Przed wspaniałą szybą jubilera na rogu bulwarów, gdzie w elektrycznem świetle jaśniały olbrzymie kolie brylantów, naszyjniki, dyademy, kolczyki i pierścionki, stanęła na długo. Widać było, że marzy, śni, że uniesiona jest od zachwyty. Przeszkodził jej w tem młody jegomość, piękny paryżanin, wysmukły

brunet, modnie ubrany i ogolony. Zlekka uchylił kapelusza i coś do niej zagadał. Spojrzała na niego, uśmiechnęła się po swojemu, lecz nic nie odpowiedziała. Odeszła stamtąd. Ów zaczepnik kroczył obok i mówił do niej bez przerwy. Idąc teraz bulwarem, pełnym strojnego tłumu — nie wiedzieć — posuwała się w jego towarzystwie, czy oddzielnie? Mówiła do niego, czy milczała? Ryszard zbliżył się i, we wściekłości swej, chciał zobaczyć. Lecz tłum przeszkadzał, dzielił, odtrącał. Nieszczęśliwy widział tę zagadkę, dwoje idących przed sobą, wciąż razem. Nareszcie spostrzegł, że ona tamtemu odpowiada i że z nim rozmawia. Na rogu tej drugiej męczeńskiej ulicy, przed kawiarnią de la Paix młody ów człowiek skinął na automobil, a gdy ten podjechał — zapraszał Xenię uprzejmym gestem do wnętrza. Ona z tym samym śmiechem na ustach skinęła głową i przemknęła się wśród zwartego szeregu pojazdów w ruchu — na drugą stronę ulicy. Z okrągłego tarasu, wzniesionego na środku placu opery, obejrzała się na swego napastnika, który przy otwartym samochodzie bezradnie pozostał, i pognąła szybko dalej. Nienaski bez tchu biegł za nią w potoku ludzkim. Modlitwy, błagania, jęki obłąkane ku niej rwały się z pomiędzy jego zeschniętych warg. Błogosławił ją za ten krok, obejmował oczami, unosił na swych westchnieniach, jak na rękę. Śmiał się, dusił z radosnych wybuchów:

— I cóż strasznego! No, i cóż tak złego zrobiła! Zaczepił ją świszczypała? Alboż nie zaczepiły każdej pięknej i samotnie idącej dziewczyny na tej ulicy? Mówiła z nim? A któż to wie, co mu powie-

działa? Może jej słowa były równie dowcipne, równie przepyszne, nierównane i uczciwe, jak ten narożny uczynek!...

Lecz jego radość miała być znowu wystawiona na ciężkie próby. Na bulwarze Włoskim co chwila Xenię zaczepiano. Grupy birbantów, hulaków, kawiarnianych włóczykijów, myśliwców polujących na kobiety — wprost zatarasowywały jej drogę, albo ją goniły zaczepkami, epitetami, wezwaniami... Szła wśród nich wszystkich, śnać przywykła do tych metod i obyczajów, lubująca się w tych objawach łacińskiego wesela. Widział to i czuł, że jej czarujący, nieustępliwy uśmiezek należy do tego świata hulaszczego, że jest wrodzony jej, nieodzowny, niezbędny — że jest tonem, który powstaje między smyczkami i strunami. Jej młodość, piękność, wesele, tryskające ze zdrowia, żądza miłości i zabawy, użycia i poznania — oraz ta najludniejsza, najwykwintniejsza ulica w Paryżu!... Cóż mogło być między tą ulicą — i nią? — Nic. — Zaprawdę — nic! Jakaż to siła miała ją odtrącić od morza zbytku, wystawionego w oknach, od otchłani najciekawszych dla kobiety przedmiotów, od strojów, zabawek, połysków, od muzyki, tryskającej uwodzicielsko, z za drzwi kawiarni, od tajemniczy rozkoszy i przepychu, kryjącej się z lubieżną bezwstydną za tymi murami? Miałże ją może odgradzać on sam, głuchoskryty cierpik, Ryszard Nienaski? Cha-Cha! Społeczny majsterka do wszystkiego — doktor wszech-rzeczy po łebkach — fiksat, zbawiający świat współczuciem i palpacyjami serca — jegomość, który szczęką własną chciałby podgryźć

gmach dzisiejszego życia — miliarder in partibus infidelium, posiadający kilkaset pożyczonych franków w kieszeni — i akcje na giełdzie — idealista giełdziarz — cha, cha! Bolesław Chrobry w wygniecionych spodniach i podstarzałej marynarce, biegający po Paryżu za lekkomyślną panną! Kazimierz Wielki, porwany w pół drogi przez Esterkę — strohman giełdowy z bohaterstwą, zapiętą w tajnej kieszeni kamizelki bojową agrafrką!

Wąleś się od drzewa do drzewa, złorzecząc sobie — ciskając sobie w twarz nazwy szpiega, szpicla, babskiego detektywa. Nie władał już sobą, przypatrując się postępowaniu Xenii. Krew zalewała mu mózg. Łzy kapały z oczu w ściek, nad którym się czałł, wypatrując, biegnąc od drzewa do drzewa. Stawiał na kartę całego siebie w tym jednym celu, żeby przestać czuć to wszystko. Zatrzymać się! Odejść! Wrócić! Ale odejść nie mógł. Znowu przecie szła w towarzystwie jakiegoś draba. Znowu z tym rozmawiała. Tymczasem panna Xenia zostawiła i tego nowego towarzysza trotuaru wśród przesuwającego się tłumu, a sama podbiegła do okna jednej z największych kawiarni i długo przypatrywała się lanu, co było w jej głębi. Szybko pchnęła drzwi, wracające się na swej osi, i zagarnięta została do środka przez ten wiatrak, mielący ludzi. Nienaski stracił ją z oczu. Poszedł za jej przykładem. Zbliżył się do wielkiej szyby i zajrzał. Szyba była zapotniała do połowy, lecz z boku jej, równoległe do ramy, utworzył się pas czystego szkła. Ryszard zobaczył Xenię, siedzącą tuż, niemal pod tem oknem. Była

w towarzystwie jakiejś damy. Obiedwie siedzieli przy stoliku, twarzami zwrócone do szyby, więc mógł je doskonale widzieć w bujnym świetle elektrycznych kinkietów. Towarzyszka Xenii wyglądała na notoryczną dame fatale. Była jeszcze młoda, przystojna, z pięknymi, czarnymi oczami, szczupła i wysoka. Miała na sobie wielki kapelusz, strusie pióra do pięt — usta, wnętrza nozdrzy i uszu ukarminowane, brwi uczernione, oczy podkrążone na śniado, całe palce pokryte błyszczącymi kamieniami, w uszach migotanie niby brylantów — słowem wszystko, jak się patrzy, istny mundur, uniform kobiecy. Xenia coś tej damie opowiadała z najgłębszym przejęciem. Nienaski doznał wrażenia, patrząc na ruchy jej ust, na gesty i skinienia rąk, że przed tamtą zdaje z czegoś relację. Cóżby był za to dał, żeby to sprawozdanie usłyszeć! Wiedziałby wszystko, ujrzałby nareszcie odsłonioną duszę Xenii! Lecz szyba kawiarni była zbyt gruba. Za nią to, za tą szklaną przeszkodą była tajemnica jego życia, dusza jego duszy, niewiadoma wszystkich zdarzeń. Usłyszał, a właściwie po ruchu warg Xenii, gdy umawiała się z garsonem o napój, poznał dźwięk wyrazu cassise — lecz wszystko inne było tajemnicą. Patrzył na towarzyszkę, na tę szczupłą brunetkę i zadawał sobie pytanie — co to za jedna. Domyślił się teraz, dlaczego to Xenia nie chciała, żeby z nią szedł dłużej. Miała tutaj naznaczone spotkanie z tą damą. Wpijał się oczyma w twarz tej kobiety i notował ją sobie w pamięci.

Niedługo mógł te obserwacje prowadzić, bo obiedwie wkrótce zapłacili i wyszli. Ukryty za żelaznym

koszem, otaczającym bulwarowe drzewo, śledził je uważnie. Wrażenie, jakie wywierały na męską część przechodniów, było teraz zdwojone. Oglądano je, podpatrywano w świetle witryn. Skręciły w jedną z ulic, prowadzących w kierunku góry Montemartre i szły powoli. Wnet zjawił się obok nich jakiś cylindrowiec, wszczął rozmowę i swobodnie ją prowadził. Kroczył obok Xenii. Ona paplała z nim z żywością, śmiała się, zanosila od śmiechu...

Nienaski, patrząc na to misteryum, mijał place, ulice, miejsca dla płuc jego ciasne lub wolne — szyny tramwajowe, sklepy, zionące światłem i ciemne sienie, sztachety ogrodów i mury kościołów... Straszliwe przeżywał chwile. W sercu niósł śmierć. W oczach wielorakie zewnętrzne połyski i wewnętrzne koła krwawe. Ach, nareszcie skończyła się ta droga! Zatrzymały się przed jakąś bramą. Pan w cylindrze certował się przedziwnie długo z obiema. Gdy one znikły w bramie, wszedł za nimi. Ryszard dowłókł się do tejże bramy i zobaczył na niej oświetlony numer — 23. A więc — o cóż chodzi? — był u celu swych marzeń, u końca pragnień! To tu. Zajrzał w głąb dziedzińca... Tak, wszystko ściśle wierne... Chodniczek, przecinający ów dziedziniec...

Xenia szła po tym chodniku na przedzie, za nią ów pan w cylindrze, na końcu dama z wielkimi strusimi piórami. Oto ucieleśnione marzenie. „Ujrzeć ją, zdaleka zobaczyć!“ Toż patrz! Znikli w sieni. A więc nareszcie — nareszcie rozwiązanie zagadki! Z supła targań, zaplątań, skrętów — nie zostało nic. Nie było potrzeby słuchania przez szybę. Rzecz jest

zbyt prosta. Pustka. Ordynarny śmiech. Wreszcie i ulga. Ulga, jakby się nareszcie zlatywało na łąb w sztolnię.

— Miałem też o co tak się rozbijać!

Znowu śmiech.

— Tyle nocy i tyle dni.

Odszedł z pod tej bramy, powłókł się do końca ulicy i zobaczył napis:

— Rue Blanche.

A więc wszystko jest w porządku. Znowu szczerza ulga, jakby kto kastetem strzelił między oczy i do brotliwie przyćmił na długo myśli.

Śmiech najszczęśliwszy i najserdeczniejszy:

— To ona mnie na jutro... Na tę godzinę czwartą...

Ziewał. Myśl, że trzeba wracać dokąś... Do domu? Którędy się to jedzie? Gdzież to tutaj zejście do Métro?

Myśl sarkastyczna:

— Nie! Nie, moja panno! Nic z godziny czwartej! Jeszczebym ci się dał skusić...

Skądże po tej refleksyi ten straszliwy ryk w pierśiach, to dzikie wycie zwierzęcia, rządzącego człowiekiem, które teraz samotnie zdycha w polu? Nie mogąc zdławić wewnętrznych szlochów, nie mogąc zdeptać wolą samego siebie, szedł znowu w górę ulicy, tą samą drogą, z trudem dźwigając swe ciało. Miał głowę, ręce, nogi, krzyż, żebra jakby poprzetręcane żelaznym drągiem. Dotaszczył się do bulwaru Clichy — i szedł dalej. Migotały mu w oczach wielorakie ognie i głupie znaki bud nocnych Montemartru. Ze straszmem, śmiercionośnem przekleństwem ciskał

w nie spojrzenia, jakby w te gmachy zabaw miotał bomby. — To tu pewnie zgubiła się dusza Xenii. — Wspomniały mu się teraz imiona pań Topolewskiej i Żwirskiej. Ohydne klątwy przytłukły te dwa imiona. Szedł środkiem bulwaru. Trafił na wolny róg ławki pod drzewami. Usiadł tam, zgarbił się, zwiesił głowę i patrzył w ziemię. Mżył drobny deszcz i chłodna, zimowa wilgoć osiadała na twarzy, na rękach, na odzieniu. Potworna siła ciskała jego duszę w nieznane przestwory. Wszystko było blizkie. Dziś przecie widział był uśmiech Xenii, uśmiech dziecka, w którym odbija się miłość, jak obłok w jeziorze — niewinne lśnienie życia wewnętrznej cnoty. To Bóg swój blask usłał wtedy w tę twarz umiłowaną podczas krótkiego mgnienia oka. Ale skądże! To było przecie pospolite, człowiecze oszustwo! Mówiła mu, że już nigdy nie zobaczy tamtego „advokata“. Powiedziała, że na to może przysiąc w kościele... Może i prawda! Pocóż ma zachowywać wierność wobec jednego, lub dwu, kiedy ich jest tylu w ulicach szumnego miasta?...

Późno w nocy, u siebie w mieszkaniu, zaczął pisać. Sporządzał jakiś waryacki testament, czy list do tej panny. Przyszło mu na myśl, że to, co spisał w tej chwili, ona przetłómaczy na francuskie i, żeby się pochwalić, odczyta. Więc zdrętwiała mu ręka, skostniały palce i nie chciały stawiać liter. Chodził tam i z powrotem wzdłuż pokoju, szukając nadaremnie

środka ratunku. Nawroty, podmuchy, zbójcekie podchwyty nieszczęścia rzucały nim raz wraz. Na myśl o spoczynku, coś go trzęsło i odtrącało. Na myśl o jutrze, targał nim przestrach paniczny. Gdybyż znaleźć materialny środek zapomnienia, wydarcia wspomnień o upłynionym dniu, ekstirpacyę wiedzy o tej potwornej dobie życia! Zbierał się w sobie, mocował, uciszał, układał ze sobą, jak z zaciekłym nieprzyjacielem...

O późnej godzinie nad ranem usiadł w krześle i, podparłszy na stole głowę rękami, próbował zwyciężyć swe myśli. Ale wtedy poczynął się w głowie chaos i huk, niczem lecącego odgłos pociągu. Wśród tego łoskotu przemykały się widoki: kawiarnia na bulwarach, młody człowiek w cylindrze, dama z czarnymi piórami. Pewne wyrazy miały siłę palenia, niczem żelazo rozpalone do białości. Od dźwięku innych nie można było odczepić się żadną miarą.

Był już ruch w mieście, gdy Nienaski rzucił się na łóżko i leżał z otwartymi oczyma. Trzęsło go niezdrowie fizyczne, dreszcze, łamanie jakby w początkach tyfusu. W głowie tuman, w uszach huk. Wciąż sobacze wspomnienia... Gdybyż tylko tyle! Oto poczynął ścisnąć serce kat — żal. Ryszard krył się przed nim w rozmaite manowce, wnęki i kryjówki wyrwidębstwa. Latał uczuciami to tu, to tam. Nareszcie poczynął głośno gadać do świadka, czy do świata, do jednego na ziemi człowieka, czy do zbiorowiska ludzkich istot:

— Szkoda mi tej Xenii! Szkoda i mnie i wam tej ślicznej Xenii! Zabiliście w tej kobiecie anioła.

Teraz, cóż z niej zostało, co zostało! Szkoda mi tej Xenii!

O, jakież słowo wyrazi kurcz, dławiący zagnała serce — szpon jastrzębi żalu, który się wbija w gołębia miłości! Żeby go wyrwać ze siebie, musiał samemu sobie przyrzekać, że ją jeszcze będzie ratował. Za chwilę — ponura wściekłość niweczyła w nim to przyrzeczenie. I tak — bez końca. Pół-sen, pół-jawa. Widoki w dali, w dali. Straszliwe w swych skutkach przezieranie spraw ludzkich. Dotarcie wzrokiem do dna, gdzie leży sama jedna, głupia i dzika, zjuszona i ślepa z boleści — zemsta.

O jakiejś godzinie spadła nań zmora snu. Chrapał i łkał, duszony od widzeń. Było południe, gdy się ocknął. To, co był we śnie widział, gorsze ukazywało światy, niż życie, a jednak rzeczywistość, gdy sobie wszystko po ocknięciu przypomniał, gorsza była, niż ów sen. Wstał, szczerze i długo zlewał głowę wodą, wycierał się cały mokrem prześcieradłem. Ubrał się i udał się do Czarnicy. Zawiadomił go, że gotów jest jechać do Ameryki — choćby zaraz. Inżynier statecznie go powstrzymywał, radząc dorabiać się jeszcze tutaj grosiwa, ile się tylko da. Poszli razem na lunch do wykwintnej restauracji na Avenue de l'Opera. Nienaski jadł rozmaite frykasy, lecz nie chciał brać do ust wina. Musiał być trzeźwym tego dnia. Nawet, gdy na trzeźwo z Czarnicą rozmawiał, spostrzegał, że myśli podwójnie, jednocześnie w tych samych momentach czasu dwie wykonywa roboty duchowe. Tu i tam był obecny całem jestestwem. Około godziny trzeciej rozstał się z inżynierem i po-

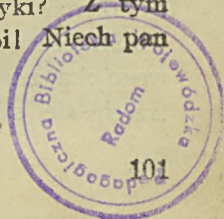
jechał do Ogrodyńca. W tej porze stary pan zazwyczaj drzemał, lecz przyjął tego gościa. Siedzieli w jego gabinecie — starzec w głębokim fotelu, z nożyskami krzywo ustawionymi na dywanie i sękatymi dłońmi, które zahaczał jedną o drugą. Nie spuszczał oka ze swego gościa i uważnie go słuchał. Nienaski chodził nerwowo po pokoju. O tej godzinie nie chciał być sam. Za żadną cenę! Rozmawiał żarliwie o byle czem, o interesach, o Uj-Kahul, zdawał sprawę z kupna akcji, które płacił od tygodnia per cassa. Domagał się, żeby tę sprawę raz wyjaśnić — zarobić, albo stracić! Ogrodyniec uspokajał go zimnem i zawsze jednakiem twierdzeniem, że rzecz wyjaśni się już bardzo niedługo. Chodzi o skupienie reszty akcji po cenach jak najniższych, a w taki sposób, żeby tego nie postrzeżono, żeby to nie budziło niczyjej uwagi. Teraz należało je nabywać na rachunek i dla inżyniera Lafleura, dyrektora kopalni w Uj-Kahul. Dowodził, że cała sprawa zależy od szybkości wykończenia kolejki, prowadzonej całą siłą do tej kopalni. Skoro pierwsze pociągi — węglarki ruszą po tej nowej linii podjazdowej, Lafleur puści w ruch wszystkie szyby naraz — i wtedy akcye skoczą szalenie.

— Teraz szanowny pan rozumie sytuację... Mamy w ręku złoto... — mówił z dobrotliwym uśmiechem.

— Rozumiem. Ale ja myślę o tem, żeby zarobić. gdyż muszę wyjechać.

— Wyjechać? Pewnie do Ameryki? Z tym Czarnicą? Ależ niech pan tego nie robi! Niech pan o tem nawet nie myśli!

— Cóż ja mam robić?



— Niech pan łaskawie poczeka. Mamy czas.
— Ja nie mam czasu, niestety! Mnie pilno.
— Do tych wertepów w lasach Południowej Ameryki! Niechże pan raczy zastanowić się nad tem, że oprócz, niepewnego zresztą, majątku i śmierć może tam na pana wyczekiwać.
— Śmierć... — uśmiechnął się Ryszard pobłażliwie.

Jakieś choroby musiały w jego organizmie budzić się, przewalać i nurtować, bo był błąd nadzwyczajnie. Głębokie rysy i szramy porznęły mu twarz, jakby nożem. Mówił spokojnie, logicznie, równo, lecz raz wraz głos mu się zarywał, jak gdyby człowiekowi, który się wdziera na skały Gerlachu. Wtedy bladeść jego twarzy stawała się jeszcze wyraźniejszą. Stary pan Ogrodyniec przypatrywał mu się z za swych okularów. Jego lewe oko było bardzo często zakryte powieką, która już, niby zluzowana klapka, opadała bezwładnie. Wtedy wiekowy giełdzysta podnosił ten organ palcem, gdy nikt tego sekretu nie widział. Za to druga powieka jeszcze się tego sprawiała. W pewnej chwili Nienaski zatrzymał się przy rogu biurka i, zwrócony do starego swego protektora, mówił z uśmiechem:

— Pan tu wymówił to słowo... śmierć... A pan?
— Co takiego?
— Przepraszam, że to poruszę... Pan nie myśli o śmierci?

Starzec utkwiał weń nieruchome spojrzenie prawego oka, zupełnie jakby lufę rewolweru. Głowa jego trzęsła się, szukając punktu swego stałego oparcia.

— Stary jestem... — rzekł z rezygnacją, zamykając tę nieprzyjemną kwestyę.

Nienaski patrzył w niego uparcie, z nieustępliwym uśmiechem.

— Panu nie żal naszego kraju? — zapytał.

— Nigdy nie pozwalałem sobie na takie wzruszenia, jak żal. Są to wzruszenia ludzi bezpłodnych. Kto pachnie żalem, jak kokota perfumami, ten napewno cuchnie od egoizmu, jak tamta od brudu. Żalowanie na głos podobne jest dla mnie do metody życia owych starych kawalerów, co to zbyt wiele wydają swej siły, a gdy nadejdzie czas łóżnicy małżeńskiej, nie mają już co wydawać.

-- Surowe słowo... Będę i ja szczerzy! Czy ta opinia nie znaczy także, że pan miał zawsze serce twarde? Gdy teraz należałoby coś z niego wydać, nie chce nic wydać, bo to — przepraszam za słowo! — kamień. To niesłuszne twierdzenie, ażeby człowiek mógł, albo nie mógł pozwolić sobie na uczucie. Uczucie jest, albo go niema. Jeśli go niema, to darmo twierdzić, iż na tem miejscu jest coś lepszego, niż uczucie. Jeżeli jest co lepszego, niż dane uczucie, to uczucie wyższe, lepsze. Uczucia bowiem mocniejsze są, niż wszystko. Człowiek nadludzki, Leonardo da Vinci, mówi, iż każdy czyn poczynia się w uczuciu. A on wiedział lepiej od nas wszystkich, jak są te sprawy.

— Jeżeli i pan tak mówi — grzecznie uchylił się bogacz — być może, iż jestem w grubym błędzie. Jednakże jestem i pozostanę, bo tak muszę, człowiekiem spokojnym, beznamiętnym i zrównoważonym.

— Szczęśliwy pan!

— Szczęśliwy? Spokojny jestem. A czy szczęśliwy? Nie szukałem na świecie szczęścia.

— Spokojny, to właśnie znaczy — szczęśliwy.

— Coś panu jest i to bardzo dokuczliwego, kiedy spokoj nazywa pan wprost szczęściem.

— Mnie coś dokucza, w istocie — dokucza.

— Ja to spostrzegam. Myślałem, że pan jesteś, po uniesieniach młodości, człowiekiem uspokojonym i na trzeźwo przedsiębiorczym. Teraz widzę, że to może niezupełnie dobry wybrał się kierunek drogi — przez giełdę. Tak sądzę, lecz może się mylę. Ale à propos... Może dałoby się w jakiś sposób zaradzić na to, co panu dokucza?

— Nie, panie. Na to rady niema.

Po chwili, jakby obudzony z twardej zadumy, podchwycił z żywością:

— Szanowny pan zapytuje, czy na to, co mi dolega, nie możnaby jakoś zaradzić? Przepraszam. Nie zrozumiałem. Ależ — tak!

— Proszę uprzejmie, jestem do usług!

— Wracam wciąż do tej samej myśli z uporem maniaka. Zagłębienie śląskie, karwińskie, krakowskie — otchłań węgla największa, jak przypuszczają, w Europie. Siła tam polska leży, potęga jej. Lud polski kopie te skarby w Polsce na korzyść obcych. Nie mogę o tem myśleć! Są w kraju olbrzymie kapitały i nie ruszają się, żeby tę martwą siłę uczynić niezwalczoną potęgą. Bo nawet, gdyby użyczeniem losu szczęsnego, jak nowoczesne Włochy, za naszych dni urzeczywistniły się marzenia pokoleń, nic innego nie

możnaby czynić od pierwszego dnia bytu, jak to właśnie. Jest to bowiem sedno niezależności. Pan ma wielkie kapitały w ręku. Trzyma pan w ręku siłę, któraby mogła tysiącom dać chleb, dobrobyt, oświatę. Ale to mało! Trzyma pan w ręku klucz od tych żelaznych drzwi, co nad nami zatrzasknięte leżą. Co będzie z nami za pięćdziesiąt lat? Niemcy dookoła!...

— Więc to ja... — mówił starzec z gorzką ironią — mam pokonać Niemców?...

— Pan! Niechże ktoś nareszcie zacznie tę pracę! Niech się raz przecie ruszy jaka siła! Nic tylko nędza, tylko to ohydne żebractwo, składeczki i odezwyl!

— Niemców pokonać!... Ach, panie!...

— Nie chce ich nikt pokonywać na żadnym polu, i dlatego z dnia na dzień wzrasta ich siła.

— To naród wyćwiczony, zastalony, zorganizowany i państwowo potężny. Przez wieki uczył się, jak nas podchodzić. Ja ich widziałem w czynie i w walce.

— Przepraszam, że zaprzeczę! My wszystko, nawet tę siłę niemiecką, znamy powierzchownie. Gdyby pan sam jeden chciał wrócić, gdyby pan chciał cisnąć swe pieniądze na kupno kopalń! Gdyby pan chciał wrócić! My obrabiamy tutaj jakieś Uj-Kahul! I nazywamy to jeszcze między sobą naszym zrównoważeniem... Ach, Boże!

— O czym pan mówi? I cóż z tego, gdybym nawet kupił jaką kopalnię na Śląsku, albo który z owych terenów pod Krakowem? Cóż z tego?

— Jakto co? Życie polskie wyrastałoby za panem, jak zboże za pługiem. Przecie to byłby siew i uprawa!...

— Jestem za stary, ażebym mógł życie tworzyć. Ale i pan... Gdybyś pan zebrał i posiadał, przypuśćmy, kapitał w tym zakresie, co ja, to i tak niewiele zdołałbyś zdobyć na owych Niemcach. Byłaby to walka w próżni, bój średniowiecznego rycerza z wyćwiczonem wojskiem tęgich nowoczesnych żołnierzy. Niech się pan na mnie nie obrazi za to, co powiem. Ma pan niewątpliwie serce szlachetne, lecz głowę gorącą. A to darmo, głowa musi być zimna.

— Gdybym ja posiadał takie kapitały, jak pan! Żarty! Wolne żarty! Ależ dźwignąłbym cały nowy świat.

— Cóż takiego? „Świat“... Nie rozumiem żadnych metafor, żadnych przenośni i hiperbol.

— Wydzierałbym całe krakowskie zagłębie, teren po terenie, szmat po szmacie! Biłbym kopalnie. Dawałbym zarobek nie tylko ludowi, ale i spółnikom z magnaterii. Bo szedłbym od pałacu do pałacu, udawadniając dzisiejszemu motłochowi arystokracji, że musi się na polską potęgę przeistoczyć, musi przestać być martwą siłą, bo przecie na polskiej ziemi siedzi, nie na księżycu!

— Panie, pieniądze i stosunki z arystokracją psują, deprawują. Pieniądze uczą być arystokratą. Uczą żyć, szaleć, hulać, spuszczać. Jeszcze pan wszystkiego nie wie, co byś robił. A ja to już wiem. I stąd pochodzi mój spokój.

— Może pan tak mówić, bo, istotnie, nie złoży-

łem przecie żadnego dowodu, iż nie puściłbym pieniędzy, którebym niespodzianie zarobił, czy posiadał.

— W mojem mniemaniu pan złożył pewne ważne dowody. Jednakże jeszcze nie wszystkie.

— Nie złożyłem żadnych! To prawda. Ale ja także wiem coś o sobie. Zresztą, o czemże to mówimy? Na giełdzie, w sprawie Uj-Kahul nie zdobędę, zda się, milionów. Pojadę do Ameryki. Może tam.

W tej chwili pomyślał, dlaczego to on właściwie chce jechać do Ameryki. Przymknął oczy, ażeby starzec nie dojrzał istotnego ich wyrazu.

— Jabym panu nie radził jechać. Nie radziłbym nawet zawierać aliansów z Czarną. Dlaczego nie zaczekać? A nuż i tutaj zdobędzie pan owo złoto upragnione.

— Ciągnąć wciąż agendy afery Uj-Kahul...

— I to nie jest do pogardzenia. Pozna pan prześpiegi giełdy. Przecie pan jeszcze nie widział na prawdę ani jej skoków, ani tygrysich przyczajeń, nie przeżył pan zwycięstw i nie przetrwał w spokoju klęsk. To są rzeczy godne poznania. A fenomeny giełdy są nieraz nieobliczone...

Nienaski usiadł na krześle i słuchał. Zegar szafkowy gdzieś w odległym pokoju melodyjnym głosem wydzwonił godzinę czwartą. Na ten dźwięk wszystko zatrzęśło się wewnątrz słuchacza.

— Czwarta godzina... — powiedział do siebie.

— Szały, porywy, obłędne podchwyty, rozpacz, tęsknota, żądza — wszystko skłębiło się i gnało w ciszy. Serce przymarło, sprowadzając na twarz bladłość, iście śmiertelną.

— Pan dziś źle wygląda... — rzekł Ogrodyniec.
— Jestem trochę niezdrów... — odpowiedział.
W istocie dzwonił zębami.

— Proszę zostać dziś u mnie na herbacie. Wypijemy po kieliszku wina. Jest to pewnie febra, która przejdzie...

Nienaski podniósł na niego oczy prawdziwie konające. Cicho, uprzejmie rzekł:

— Dziękuję panu. I ja sądzę, że to przejdzie. Z przyjemnością zostanę. Z przyjemnością... zostanę...

Następnego dnia nie poszedł również do Xenii w popołudniowej godzinie. Lecz wieczorem, o siódmej krążył dokoła jej bramy, jak detektyw. Cztery ulice, obejmujące kwadrat domów, przemierzał równym krokiem, czatując na rogach. Xenia wyszła ze swą towarzyszką, ową Thérèse Neville, na obiad do restauracyi, mieszczącej się w parterze lokalu, przy końcu tej ulicy. Przed oknami tej „crémierie“ stały jakoweś wazony, w których mokły uwięzione krzewy. Nienaski mógł bezpiecznie zasadzać się wśród tych zarośli i patrzeć na manewry Xenii. Nic nadzwyczajnego nie odkrył. Jadła mizerny obiad, rzucała powłóczyście spojrzenia wzamian, zapewne, za powłóczyście spojrzenia współbiedników. Stał za oknem w taki sposób, nawprost Xenii, siedzącej w głębi sali, iż jej wejrzenie, skierowane na jakiegoś młodzieńca, który wieczerał właśnie pod oknem, zwrócone było jak gdyby w jego stronę.

Wreszcie wyszły, kierując się pod górę. Ryszard podążył za nimi i wkrótce dostrzegł, że dwie ścigane przezeń kobiety weszły w furtkę, umieszczoną w jakiejś wyniosłej ścianie. Zbliżył się do tego miejsca i zajrzał. Świeciło się w ogródku, który był czemś w rodzaju dawnego wirydarza klasztoru. Między ogołoconymi drzewkami umieszczono kilka stolików, i ruchliwy chłopiec roznosił tam piwo gościom w kaszkietach. Z tego ogródka zstępowało się po schodach, w dół do oświetlonych drzwi, z za których dawały się słyszeć siarczyste huki i rznięcie taneczne orkiestryonu. Nienaski rozejrzał się w tem miejscu i zorientował, iż to jest klasztor, czy kościół opustoszały. Nad głównem jego wejściem gorzał napis z liter oświetlonych, głoszący, że tutaj mieści się kinematograf. Tropiciel kazał podać sobie „bock“ piwa, ażeby mieć prawo do zajęcia miejsca tuż przy wejściu. Po chwili zsunął się w głąb przedsionka, w pewien rodzaj kruchty, gdzie zajął punkt obserwacyjny tego rodzaju iż mógł widzieć całe wnętrze. Było to podziemie, zapewne dawny sklep cementarny klasztoru. Beczkowe sklepienie było czarne, czy może tylko niedostępne dla skąpego światła. Po bokach i w głębi dawały się widzieć wnęki, czy nisze, w których teraz urządzono bufety z piwem i tanimi smakołykami, rozłożonymi na desce. Zamiast posadzki ubito z gliny klepisko i wysypano je piaskiem... Gaz umieszczony po ścianach w szklach, naśladujących kształtem świece, dawał tej sali jakieś śniade, istic trupie zabarwienie. Publiczność składała się z frantów w kaszkietach, czapkach i melonikach. Panie i panny były

bez kapeluszów i w strojach bynajmniej nie balowych. Niektóre z nich przyszyły były z dziećmi, które już spały na ławach, we wgłębieniach krypty. Większość panów nosiła szczególne uczesanie włosów. Jedni z nich mieli jakieś filutki, pozakręcane na czole w kształt litery S, inni przyszyrzywali grzywki w sposób zabójczo kokieterijny. Płci męskiej było znacznie mniej, niż niewieściej, tak dalece, że na jednego kawalera wypadało kilkanaście dam. Kobiety tańczyły z kobietami, czemu panowie przyglądali się z daleka. Tylko kiedy niekiedy jakiś kawaler raczył przetańczyć z wybranką siarczystego walca, lub jakąś odmianę polki. To też płęć piękna zachowywała się agresywnie wobec mężczyzn, którzy mieli miny wyczekujące, wyzywające i w każdym zdarzeniu zwycięskie. Xenia i jej towarzyszka siedziały w pobliżu wejścia. Ściągnęły na się uwagę tancerzy i biesiadników. To ten, to ów młody tygrys przechadzał się obok tych pań, ujarzmiając je wzrokiem. Wszyscy goście tej sali byli to niby weseli, co się nazywa. Ale wesołość ich była ponura i jakaś złowieszcza. Pili dużo, Zjadliwy dowcip tryskał z ich zdań, które się dawały słyszeć, z uwag o kobietach, które to uwagi bez ceremonii wygłaszali. Nienaski, patrząc na to widowisko, poczynął rozumieć, że już na zawsze rozstał się z Xenią, i coś, jak gdyby pociecha, wpływało do jego serca. Myślał nad tem, że ona kontynuuje swe pasje warszawskie: poznaje życie. On tych przymiotów, jakie ją zachwycają i muszą porywać, nie posiadał. Nie umiał się bawić, bawić tem, co jest, byle czem, jak ludzie i jak ona. Przeciwnie — ten niegdyś skład

trumien zmarłych zakonników, przerobiony teraz na tancbudę apaszów, złodziejów kieszonkowych i biedoty Montmartru — wydawał mu się być jakimś równoważnikiem, odwrotną stroną giełdy. Swą obecność tu i tam Ryszard obwiniał o podtrzymywanie tych obudwu instytucji. Były to myśli i uczucia jałowe, bezpłodne, jak mówił Ogrodyniec.

Xenia z towarzyszką dość prędko wycofała się stamtąd i wróciła do domu.

Nazajutrz te obiedwie panie przyszyły już wystrojone na obiad. Wprost z restauracyi udały się do jednego z kabaretów na górze Montmartru. Ryszard niepostrzeżony podążył za niemi. Zauważywszy, że poszły na dół, kupił sobie bilet na galeryę. Sala tego teatryku była niewielka i z galeryi, obiegającej ją wokół, widać było wszystko, jak na dłoni. Oparłszy łokcie na pluszowej balustradzie, z twarzą schowaną w dłoniach, patrzył z góry na Xenię, siedzącą w krzesłach tuż pod nim. Znowu miał przed oczyma każdy jej gest i ruch. Na scenie tej budy coś się odbywało, były kuplety, śpiewy i hałasy, dowcipy i chryje. On tego nie widział. Śniło mu się chwilami, że jest w Tatrach, że w swej górskiej pieczarze marzy o szczęściu ujrzenia Xenii dalekiej. Oto jest to szczęście! Realizacya marzenia... Stracił wątek swego życia, zawie-ruszył sobie rozumienie wszechrzeczy, zmylił się w swej drodze. Jakże miał żyć, nosząc w sobie to piekło?

Osaczały go ciche zamiary, łagodne podszepty, niepostrzeżone impulsy. Co zrobić? Miał ze sobą

rewolwer. Uśmiechał się dobrotliwie do tej myśli. Gdyby zobaczyć na własne oczy, przekonać się na prawdę! Może wszystko zniknie. Może nastanie spokój. Zresztą — tego dnia postanowił już z tem skończyć. Dostyc już widział objawów zewnętrznych tego życia. Trzeba było zobaczyć samą istotę rzeczy. Teraz właśnie nadarzyła się chwila. Było jeszcze dość wcześnie, jak na Paryż i tę jego dzielnicę. Zadzwoił do bramy i, gdy ją otwarto, dał się poznać odzwiernej. Nic nie odrzekła, więc pośpieszył na piętro. Nie wiedział, kiedy, którędy i jak tam wszedł. Gdy stanął po raz pierwszy przed temi drzwiami, serce w nim jakby się na proch rozsypało. Śmierć przesunęła się między nim i tą kłamką. Podźwignął martwą rękę i nacisnął krążek dzwonka. Nie odrazu otworzono. Dały się słyszeć jakieś odgłosy. Po chwili drzwi się uchyliły. Stała w nich Xenia.

— Pan? — szepnęła zdumiona.

— Chciałem wejść na chwilę. Wytlómaczę to pani... — mówił, otwierając siłą te drzwi i wchodząc przemocą.

— Proszę, proszę... — rzekła wesoło i dziwnie serdecznie, z radością.

— Wytlómaczę pani...

— Wytlómaczy pan, wytlómaczy, tylko proszę prędko, a pocichu wchodzić do mojego pokoju, bo tu już śpią.

— Śpią już? — dopytywał się z wewnętrznym chichotem.

Xenia rozświetliła elektryczną lampkę i poszła przed nim w wązki korytarzyk. Odemknęła drzwi

na prawo do pokoju, w którym paliła się również lampa elektryczna, umieszczona na biurku. Pokój był wesoły i ładny. Nie było w nim nikogo. Rozłożona książka przy lampie świadczyła, że Xenia jeszcze przed chwilą czytała. Łóżko jej było dotąd nierozebrańne, więc nie kwapiła się do snu. Nienaski powiodł oczyma po tym pokoju wokół — wokół...

— Dlaczego pan nie przychodził? Dlaczego pan wtedy nie przyszedł? Co pan ze mną wyrabia?

— Wyjeżdżałem z Paryża na kilka dni w interesach. Musiałem wyjechać. Wróciłem dopiero przed chwilą...

Popatrzyła mu w oczy z szyderstwem, niemal ze wzgardą. Skrzywiła wargi i mruknęła:

— Chciałabym wiedzieć, poco są i dla kogo te wybiegi. Ja przecie doskonale wiem, że pan nigdzie z Paryża w tych dniach nie wyjeżdżał.

— Skądże to pani wie?

— Mniejsza o to, skąd wiem. Więc wyjeżdżał pan z Paryża?

— Tak.

— A mnie składa pan wizyty o godzinie dwunastej w nocy? Niechże pan siada.

— Dziękuję. W istocie, teraz dopiero zorientowałem się, com ja zrobił. O tej godzinie przyszedłem do pani, z wizytą!

— No, cóż tam! Nie będzie pan długo siedział. A mnie dobre i to!... — westchnęła z właściwą jej łobuzeryą.

Usiadła na małym fotelu i wskazała mu ręką drugi. Lecz on podziękował z ukłonem. Oparty o gzems

kominka rozglądał się szczegółowo po pokoju, badał sprzęty i przesywał je wzrokiem na wylot. Miała na sobie tę samą suknię, co w kabarecie. Kapelusz rzucony był na krzesło. Okrucieństwo, zemsta za przeżyte męczarnie, wściekłość rosnąca wybuchnęła w nim, lecz zdusił w sobie te fury. Patrzył w milczeniu na niezrównaną piękność twarzy Xenii, na wyraz najszczerzej, dziecięcej radości, rozpustny w jej twarzy. Przypomniawszy sobie jej spojrzenia w restauracji, rzucane na przygodnego współbiedniaka — i cyniczny uśmiech wydobyl z wewnątrz na swe usta, istny znak potępienia.

— Proszę mi przynajmniej wytłómaczyć, dla czego pan nie był łaskaw przyjść. Tak się nie robi, proszę pana warszawiaka. Ja czekałam. Trzeba mi było dać znać pneumatyczką...

— Proszę pani — i dziś przyszedłem pożegnać się z panią, bo jutro może ruszam w świat.

To „jutro“ i ów „świat“ były to wyrażenia romantyczne, których użycia nie mógł sobie odmówić.

— Grozi mi pan już po raz drugi swoim wyjazdem, — w dodatku teraz bez żadnego przygotowania. Przecież mogę zemdleć...

— Śledziłem panią i widziałem wszystko!

— No, co? Co pan widział? — wykrzyknęła na wpół z bekiem.

— W crémierze, w tej tawernie u apaszów... Wstyd!

— No, cóż takiego? Byłam z Teresą...

— Tak, tak!

— A czy zrobiłam coś złego? No, proszę... Niechże pan powie, jeżeli pan widział!

— Widziałem. Powiadają wam wciąż rozmaici tam pisarze, artyści, podszczuwacze, że wszelkie formy moralności przemijają, zmieniają się, chyłają do upadku, zniknąć muszą. Z płomieniem w oczach, z umalowanymi ustami i uczernionymi brwiami — jedyna niewątpliwa prawda życia. Tak powiadają te łotry, artyści, do was, które na to ich słowo, na to rozporządzenie co do waszej cnoty i grzechu czekacie chciwie. My, ludzie wolni, zdzieramy się i cierpimy zniewagi, żeby otworzyć drzwi waszego odwiecznego więzienia. A gdy otworzyć te drzwi!

— Co mi pan takiego rozpowiada? Nic nie rozumiem!

— Zewnętrzna powłoka, prześliczna barwa kwiatu, to, co nazywamy słowem — miłość — skończyła się. Zaczęła się ukazywać treść istotna, prawda niewątpliwa. Była jakaś powierzchnia, piękniejsza nad wszelkie słowo. Któż mógł wiedzieć? Mój Boże! I dla tego niechże ta powierzchnia będzie przeklęta! Precz ze złudzeniem! Cóż mówić o trwałej duszy? Nic już niema. Niewiedomość i kłamstwo splotły się razem. Teraz widać, czym była ślepa miłość!...

— Panie! Panie! — szeptała Xenia.

— Zaraz sobie pójdę! Wszystko dla ubrań, dla barw, kształtów, szelestu jedwabów, zapachu perfum, dla migotania brylantów. A brylanty, szelesty, zapachy — dla wzbudzenia szaleństwa. Narzędzia szatana!

— Panie Nienaskil!

— Zaraz sobie pójdę. Noc teraz. Zepsucie jest instynktem — powiadają ci panowie — impulsem naturalnym kobiet, niezwalczoną niewiadomą, która krąży w ich krwi. Jest tem, czem jest chaos, negacya, artyzm, spuszczenie z łańcucha bestyi, utajonej w człowieku, czem jest łotrostwo wiecznej zmiany i wiecznej zdrady — rozkosz zdrady — żywioł szatana!

— Panie Nienaski! — krzyknęła.

— Zaraz sobie pójdę. Jednego nie widzą ci artyści, doradcy i mandataryusze szatana, że gdybym każdego z nich nazwał synem nocnej nierządnicy, dzieckiem nierządu, albo bratem nierządnicy, toby mi każdy z nich skoczył do oczu, żeby je wydrzeć. Czemu to? Czemu?

— Niechże pan nie krzyczy!

— Och, prawda, tu jest cicho! Chcę pani powiedzieć, że łotrem jest ten, kto wychwala użycie kosztem szczęścia matki, patrzącej w kołyskę sześciomiesięcznej córeczki. Podlecem ostatnim, szują i zwierzęciem jest ten, kto nadobnymi wierszami swymi popycha ogłupiałą kobietę, żeby się zaprzedała zabawie. Głupią jest ta nieszczęsna kobieta — szelma, która sobie samej niweczy najwyższe szczęście marzycielstwa i najśłodszy, jedyny w ludzkości dźwięk — „mama!” — dla zgniłego zbytku. Przecie pani nie zna rozkoszy macierzyństwa!

— Niestety! Nie... — stęknęła z niewymownie komiczną rozpaczą.

Ochrypli jego głos, z zaschniętego gardła lecący, urwał się i rozbił na tym śmiechu, jakby przepadł potłuczony o ściany i podłogę. Z sąsiedniego pokoju.

dokąd prowadziły drzwi zastawione szafą, słysząc było rozmowę. Ryszard nasłuchiwał. Zdawało mu się, że teraz z jakiegoś snu ocknął się i przez resztkę sennych widzeń słyszy, że tutaj ktoś jest i rozmawia. — Xenia rzekła cicho i łaskawie:

— Niech pan przyjdzie do mnie jutro... Dobrze? Porozmawiamy sobie spokojnie, w dzień, bez świadków. Pan mi wytłómaczy wszystko, a ja posłucham. Może nawet co zrozumieć. Przecie pan mówił mi o swej przyjaźni. Przysięgał pan na różności, że zawsze mogę się do pana odwołać. Nie? A teraz nie chce pan palcem kiwnąć, żeby mi pomógł. Czy to ładnie?

— W czymże to mam pani pomagać?

— W sprawie mego ojca.

— Ojca? Pani ojca?

Westchnął. Było to jakby drugie ze snu ocknięcie.

— O której godzinie mam przyjść?

— O czwartej.

— Nie o siódmej, nie o dziewiątej?

— Ach, może pan wcale nie przychodzić, jeżeli tylko takie słowa mam od pana słyszeć!

— Dobrze. Przyjdę napewno o czwartej.

Wziął kapelusz, podał Xenii rękę i cicho wyszedł. Wracał do domu piechotą. Całą tę, tak daleką drogę przeszedł, jak lunatyk, czy pijak, nic nie wiedząc. Trafiał z ulicy w ulicę instynktownie i machinalnie. Szeptem mówił do swego Boga dźwięki i słowa, które tylko Bóg mógł usłyszeć i Bóg zrozumieć.

Nazajutrz, punktualnie o godzinie czwartej, wszedł w bramę tego domu i zadzwonił do drzwi, oznaczonych imieniem „Thérèse“. Xenia otworzyła mu natychmiast. Nie miała ani ust umalowanych, ani uczernionych brwi. Była to Xeniusia Granowska z parku w Łazienkach. W korytarzu było okno i ostatnie lśnienie światła ukazało istotną cerę i barwę jej twarzy. Zaprowadziła go do swego pokoju i wskazała mu fotel. Sama usiadła naprzeciwko. Cóż za dziwne doznał olśnienia! Skądże się wzięła i jakim sposobem przedziwna cisza w sercu, światło rozumu w głowie, tak wielka radość w całym ciele? Istne ułaskawienie z katorgi! Pierzchyły wszystkie męczarnie, zginęły troski, uchylił się całkowity świat złych i wzburzonych myśli. Nastąpiła cisza i szczęście wykwitało z niej w oczach, jak kwiat z wiosennego poranka. Uśmiechnął się do tej „niewiasty“, do swego snu ciężkiego, do tęsknoty tylu nocy i dni. Sam ten uśmiech stał się dlań łaską, ozdrowieniem z tak długiej i ciężkiej choroby. Nie mógł od jej twarzy oderwać oczu, gdyż znajdowały ją piękniejszą, niż były tak bezgraniczne marzenia senne o jej piękności. Wszystek przemienił się we wzrok i w jej oczach znalazł się wszystek. W tych zaś jej oczach, na licach począł wywijać się z nicości uśmiech taki sam, jak w Luxemburskim ogrodzie. Przeleciała wskroś zanikającej świadomości sonda, zboczona w serdecznej krwi: pamiętasz, że tamten uśmiech był kłamstwem, oszustwem? Lecz sonda ta trafiła na głębie szczęścia.

— Już pan nie jest moim przyjacielem? — zapy-

tała Xenia z tym samym, tylko żałośniejszym uśmiechem.

— Już nie.

— Pojedźcie pan do Ameryki i zostawi mnie tutaj samą?

— Przecie pani przyjaciół nie brak chyba w Paryżu?

— Nie mam żadnego. Był niby to ten adwokat, ale się zliścił. Okazało się, że i on jest taki sam, jak wszyscy, jak i pan.

— Moją przyjaźnią pani sama wzgardziła.

— Może sobie pan mówić, co chce. Ale pan bardzo nieładnie ze mną postąpił.

— Cóż tam zrobiłem nieładnego?

— A no z tem wszystkiem. Niby to pan przyjazne uczucia ofiarowywał, przysięgał na różne honory. Ja, głupia, uwierzyłam. Wzięłam to za prawdziwą monetę. I cóż się okazało? Ja tu później czytam w listach, aż mi włosy powstały na głowie. Miałam być jedną z pańskich adoraterek? O, nie, panie! U mnie tak nie idzie! Ja — to ja, albo mnie niema wcale.

Nienaski śmiał się, wspominając:

— Poco też to pani mówi?

— Myśli pan, że nie wiem o panu całej prawdy! Mam na każdą rzecz dowody i dokumenty!

— A no to i dobrze! Cóż to ma wspólnego ze sprawą ojca pani?

— No, ma! Gdyby nie pan, tobym przecie nie mieszkała u tej Teresy.

— Gdyby nie ja! A to co nowego? Ja jestem winien, że pani tu mieszka?

— Gdzie miałam mieszkać? W hotelu? Sama jedna? Toż mieszkałam i wiem, co to znaczy. Sama wśród najrozmaitszych chłopisków w hotelu. Ona mi odnajęła pokój i jesteśmy przynajmniej we dwie.

— A wybór trafny, wyznaje!

— Żeby pan wiedział! Jest dla mnie bardzo dobra, choć obdziera mię porządnie na jedzeniu... Nie ma pan pojęcia, jaka ona jest mądra i sympatyczna, o wszystkim wie, w każdej rzeczy umie poradzić.

— Czyżby jeszcze lepiej, niż pani Żwirska?

— W innym rodzaju. Lenta jest bogata i może sobie na wszystko pozwalać, a ona jest biedna, nieszczęśliwa, ma syna, który się wychowuje na wsi u chłopów. Musi za niego płacić grube sumy tym chamom. O, pan nie ma pojęcia, ile kobieta musi się nacierpieć... I żeby też pan powiedział otwarcie choć tyle, gdzie się to pan codziennie podziewał o tych samych zawsze godzinach! Naprzykład — te spacery w Métro do jednej willi w Passy...

— Któż to mię aż tam szpiegował?

— Był taki. Ale niech mi pan na to odpowiedź!

— Nie odpowiem, dopóki mi pani nie wytłómaczy, kto mię śledził.

— Jedna tam...

— Ta może Niemka w zrudziałym kapeluszu i zielonej salopie?...

Xenia wybuchnęła śmiechem i długo nie mogła się uspokoić.

— Ciekawym, poco to było robione?

— A poco! Chciałam przecie napewno i detalicznie wiedzieć, kto u pana bywa, czy pan przyjmuje

jakie „damy“ i do kogo pan chodzi. Niemal na pana straciłam! Za każdy postój musiałam tej Niemce stawiać kawę z brioche'ami. A jadła! Po dziesięć brioche'ów, jak nie na posiedzenie.

— Co to za jedna?

— A Niemka — i już. Uczy się tutaj haftować ornaty. Mieszkałyśmy w jednym hoteliku, poznałam się z nią i zaraz zgodziła się chodzić na stójkę pana pilnować.

— No i cóż ciekawego wysłuchiwała?

— A właśnie, że ona wysłuchiwała, bośmy się przypadkiem spotkali w Luxemburgu... — rzekła Xenia z wewnętrzną uciechą.

— Ładny to był przypadek!

— Może nie? Ja szłam sobie na spacer i pan to samo. No i spotkaliśmy się przypadkiem.

— Dlaczegoż pani nie chciała od samego początku żebym ja tu przyszedł?

— Bo nie! — mruknęła z niechęcią.

— Adwokat był wtedy na placu...

— Ech, z tym adwokatem! Z nim byłam ze trzy razy szukać pana. A małam się to nasiedziać przy szybie w tej „buvet'ce“, co tam jest na rogu pańskiej ulicy!

— Gdzie, u Marras'a?

— No, właśnie, u tego Marras'a! Tam się dopiero nasłuchiwałam różności! Schodzą się tam karawaniarze montparnascy, stare pijusy z fiakrów, apasze, handlujący gałganami z ulicy Boulard i jeszcze lepsi, różni niewiadomi. Co się do mnie naprzystawiali, żeby im powiedzieć, czego ja też tam wysiaduję i kogo tak

oglądam! Osiwiałby pan, albo — czego Boże broń!... — ołysiał, słysząc, co oni do mnie mówili, ci pocziwi paryżanie. Jednemu musiałam aż pożyczyć franka, żeby się ode mnie odstawił. Słyszał pan! Takem się zgryzła, że nie wiem! Bo niech pan tylko powie, franka całego dać takiemu kundlowi — i za nic! A co było robić! I tak bawiłam się i płakałam.

— Płakała pani? Czego?

— Czegoś!

— I po co to wszystkie owe nieprawdy? Przecie pani doskonale wiedziała, gdzie mieszkam.

— I cóż z tego! Wiedziałam także, że pan jeździ do jakiejś Angielki, baronowej Halfsword, czy jak się tam ta szelma nazywa. Wyleci pan z domu, pędzi do Métro. Znika. Parę razy goniliśmy pana z tą Niemką. Powiedzieli nam, że strasznie bogata ta pańska baronowa. Miałam z nią może rywalizować, narzucać się? Widziałyśmy, jak pan tam raz zajeżdżał z jakimś starym dziadem, to znowu, jak pan sam azedł. Miałam może prosić listownie, żeby pan raczył przypomnieć sobie o mnie?

— To ja na romanse jeździłem do tej Angielki? — śmiał się Nienaski do rozpuku.

— Co mi pan tam powie! Znam ja świat!

— O, pewno!

— Już mi ta Teresa rozpowiedziała o Paryżu i o was wszystkich, moi szanowni łalusie. Było co słyszeć!

— Byłoby może lepiej, gdyby pani w tych sprawach mniej miała wiadomości i doświadczenia!

Chcąc zebrać listy, rozmięcione na stole, podniosła

się i przechodziła obok fotela, na którym Nienaski siedział. On chciał pochwycić jeden z tych listów i przypadkowo, zamiast listu, pochwycił jej rękę. Te rękę małą... W obudwu swych dłoniach zawarł ją, jak w kleszczach. Przyciągnął ku sobie oporną. Xenia nachyliła się z udaną niechęcią i oparła o jego ramię. Zapominając o wszystkim na świecie, objął ją i ciągnął ku sobie. Stała się czerwona i zadrżała na całym ciele. Ubrana była w bardzo lekką suknię z jedwabiu, ładnie niegdyś skrojoną i uszytą, lecz mocno już zniszczoną i nawet poprzedzieraną. Śliczne jej kształty można było niemal widzieć przez ten wiotki i cienki jedwab. Przygarnięta mocniej, usiadła przez chwilę na poręczu krzesła. Lecz wnet powstała. Rzuciła mu w oczy frazes:

— Chce pan jeszcze bardziej mną pogardzać! Chce pan mieć dowód, jak dalece jestem istotą godną potępienia...

— Kocham panią wprost do szaleństwa! Nie! W zupełnej waryacyi!...

— A cóż na to powie pańska baronowa, Angielka?

— Baronowa jest starem pudłem siedmdziesięcioletniem.

— Wierzę w to!

— To łatwo sprawdzić. Pojedziemy i sprawdzimy.

— Ja z panem?

— Czy pani nic sobie nie ma do wyrzucenia?

— Skorpion przemierzył! Własnym się jadem zabija. Wesołości życia pan nie rozumie. Wesołości życia!...

— Wesołości... Tak, tak..

Chciała coś mówić z głębokiem przekonaniem i z krasomówczym gestem wyciągnęła rękę. Pochwycił ją znowu. Porwał wszystką w ramiona. Odtrącała go i kryła usta przed pocałunkami. Uciekając z oczyma, odwracała głowę, żeby nie akceptować wzrokiem całusów w policzki, Ale oczy jej raz wraz błyskały i usta, jak pąk rozkwitłej róży, płonęły od śmiechu. Śliczna postać łamała się, chwiała i gięła.

— Więc nie lubi mię pani? Nie?

— Za to wszystko jeszcze lubić... takiego szalka...

Tulił ją coraz mocniej do serca. Szczęście obojga stało się zupełne. Radość zacięła rozum i zniweczyła wolę. Coś jej opowiadał urywanemi słowami o swych tęsknotach, o strasznych dniach, o przeklętych nocach w Paryżu, o wieczorach nad Sekwaną. Wszystko było jakieś literackie, pospolite, głupie, niemal śmieszne. Piekielna treść stała się czemś małym i znanym. Jednakże ona słuchała tych zwierzeń chciwie, łowiła szczegóły, zaglądała mu w oczy. Jej każde spojrzenie było dokonaniem. Na skutek ognia tych oczu, coraz bardziej tracił panowanie nad sobą. Stawała się coraz łagodniejsza, cichsza, słabsza, wyleknioma i pełna wstydu. Dożył boskiej chwili, gdy jej ręce łagodnie i dobrotliwie osunęły się na jego ramiona, osaczyły szyję... Usta w zapomnieniu, z jękiem rozkoszy przywarły się do jego ust.

— Xenia! — szeptał ze śmiechem radości, odsuwając ją od siebie.

Podniosła głowę ciężką i uśmiechniętą jej usta o coś niezrozumiałego pytały. Zasłoniła oczy dłonią

i patrzyła na niego płomieniami oczu poprzez palce.

Osunął się na kolana przy fotelu, na którym siedziała i całował jej ręce, jej stopy, jej suknie, całował w obłaskaniu szczęścia, w szale zdziczenia, miliony razy. W tych pocałunkach jego dusza przepływała w jej ciało. Przypadał ustami do małych dłoni i zamierał z rozkoszy. Nasycił się minutami przepływającego szczęścia aż do utraty wszelkiej wiedzy.

— Dlaczego? — zapytał — postępujesz tak lekkomyślnie?

— No, to już nie będę!

— A kiedy jesteś tak strasznie lekkomyślna!

— Będę już teraz ciężko myślała.

— To nie są żarty!

— Wiem, że to jest inkwizycya.

Ręce jej były pełne rozkoszy. Palce pełzały po jego ręku. Oczy jej płonęły od ognia, który wszystko na popiół przemieniał.

— Już mię pan znowu przestał lubić? — spytała, pochylając się ku niemu, ze smutkiem szczerym w tonie głosu, z kurczowem zaciśnięciem rąk. Wstał ze swego miejsca i odsunął się aż pod okno. Tam stał długo, patrząc na nią zdaleka.

— Cóż znowu oznacza ta niełaska? Może przez to właśnie okno zamierza pan wyjechać do Ameryki?

— Nie ja będę tym, który panią popchnie w odmet nieszczęścia! — zawołał zdaleka.

— To dopiero pedant!

— Xenia!

— Ech! Obmierzły kaznodzieja. Co za styl!

— Moja miłość większa jest, niż może być moja rozkosz, niż samo szczęście. Jedyna, najdroższa!

— To jest święta prawda, jak teraz widzę, którą mi tutaj wykladał jeden obwieś, że najlepsi, „porządni“, to są i najgorsi. Il n'y a pas des pires que les hommes honnêtes... Tak powiedział.

— Będziemy teraz rozmawiać o czym innym.

— Mianowicie?

— O ojcu.

Natychmiast sposepniała, zrobiła się inna, nachmurzona i smutna.

Nienaski mówił:

— Proszę, niech mi pani szczerze wszystko opowie.

— Mój ojciec siedzi teraz w więzieniu... — rzekła posłusznie.

— Za co?

— Wciągnęli go w oszukańcze interesy. Handlował tutaj wciąż temi biżuteryami. Jeden żyd ukradł brylanty, które ojciec razem z tym żydem wziął do sprzedania. Ten żyd uciekł do Ameryki, czy do Australii, a ojca osadzili w więzieniu.

— Gdzież siedzi?

— Aresztowali go w Saint-Malo, gdy już wsiadał na statek do Anglii. Teraz go tutaj przewieźli.

— Pani widuje się z ojcem?

— Widuję.

— Czy broni go jaki adwokat?

Xenia westchnęła z głębokim smutkiem.

— Teraz już nie! Był ten...

— Niech mi pani powie szczerą prawdę, co było z tym adwokatem?

— No, było to, co mówiłam. Jużem panu mówiła i więcej nie będę ani słowa o tem!

— Cóż to ma za związek ze sprawą ojca?

— No, ma i basta! Nie będę o tem mówić!

— Najmiemy teraz innego adwokata.

Podniosła na niego oczy żywe i płomieniste, pełne ognia i szczerego uczucia. Spytała z serca:

— Zrobiłby to pan dla mnie?

— Wszystko zrobię!

— Ale pan nie ma pieniędzy... — mówiła, wydymając wargi. — Dla zbawienia ludzkości, toby tam pan jeszcze znalazł w kieszeni parę franków, albo dał się ukrzyżować, ale żeby wybawić z biedy jednego człowieka... Skądże znowu? Jeszcze takiego, jak mój ojciec!

— Zobaczymy.

Siedziała w swym fotelu zamyślona. Gdy Nienaski, oparty o brzeg komina, patrzył w nią bez przerwy, zdawała się nie wiedzieć wcale o jego obecności. Jej stopa, wysunięta z pod sukni, była w ciągłym ruchu, a błysk łagodny lakierowanego bucika przykuwał do siebie oczy.

Głuche jakieś uczucie ciemną barwą napełniło jej oczy. Latało wokół szczęście, było w tej izbie, jak wielobarwny motyl wiosny, i znowu dokąś pierzchnęło. Nie długo już bawił. Umówiwszy się, że o tej samej porze przyjdzie nazajutrz, wyszedł z pośpiechem.

Przybywszy tego wieczora do domu, zastał pilny list pneumatyczny, który nań czekał już od sześciu godzin. List był od sekretarza Ogrodynca, wzywający do natychmiastowego przybycia. Było już późno, a jednak Nienaski zdecydował, że trzeba jechać. Zbiegł do kolei podziemnej i przed dwunastą był na miejscu. Gdy mu drzwi otworzono, ów sekretarz, młody Francuz, oświadczył, iż Ogrodyniec nagle bardzo ciężko zachorował, i że kilkakrotnie pytał, czy „monsieur Nienaski“ przybył. Wpuszczony do pokoju sypialnego, Ryszard znalazł Ogrodynca w postaci masy nieruchomej, zanurzonej w puchy pościeli. Starzec był bardzo zmieniony. Oczy miał zakryte powiekami, wargi niemal czarne i pół otwarte. Nie wiadomo było, czywa, czy śpi, czy może nawet nie żyje. Ale lekarz, drzemający w głębokości fotela, ocknął się i dał znak, że życie nie wymknęło się jeszcze z tej trupiej powłoki. Po długim, godzinę trwającym oczekiwaniu zebranych, chory poruszył głowę, a nawet usiłował ją dźwignąć. Lecz ta głowa we wgłębieniu poduszki toczyła się bezwładnie, jakby była przywiązana na sznurze. Mimo to ciemnie powieki dźwignęły się, obwisła dolna warga powściągnęła i usta coś z cicha wymamlały. Sekretarz, z nabożeństwem schylony nad swym chlebodawcą, skinął na Ryszarda. Ten nachylił się nad pościelą i usłyszał słowa z trudem wyrzeczone.

— Nienaski? Czy jest Nienaski?

— Jestem tutaj... — rzekł Ryszard głośno.

Coś, jak gdyby uśmiech, prześliznęło się po grubych fałdach i przegubach twarzy. Znowu słyszeć

się dały jakieś wyrazy, zrazu niejasne, później coraz zrozumialsze.

— Żle mi. Kiedys tu przepowiedziałeś...

— Niechże pan o tem nie myśli! I niech mi pan tego nie pamięta.

Starzec znowu uśmiechnął się, a raczej skrzywił żałośnie. Szeptał:

— Sprawa Uj-Kahul... Żle... Gdy umrę, wszystko stracisz. Panie... panie Nienaski. Oszuka cię Lafleur...

— No, trudno! Przeboleję. Niech pan teraz o tem nie myśli...

— A cóż poczniesz?

— Wrócę.

— Dokąd?

— Do kraju.

— To ja namówilem cię do tej afery Uj-Kahul.

— Proszę już o tem nie wspominać!

— Żałuję teraz.

— Ja nie!

— A do Ameryki? Z Czarncą?

— Już nie! Och, już nie!... — mówił Ryszard z radością.

— Pewne?

— Pewne. Daję słowo honoru.

— Czemuż to?

— Polepszyły się tutaj moje interesy i nadzieje. Zmieniło się na lepsze we mnie i koło mnie... — mówił z radosnym wciąż uśmiechem.

— To bardzo, bardzo dobrze...

Starzec westchnął i znowu mówił:

— Cóż poczniesz? W kraju?

— Skoro wszystko mam tutaj stracić, będę zarabiał na życie.

— A cóż plany... plany?...

— Nie zrzekam się planów. Trzeba podejmować pracę około organizowania narodowego i społecznego robotników śląskich, karwińskich, krakowskich. Chwyć się tej ostatniej deski ojczystej, gdy tam wszystko ma w niemieckim morzu utonąć. Będę z innymi pracował nad stworzeniem kadrów uświadomionych z tego ludu. Jaka szkoda, że nic nie będzie z myśli o polskich kopalniach!...

Ogrodyniec dźwignął swe bezsilne powieki, i oczy jego spojrzały ostro w twarz Nienaskiego. Po chwili skinął na sekretarza i rzekł do niego po francusku.

— Zadzwoń!

Gdy ten nacisnął krążek dzwonka, stanął we drzwiach młody lokaj Ogrodyńca, Polak, Witold. Starzec rzekł do sekretarza:

— Otwórzcie obadwaj kasę!

Lokaj Witold w towarzystwie sekretarza zbliżył się do szafy ogniотrwałej. Sekretarz ją otworzył. Nienaski patrzył na tę procedurę, bez przerwy myśląc o Xenii. Z radością snił o jutrze. Był rad — niestety! wyznać to trzeba — że ta noc prędzej minie wskutek przygody z chorym. Liczył godziny, pozostające do jutrzejszej czwartej po południu. Patrzył teraz z ciekawością na coś tak egzotycznego w jego życiu, jak wnętrze kasy ogniотrwałej, naładowanej rozmaitymi „walorami“. Wszyscy obecni mieli oczy wlepione w jej wnętrze, jak wilki w padlinę. Ogrodyniec rzekł po polsku do lokaja Witolda.

— Duża koperta na trzeciej półeczce. Patrz mu na ręce!

Do sekretarza mówił po francusku, powtarzając dwa pierwsze zdania:

— Duża koperta. Na trzeciej półeczce...

Ów sekretarz przyniósł w istocie do rąk chorego kopertę, jak gdyby rzecz kruchą i łamliwą. Czarna ręka Ogrodyńca z trudem wysunęła się z pod kołdry. Dwoma bezsilnymi palcami ujął brzeg koperty i niecierpliwie pytał obecnych:

— Czy nie przybył pan Czarnca?

Powiedziano mu, że nie. Wtedy zamknął oczy i, nie puszczając owej koperty, zdawał się drzeć. Minęło tak z pół godziny.

Ogrodyniec znowu się poruszył i zapytał:

— Czy nie przybył pan Czarnca?

Usłyszawszy odpowiedź, że inżynier jeszcze do domu nie wrócił, że telefonują po niego bez skutku do rozmaitych przypuszczalnych miejsc pobytu, chory otworzył oczy, skinął na Nienaskiego i polecił mu gestami wziąć ową kopertę. Gdy ten uskutecznił zlecenie, Ogrodyniec zaczął znowu mówić z trudem i przestankami:

— To mój testament

— Ach, tak?

— Wyplacisz pan... legaty...

— Ja?!

— Rodzinie mojej w kraju, instytucjom, służbie. Wszystko tam... wyszczególnione... opisane... Co do joty. Za resztę kup owe... kopalnie... w kraju...

— Ja?!

— I twórz to nowe twoje... marzycielskie... życie...

— Jakto? Ja?!

Starzec uśmiechnął się po raz ostatni z dumą, wyniosłość:

— Żebyś nie powiedział, że cię giełdziarz Ogrodyniec.. w pole wyprowadził i... oszukał...

Nienaski trzymał w ręku ową wielką kopertę, niezdecydowany i wstrząśnięty do gruntu. Ogrodyniec rzekł po francusku do obecnych:

— Wszyscy zaświadczyć mają, że ja przytomnie i w pełni rozumu własną ręką dał testament memu krewniakowi, panu Nienaskiemu.

Po chwili jeszcze raz westchnął i dorzucił:

— Nie jemu, lecz przez jego ręce... mojej ojczyźnie...

Młody sekretarz przechylił się poprzez metalową poręcz łóżka i zapytał chorego:

— Mamy zaświadczyć wobec kogo?

— Wobec sądu... — mruknął twardo.

Po pewnej chwili zapytał znowu z niepokojem:

— Czy nie przybył pan Czarnca?

Usłyszawszy przeczącą odpowiedź, skierował oczy na młodego lokaja Witolda i rzekł do niego po polsku:

— Ty masz obowiązek o tem samem, w razie potrzeby, zaświadczyć w kraju, iżem, zdrowy na umyśle, majątek mój przekazał panu Nienaskiemu. Pojedziesz tam z panem Nienaskim. Czy będziesz tak świadczył?

— Będę... — rzekł tamten twardo i zimno.

Nos chorego bezsilnie utknął w poduszkę i wargę

znowu się na dół odwaliła. Ręka, wysunięta z pod koldry, poczęła drżeć i dawać jakieś znaki. Lekarz, schylony nad chorym, zwrócił się do Nienaskiego i rzekł po cichu:

— Mówi coś po polsku.

Ryszard nastawił ucho i słuchał.

— Tereny pod Royan sprzedaj zaraz... Niema już co! Gdyby Czarnca... Powinieneś pan mieć w ręku, po wypłaceniu legatów, około pięciu milionów. Pilnuj się! Precz z tkliwością!

I jeszcze coś zgoła niezrozumiałego:

— Więc widzisz, że i ja... po swojemu...

Potem zamilkł i popadł w śpiączkę. Lekarz podreptał do swego krzesła i wnet chrapał najbezcelniej. Lokaj Witold raz wraz zaglądał do sypialni z sąsiedniego pokoju, mierząc wszystko i wszystkich biegającym, chytrym wejrzeniem. W drugich drzwiach kiedy niekiedy uchylała się portyera, i młody sekretarz zapuszczał do tego pokoju badawcze wejrzenie. Nienaski siedział na fotelu, trzymając na kolanach złożoną kopertę z testamentem. Morzyła go twarda senność. Lecz i tę senność otrzeźwiał raz wraz świadome zastanowienie. Co to się stało? Co się dzieje? Jestże to sen, czy jawa? Prędko sunęły fakty, brzmiały w uchu słowa dopiero co zasłyszane, a zdumienie nie zmniejszało się, lecz raczej rosło.

Nastęczał się wciąż ten sam objaw świadomości ukrytej — myśl nadcielesna, — jak logicznie układają się sprawy człowieka, jak przedziwna w nich jest kara i nagroda. Miesiące męczarni, które stanowią, jak gdyby wojsko ćwiczące się w twardym, morderczym

ordynku, żeby wywalczyć jedno mgnienie szczęścia, jedno olśnienie niewiadomego nad złem zwycięstwa! Xenia, dziecko niewinne — urwis, wisus, łobuz, kozak — któremu się zachciało udawać przed sobą parryską ladacnicę. O, szczęście, szczęście! Minuty rajskiego doświadczenia!

A toż drugie! Poniżenie duszy, giełda, związek z szachrajami i szwindlami, — a teraz nagle ten oto zapis! Pięć milionów na ziemię polską! O, szczęście, szczęście! Stary giełdciarz, krętacz, robigrosz — i taka jego chwila ostatnia! Ryszard patrzył na bezwładną głowę umierającego — i nie czuł najslabszego żalu z tego powodu, że ten człowiek umiera. Dziwna to rzecz powiedzieć, — czuł szczęście wysokie, radość w Bogu, jak owi mnisi w klasztorze, gdy ich brat umiłowany konał.

Wokół krzesła w północy snuły się półzjawy, półmarzenia. Ojciec... Coś mówi... Jego to głos przed czemś ostrzega. Nie słysząc tego głosu wyraźnie, lecz przenosi się w sercu brzmienie pamiętne. Sens słów zdaje się wisieć w powietrzu: to pieniądze, pieniądze tak cię radują!... Strzeż się! — Jestże to pokój rodzinny? Lampa z kloszem zielonym z wieńcem, białym u dołu, bliźnia, domowa siostra niedoli... Onaż to świeci na tym nowym szlaku życia? Jezus to światło dawno zgasszone mówi do serca: strzeż się! — Myśmy byli cnotą polską, niesławną, bezimienną, surową i bez powabu. Ty idziesz na drogi strome i śliskie. Strzeż się! — Ryszard budził się, poprawiał na swym miejscu, nasłuchiwał. Mówił do siebie po ocknięciu:

— To ci mnisi zarazili mnie swymi modlitwami...

Lecz modlitwy niepostrzeżone, rodzące się, jak obłoki w wysokich Tatrach, były raczej własne, trzeźwe i zdrowe. Pływały z serca w górę, dając duszy wesele. Wesele dawne, wesele młodości wracało znów. Drżało od niego każde ścięgno, każda żyła i każda kropla krwi. Ponad wszystkim i we wszystkim tało się wszechmocne uczucie dla Xenii. Ona nie była kobietą, miłością, żądzą, lecz wszechpotężną władzą serca, jego życiem, jego uderzeniem, siłą i pracą.

Lekarz ocknął się, wydobyl gruby, złoty chronometr i zaspanem okiem patrzył na godzinę. Ziewnął: — Quatre...

Nienaski podniósł się ze swego miejsca i zbliżył do Ogrodynia. W tej samej chwili chory poruszył ręką, wysuniętą z pod kołdry. Coś wymówił bezsilnymi wargami. Ryszard nachylił się, lecz nic nie słyszał. Zwolna ujął rękę starca i uściśnął ją. Ta dłoń chciała mu oddać uścisk, natężyła się i krzywe palce z całej siły szczypały skórę ręki Ryszarda. Jakiś dźwięk dobijał się w zczerniałych wargach o formę słowa. Nienaski dorozumiał się raczej, niż usłyszał:

— Pamiętaj!

Powieki zwolna wwały się w oczodoły i ręka zwisała, jak zeschnięty badyl. Lekarz przewracał się w swym fotelu z boku na bok i na gesty Nienaskiego, wzywające go do łóża, nie zwracał uwagi. Nareszcie po wielu minutach stękania ruszył się i przywłókl, cicho suwając pantoflami po dywanie. Nachylił się

z najserdeczniejszym ziewnięciem nad chorym i dotknął jego puls. Z gestem ulgi odsunął niedbale kołdrę i przyłożył ucho do jego starczej piersi. Słuchał cierpliwie i tak długo, że zdawało się, jakoby na dobre usnął tam znowu. Lecz medyk dźwignął się rzeżko, radosnem spojrzeniem obrzucił Ryszarda i nadbiegających domowników. Z uczuciem niemal tryumfu głośno i wesoło oświadczył:

— Ça y est!

Wróciwszy o świcie do domu, Nienaski rzucił się na łóżko i tego spał do godziny jedenastej. Po przebudzeniu ubrał się żywo i na nowo odczytał testament, który w nocy tylko przejrzał pobieżnie. W istocie stary pan Ogrodyniec zapisał mu najformalniej swój wielomilionowy majątek z warunkiem wypłacenia kilku legatów, nie dosięgających w ogólnej sumie wysokości kilkuset tysięcy franków. Nadto były w tym zapisie wyszczególnione pozycje własności różnego rodzaju, jak kamienice, tereny nadmorskie w okolicach Royan, oraz wyspy Oleron, na których to terenach można było jeszcze zarobić i ogólny kapitał powiększyć. Po kilkakrotnem odczytaniu owego aktu — który był już znacznie wcześniej notaryalnie sporządzony — Nienaski złożył go i postanowił jechać zaraz do adwokata, notariusza i sądu dla zlegalizowania zapisu i przeprowadzenia formalności prawnych. Postanowił sprzedać zaraz willę w Passy, wraz z meblami, biblioteką i dziełami sztuki, które zawierała, jak również spieniężyć wszystko, co się da.

Siedział zamyślony w oknie swego hotelu, czekając na zwykłe śniadanie. Po przeciwległej stronie ulicy, w jednym z mieszkań ktoś grał wesołe i śpiewne melodye Brahmsa. Tony te wpadały w ucho i czarowały myśli w sposób szczególnie władczy. Nienaski miał w sobie (w czuciu swem), jak gdyby dzieje ludzkie, dzieje plemion dalekich, nigdy nie widzianych. Węgierskie, czy rumuńskie równiny, pachnące od pszenicy dojrzałej, złote od kukurydzy i barwniste od maku... Pieśń miłosna wywija się z głębi ludzkich chat białych, oplecionych winem. Wyraz siły wiecznej rodu ludzkiego objawiał się w tej muzyce, dolatującej z oddali. Poprzez ten widok i za pośrednictwem muzyki Nienaski czuł Xenię. Przecież ona — jest to ta właśnie żywotwórcza muzyka — ona to jest pieśń miłosna. Jej dusza, jej wola, jej czyny, pasje, chcenia, rzucanie się głową w dół, na oślep, byleby zobaczyć dno — toć to jest ta muzyka. Widok niejasny siły plemion, ludów, pokoleń, które żyły i żyją, — których potęga i trwanie objawia się w szczęściu pieśni weselnej miłości. Oto teraz trzymał w ręku ten dziwaczny dokument, ten naiwny symbol, buławę swojej potęgi. Śmiał się w głos, śmiał się z oczyma pełnami łez radości, że wyjdzie na jałowe ugory polskie pod Oświęcimiem, że je uderzy nowym kilofem i drągiem żelaznym, aż dadzą odzew i jękną pod razaniem. Patrzył przez łyż na tych, co idą z biednego polskiego kraju, których trzysta tysięcy nędza goni w Saksy, w dal, w świat, — żeby zamiatali i wynosili pański brud, żeby dźwigali nieudźwignione, na czego ruszenie z miejsca szkoda panom siły konia i osła,

żeby chłonełi płucami najzjadliwsze gazy, miazmaty, dymy i kurz. Tych wszystkich zwoła — i nie dał U siebie, na swoim i dla siebie podejmą pracę!

Wzniosą się nadbudowy szybów, zahuczą maszyny, windy, motory, warsztaty, rozpalą się piece! Płakał radosnemi łzami, słuchając czyjejs radosnej muzyki.

Miał w sobie szczęście niezmiernie, które było jasnowidztwem, wiedzą najgłębszą, tworzeniem nieomylnem, znajomością dróg potęgi, — szczęście, które było zarazem odruchem żywotnym i świadomym gestem. Swe dawne serce tworzące i twórcze czuł w sobie. Czuł je, jak wówczas, gdy kwitnąca wiśnia uśmiechała się doń z za muru warszawskiej ulicy.

Stary pocziwiec — lokaj, wnosząc tacę ze spóźnionem śniadaniem, oświadczył, że od pół godziny czeka jakiś lokaj. Nienaski kazał go zawołać. Był to „bizon“ pani baronowej Halfsword. Podał list, obrzucając pokoiczną Nienaskiego spojrzeniem niezgruntowanej, niemal nadludzkiej pogardy. W liście były różne historyczne wykrzykniki, świadczące o tem, że stara dama już wie o śmierci Ogrodyńca. Ryszard napisał niezwłocznie zawiadomienie, iż przybędzie o godzinie trzeciej — i wręczył ów list dumnemu lokajowi. Po śniadaniu pojechał, piastując pieczęć kopertę z testamentem, do adwokata, który prowadził sprawy nieboszczyka Ogrodyńca, — z nim do notaryusza, który akta spisywał, — a z tamtym do sądu. Testament został prawnie obwarowany i pierwsze formalności spadkowe załatwione. O godzinie trzeciej Nienaski wchodził do baronowej. Czekala

nań w salonie, obnażonym z gazet, bawiąc się wachlarzem z kości słoniowej. Żywe rumieńczyki na zwiędłych jagodach, ognie w oczach wskazywały, że niedawno pękła w tym lokalu butelka szampa. Gdy Ryszard wszedł do salonu, baronowa powstała z krzesła i, w odpowiedzi na jego ukłon, oddała mu szyderczo-uniozony dyg, zabytek z czasów cesarzowej Eugenii.

— Witam w panu nowego potentata finansowego... — mówiła.

— Dziękuję pani baronowej za to powitanie. Jestem, jak dotąd, jeszcze wciąż niezamożnym karyerowiczem. Daleko mi do finansowej potęgi!

— Ależ ja wiem dobrze! Dwa domy. „Contenance“ każdego kilkaset metrów. Ten na „rue de Grammont“ wart z półtora miliona. Wiem, że „révenu brut“ ze sześćdziesiąt tysięcy franków. Ten drugi tuż przy „Gare Saint-Lazare“ pewnie jeszcze więcej. A place, a gotówka! Ma pan w ręku miliony.

— Mam tylko troski burżuja.

Baronowa skrzywiła się, usłyszawszy to ordynarne słowo.

— Proszę pana — mówiła — cóż się stanie po śmierci pana Ogrodyńca z akcyami, nabytymi przez pana — dla mnie.

— Posiada je pani.

— Och, nie! Dziś nie chcę wiedzieć, nie chcę nawet słyszeć o niczem! O niczem! Umywam ręce. Chcę to sprzedać, sprzedać!

— Ja najchętniej nabędę te akcye dla siebie. Gotów jestem załatwić to nawet jutro.

— Jakto? Dla siebie?

— Skoro pani baronowa ich się wyrzeka...

— Wyrzeka, wyrzeka... Myślę nad tem... Badam to... Jestem kobietą!

— A nie! Już zapóźno! Przepraszam uprzejmie, ale już zapóźno. Akcyi tych już nie oddam. Jutro je kupię!

— Co? Pan mi chce zabrać moje akcye? Jakto?

— Ponieważ pani chciała sprzedać, ja je kupiłem.

Dama wwiercała się weń przenikającymi oczyma. Zapewne dla odwrócenia od tej sprawy jego uwagi, spytała:

— Kiedy pogrzeb tego człowieka?

— Człowieka, to znaczy pana Ogrodyńca?

— Ależ pytam pana o te?

— Pojutrze, pani.

— Gdzie?

— Na cmentarzu Montparnasse. Pani baronowa weźmie udział w tym obrzędzie?

— Och, nigdy! Nie znoszę wszelkich pogrzebów. Mowy, kadzidła, cylindry, zapach.

— Śmierć jest sprawą równie naturalną, jak ślub, albo chrzciny.

— Łaskawy panie!

— Ośmielam się twierdzić, że umieramy wszyscy i to bez żadnego wyjątku.

— I cóż z tego za wniosek? Gdy umrzemy, wówczas będzie czas na żółte kwiaty i widok karawanu. Aż nadto czasu! Przepraszam jednak, pan jesteś może jakiś wierzący? — spytała po włosku.

— W co?

— Ach, w te tam rzeczy. Moja pokojowa wierząca. Codzien znika na cztery godziny, gdyż musi się modlić i to jedynie w najodleglejszych kościołach. Ona napewno będzie na tym „smutnym obrzędzie“.

Baronowa chichotała z cicha, jak notoryczna wiedźma z „Makbeta“. Nienaski rzekł do niej:

— Ponieważ pani już wie, że jestem spadkobiercą nieboszczyka Ogrodyńca, ponieważ mam zamiar wszystkie sumy wycofać i nabyć kopalnie w kraju, przychodzi mi na myśl pewna propozycja.

— Słucham pana.

— Czy pani baronowa nie zechciałaby mi po wierzyć swych kapitałów?

Stara dama wysunęła z pod sukni nóżkę w najmodniejszym pantofelku i spokojnie przyglądała się jego polyskowi.

— Panu? — spytała po pauzie tak długiej, iż można ją było traktować jako znak nieufności.

— Mnie, pani.

— Będę szczerą. W sprawach pieniężnych obowiązuje szczerść. Nieprawdaż panie?

— Oczywiście!

— Znam pana z rekomendacji pana Ogrodyńca, który przedstawił go z najlepszej strony...

— Rozumiem... Pani baronowa nie zna mnie prawie wcale. I cóż z tego? Alboż, znając jakiegoś bankiera najdłużej i najniewątpliwiej, ma się absolutną pewność, że któregoś dnia nie uda się on w podróż incognito do Ameryki? Jest to ryzyko, hazard nieustający. Tymczasem ja umieściłbym kapitały pani

baronowej tam, gdzie umieścić wszystkie bez wyjątku walory nieboszczyka Ogrodyńca. To jest gwarancya, że zabezpieczenie ich będzie pewne.

— I gdzie to? Czy można wiedzieć?

— Nabędę nowe tereny węgla i otworzę kopalnię w Polsce.

Baronowa krótko zachichotała, ukrywając zresztą niezwłocznie owe chichotki w istnem dyabelstwie uśmiechów odstręczających. — Oświadczyła z wyszukaną grzecznością:

— Dziękuję panu za radę. Obecnie nie będę mogła z niej korzystać. Zachowam tę parę groszy, jakie posiadam, na dotychczasowych lokatach, lub tam, gdzie je złożyłam.

— Wielka szkoda! Przez powierzenie mi tych funduszków uczyniłaby pani obrót nie tylko wygodny, lecz bardzo dodatni.

— Ja o dodatnie cechy obrotów pieniężnych, niestety, nie ubiegam się wcale!

— Dlaczego? Przecie samo posiadanie walorów, a nawet zysków nic nie zapewnia.

— Doprawdy? Nic.

— Niewątpliwie.

— To rzecz dziwna, bo mnie zapewnia.

— Co?

— Okruszę mizernej władzy, która mi się, sądzę należy, — pozór siły, której przecie pięścią wykazać nie mogę.

— Jaby pan baronowej umożliwił posiadanie władzy nowej, satysfakcyi wyższego rzędu.

— Dziękuję panu. Tak ułożyłam swe życie, iż

obywam się bez wszelkich już satysfakcyi, a szczególnie wyższego rzędu. Zresztą, przyznam się panu, iż mam umysł bardzo nieufny, niczemu i nikomu nie dający ślepej wiary, to też i satysfakcyę wyższego rzędu pozostawiam osobom wyższym ode mnie o całe niebo łatwowierności.

— Szkoda, powtarzam. Ci łatwowierni mają tę pociechę, że gdy oszust zeskałotuje walory, albo apasz zechce wydrzeć życie, jeszcze coś zostaje...

Drgnęła, jak przypieczona gorącym żelazem, pytając:

— Apasz wydrze życie!... Jakim sposobem, gdzie, co?

— Mówię to tylko, że, posiadając miliony, należy przynajmniej mieć jakiś wybieg, jakieś tłómaczenie, jakieś słowo obrony przed sobą w razie, gdy apasz napadnie, żeby wydrzeć życie.

— Należy mieć drzwi dobrze zamknięte i dobrze nabity rewolwer. Pan mię straszy umyślnie.

— Tak jest. Czynię to w pewnym celu.

Przypatrywała mu się z głębi swych zmarszczek, z pod czuba rudej peruki. Zaśmiała się przeciągle i obrzydliwie. Dla nadania sobie odwagi przeciągnęła się lubieżnie, jak to zapewne ze skutkiem doraźnym czyniła pięćdziesiąt lat temu. Mówiła:

— Nie, panie! Majątek, który posiadam, będzie moim aż do końca. Mógłby go pościć inny — o, napewno! — ale tylko w jednym wypadku.

— W jakimże to wypadku?

— Chyba tego łatwo jest domyśleć się...

— Doprawdy, nie jestem domyślny.

— Niewątpliwie. Przecież jestem kobietą! — mówiła baronowa z oburzeniem.

— Ach, tak!...

— Ta ręka nie należy do nikogo...

Nienaski chichotał wewnątrz, jakby był bruchomówcą. Patrzył na to zbiorowisko ohydy i przeżywał nad tem, czy nie ma jakiego znajomego, któryby chciał pojąć za żonę tego trupa. Przebierał w myśli różnych „bizonów“ i na żadnym nie mógł się zatrzymać. Podniósł oczy na tarczę starego zegara i zobaczył, że blisko jest czwarta. Wstał tedy i rzekł:

— Nie tracę nadziei.

— Już jest stracona.

— A gdybym też przybył tutaj w towarzystwie rycerza, który byłby szczęśliwy, mogąc podnieść oczy aż do wysokości tej ręki...

Spojrzał, mówiąc to, na pokrzywioną łapę i doznał czegoś, jakby napadu torsyi w czasie chloroformowania. Baronowa bawiła się swym wachlarzykiem, patrząc na gościa żrenicami, które zdawały się, jak u bazyliuszka, z orbit wychodzić. Ryszard uklonił się zdaleka, żeby nie dotknąć indyczej łapy. Wiedział, że ta stwora połknęła haczyk i że będzie czekała na zapowiedzianego rycerza. Postanowił też wyswatać ją za jakiegoś draba, który namówiłby babsko do przystąpienia do spółki w celu nabywania terenów krakowskich.

Zbiegł ze schodów, dopadł automobilu (tak!) i pomknął do Xenii. Czekala na niego. Była w wolnym szlafroku różowego koloru. Pierwszy raz widział ją taką, bez obcisłej sukni. Była zajęta pisaniem pil-

nego listu do ojca. Kazała siedzieć grzecznie, bez ruchu i cicho — czekać, dopóki nie skończy. Szuflada biurka była uchylona i Ryszard widział leżące tam listy. Przekomarzając się z gospodynią tego pokoju, zapuszczał raz wraz rękę w otwór owej szuflady i wyciągał stamtąd to taką, to ową epistolę. Niektóre z nich już był widział, więc ciskał je z powrotem. Ten i ów list był jeszcze w kopercie, i Nienaski z głęboką radością spostrzegł, że większość z tych miłośności adresowana była do owej Teresy Neville. Tak było z listem, pisany na blankiecie Izby deputowanych. Co więcej, w samym tekście niektóre wiersze były wymazane innym atramentem, niektóre słowa podskrobane. Domyślił się, iż Xenia umyślnie, dla podrażnienia go pokazywała mu te listy, jako pisane do siebie. Jakże mu się robiło w duszy radośnie, gdy teraz patrzył na adresy kopert! Lecz ta radość była przedwczesna, bo oto trafił na list pani Sabiny Topolewskiej, adresowany już niewątpliwie do Xenii, która w owej chwili tak była zajęta pisaniem do ojca, iż nie zauważyła perlustracji. Pani Saba wystosowała ów list po otrzymaniu drugiego błagania Ryszarda o adres Xenii. Przytoczyła w cudzysłowach cały niemal tekst jego listu i zaopatrywała każde z obłądnych błagań w wykpiszowski, natrząsający się, cynicznie kpiarski komentarz. Nie było drwiny, którejby nie użyła dla wyśmiania jego skamlań. Radziła Xenii strzedz się tego pana, trzymać się od niego zdaleka, unikać stosunków z nim, ile tylko można — właśnie dlatego, że teraz tak jest zakochany. „Tacy są najgorsi — pisała ta ekspertka — to są tyrany, nękałe —

(takiego używała terminu) — najniebezpieczniejsi ze wszystkich dla nas, kobiet. Ani się spostrzeżesz — pouczała dalej — jak cię taki opanuje, skrepuje swym szaleństwem, pokona, rozbudzi w tobie samej ślepotę, maniacką i głupią wierność. A gdy on sam zechce innej, tobie każe trzymać się jego poły, boby mu to ubliżyło, żebyś ty śmiała mieć innego. Tego nie zniesie jego pycha, a będzie mu się wydawało, że to wciąż ta sama jego poprzednia pasja.“ Radziła przezornie, żeby kiedy niekiedy czemś podniecić wrażliwość, ukazać mu się, mignąć przed oczami — i zniknąć, zniknąć jak najczęściej i na czas jak najdłuższy. — „Jest to idealista, wybuchowiec, głowa gorąca, a serce na prawdę z kamienia. Tak zwany „porządny człowiek“, który cię będzie trzymał na łańcuchu swych „zasad“, jak psa na swoim podwórzu, gdy sam będzie miał pełny dom profitów ze swoich cnót, — a zresztą pod sekretem robił, co mu się podoba. Gdybyś mu się sprzeciwiała, zakłułby cię w dyby i zamknął w piwnicy — wszystko z owej miłości.“

Nienaski czytał list ze zduszonym oddechem. Czuł mękę bezsilną, jak robak podeptany obcasem przechodzącego człowieka. Złożył ów list i cisnął do szuflady. Zaczął chodzić po pokoju tam i nazad. W głowie jego huczały zdania przeczytane. Słowa te uwięzły w nim, a teraz wkręcały się w pamięć, wrzywały w myślenie. Xenia pisała uważnie, długo, skrobiąc piórem po szorstkim papierze. Nareszcie skończyła i zamknęła swój list w kopertę.

— Paniel — pytała — kiedy pójdziemy do adwokata?

— Jutro.

— Ach, jak to dobrze! A do papuchy w sobotę — zgoda?

— Zgoda.

— Zły czegoś dzisiaj architekt.

— Nie.

— Przecie widzę. Roztrząsa na swych widłach moje grzechy.

— Nie.

— Powiem panu, com sobie kupiła, to się pan rozweseli. Bo już po prawdzie, taka byłam obdarta!

— Niech pani powie.

— A kiedy nie można. Gdyby nie ten przeklęty wstyd dziewiczy, tobym powiedziała. Różne rzeczy.

— Tylko bez nieprzyzwoitych cytata!

— Tu w tej szafie leżą?

— Co „leżą“?

— No, te kupione cytaty.

— Nie nudzić mi! Takbym dziś gdzie poszła z tym bliźnim rodakiem!

— A gdzie?

— A bo to sensat poszedłby ze mną?

— Jeszczeby też?

— Mój złoty!

— „Złoty“ — mówił ze łzami przemocą wstrzymanemi, ze łkaniem, zduszonym w gardle. — „Złoty“, nim się na nic zedrze.

Zaczął mu się przypatrywać, zlekka mrugając powiekami, coś kombinować, wspominać. Żywa jej pamięć i bystra inteligencja schwyciła te aluzye i odnalazła ich źródło.

— Podgląda i przepatruje moje listy!... — mruknęła.

Wstała ze swego miejsca i nieśmiało do niego podeszła.

— Quel type! — mówiła w rozterce i oniesienie-
leniu — to pan sobie myśli, że z nami jest tak, jak
Saba pisała w liście?

— Nie wiem, jak jest z nami! — jęknął, ledwie
mogąc wyrzucić te słowa.

Łagodnie podniosły się jej ręce, pomknęły się ku
jego głowie i nachyliły ją ku ustom, ku oczom wier-
nym, zaszepionym od uczuć. Gdy ją ramionami oto-
czył, przywarła do niego wszystka, aż zapomniał, że
ona jest drugim człowiekiem i inną płcią. Stali się
jednym życiem i jednym czuciem. Coś wszeptowała
mu w uszy, coś wcałowywała w usta. Na miejscu,
gdzie jej usta spoczęły, snuły się jakoweś słowa pło-
nące. Skoro zaczął dopytywać się i domagać, co zna-
czą te półdźwięki, nie chciała ich wydać. Przechodzili
z miejsca na miejsce, nie mogąc znaleźć najszcze-
śliwszego. I tu i tam było niedobrze. Znowu się złął.
Uciekł pod okno, jak za poprzedniej bytności. Sie-
działa na łóżku skulona, z rozrzuconymi włosami,
z głową podpartą na ręce. Gdy coś zagadał z daleka,
odburknęła:

— Nie potrzebuję, żeby pan ze mną rozmawiał!...

Zmrok zapadał. Wszystko w tym pokoju przy-
gasło, — powierzchnie mebli, tafle luster, złożone
gzemsy. W głębi widać było białość zgniecionej po-
duszki i rękę Xenii, obnażoną do łokcia, na której
leżała masa jej czarnych włosów.

Nienaski czuł w sobie takie szczęście, jakiego nigdy
jeszcze nie doznał. Anielskie chóry śpiewały w jego
sercu pieśni raz tylko jeden brzmiały. Wrzał w nim
wulkan rozkoszy, lecz szczęście panowało nawet nad
tym wulkanem. To właśnie szczęście stwarzało w nim
bezwład duchowy.

— Nie! Nie popchnę cię! Nie zabiję cię! Będę
jednym, jednym, albo nie będę wcale. Znaj czło-
wieka! — mówił do niej w duchu.

Gdy już była zupełna noc, powoli zbliżył się do
niej i trafił ustami do tej białej ręki, podpierającej
fale włosów.

— Pójdziemy do teatru?

— Do którego znowu? — mruknęła z żywością.

— Tylko nie do żadnego kabaretu, nie do żadnej
budy.

— No? Więc? Na „Króla Edypa“, czy na inną
jaką straszność?

— Do „Théâtre Royale“.

— Och, mój złociutenki, mój prześliczniutki, mój
brylantowy w cyzelowanej oprawie, mój skorpionku!
Takem chciała tam być, a nigdy nie byłam! Ale tam
drogo... — zmartwiła się ciężko. Ze zmartwienia
mocno go w usta pocałowała.

Zdecydował się, żeby jej nic nie mówić o swem
milionerstwie. Wszelkie osobiste wydatki traktował,
jako pożyczkę, którą z pracy swej budowniczojskiej
zwróci. Westchnął:

— Trudna rada! Przecie krzesła nie będą znowu
tak drogie...

— Ale jedne z pierwszych, bo pewnie tańsze. Już,

jak drogo, to zawsze lepiej w pierwszych rzędach, bo tak nie lubię być na szarym końcu...

— A kiedy pani nie ubrana.

— To się da zrobić. Ale przecie muszę iść jeszcze z Teresą na obiad.

— O, nic z tego! Dziś nie. Idziemy na obiad my dwoje, dobrze?

— Gdzie? — spytała z zapartym oddechem.

— Do włoskiej restauracji.

— Tam, w tej szyjce! Wiem. Ale to się jego ponurość dziś zrujnuje! Pan znalazł jaki pugilares na ulicy, czy co?

Nienaski mruknął od niechcienia, śmiejąc się zcicha:

— Znalazłem pugilares...

Porwała się z miejsca, odkręciła światło elektryczne i kazała mu iść do mieszkania tej Neville, do tak zwanego „atelier“, gdyż musiała się ubrać. Niechętnie wyszedł do owego salonu. Był to duży pokój z aparatem fotograficznym wielkiego rozmiaru. W głębi, za kotarą, było łóżko pani Neville. Na stolach leżały albumy z fotografiami. Nienaski zaczął je przeglądać. Xenia tymczasem za ścianą pokoju wyśpiewywała melodyjnym sopranikiem wesołą włoską piosenkę:

„Io conosco un morino
Dello sguárd' assassino...
Dove vado mi segue...“

Śpiewała tak radośnie i swobodnie, że o wszystkim zapomniał i słuchał. Strojenie się trwało bardzo długo. Było po szóstej, kiedy został przywołany do

pokoju szczęśliwości. Xenia była już w kapeluszu i paltociku. Usta były zlekka — zlekka... Wypierała się, że niema nic a nic. Wykrzykiwała, że to jest „podłość“ posądzać „kogo“ o takie rzeczy. Kazała wycierać swe wargi „paluchem“ na dowód, że nic niema. Z głębokiemi stękaniem wskazywała na dość skromny aksamitny „kapidron“ z rondem, w którym to kapidronie wyglądała prześlicznie.

— Zupełnie aspirantka do Armii Zbawienia.

— Ależ gdzież tam! Trzeci portret Łady Hamilton. Czy nie?

— Eh, pan to jest także naiwny historyk sztuki! Chodźmy!

— Zaraz! Chciałem Xeniusię o coś bardzo prosić...

— Nareszcie! Słucham...

— Pani się stąd wyprowadzi... — błagał z całego serca, z całej duszy. Rozzłościła się na dobre. Poczzerwieniała i buchnęła z ostatnią pasją:

— At! Nie idę z panem nigdzie.

— Przecie to jest niemożliwe!

— Co niemożliwe?

— Mieszkanie tutaj.

— A cóż mi tu ugryzą kawałek, czy mi urwie kto głowę? Pan by chciał pewnie, żebym ja mieszkała w jakiej „Pracy“, a na cały dzień chodziła za zarobkiem do fabryki. Mówię panu otwarcie, żeby mi pan dał pokój ze swymi rozkazami. Nie idę do teatru — i już!

— Ja pani wytłomaczę!

— Proszę mię zostawić w spokoju — i w domu.

— Nie wyprowadzi się pani z tego mieszkania?

— Nie!

Usiadła na fotelu i, poświstując, patrzyła w komin

— Czyż nie można w takim mieście, jak Paryż, znaleźć sobie lepszego mieszkanka?

— Gdzie mam to „mieszkanko“ w Paryżu „naj-
mać“? — krzyknęła najzupełniej z warszawska. Tu
mi jest dobrze, mam towarzystwo i jaką taką weso-
łość, to chciałby mnie wpakować w jaki klasztor!

— Ależ, nie!

— To gdzie?

— Czy ja wiem? Trzeba poszukać! Mało to pen-
syonatów!

— „Pensyonatów“... — przedrzeźniała go z naj-
głębszą pogardą. — Z panienkami, z dziewczątkami,
z aniołeczkami, co to ni be, ni me. Zbiją się te Anielki,
Madzie, Joasie, Marynie w gromadkę, w rożku salonu
i szepcą gołębiemi, zaróżowionemi dzióbkami o ta-
kich potwornych paskudach, że pan osiwiłaby z prze-
rażenia, gdyby pan to mógł słyszeć tak, jak ja sły-
szałam. Już — dziękuję. Ja lubię sama wszystko
wiedzieć, poznać i na własne oczy zobaczyć. Nie
potrzebuję, żeby mnie było kto oszukiwał.

— Ale się pani stąd wyprowadził!

— Pan mi każe?

— Nie każe, ale będę Xeniusię błagał, zaklinał,
molestował...

— Bez tej tam „Xeniusi“. Już za pan brat.

— Chodźmy... — prosił.

— Z panem się tam zabawi... — zdecydowała
z wyniosłą odrazą, zabierając się jednakże do wyjścia.

Było jeszcze za wcześnie na obiad, więc prze-

dzierali się poprzez ruchomy tłum bulwarów. Na
ulicy Xenia była inna, niż w domu. Po prostu inną
stawiała się kobietą. Co chwila, widząc, przypominała
sobie, że ma obok czujnego obserwatora, więc usi-
łowała być sobą, dobrą dziewczynką. Lecz, gdy
przyszło mijać werandy kawiarni, gdy jej piękność
zwracała na się oczy siedzących lowelasów, kobieto-
łowców, miejskich nygusów, znawców i bywalców,
— wbrew wszystkiemu — przybierała jakąś rolę.
Szła inaczej, miotając spojrzenia, uśmiechała się
w sposób zdradziecki. Ryszard drętwiał i za żywa
przymierał z zazdrości. Blaski, ruch, gwar, łoskot
pojazdów, spojrzenia, śmiechy, muzyka — zdawały się
wprawiać ją w stan niezwalzonego odurzenia, pół-
szaleństwa. Raz wraz przypominała sobie o smętnym
towarzyszu i gwarzyła z nim po ludzku, lecz było to
zewewnętrzne i pozorne. Wewnątrz jej natury mknęła,
leciała, burząc się i pieniać, czarna rzeka podjudzenia.
Błąkali się to tu, to tam. Tu przystanęli, ażeby po-
patrzeć na wystawę sklepu, oczywiście jubilerskiego,
— tam oglądali witryny księgarskie, — admirowali
składy wytworności wszelkiego rodzaju, bielizny i
strojów damskich, futer i kostyumów kąpielowych,
obuwia i śmiesznych figurynek z terrakoty... Po
siódmej udali się do owej zacisznej włoskiej restau-
racyi. Xenia nie lubiła wina. Łedwie maczała w niem
wargi. Nie znosiła również mięsa. Łedwie coś tam
schrupała jednym zębem. Jadła natomiast wszelkie
jarzyny, leguminy i słodczyce. Nadewszystko włoskie
spagetti z pomidorowym sosem. Te wchłaniała
w ilości niewiarygodnej, aż do wytarcia chlebem ta-

lerza na czysto. Po skończeniu obiadu stała się wesoła i rozbawiona jak pensyonarka. Przedrzeźniała swego towarzysza i udzielała mu bezpłatnych lekcji wesołości. Raz wraz patrzyła na godzinę, czy nie pora już do teatru. Ponieważ dużo jeszcze było czasu, Nienaski prosił, żeby zejść do jednej z sąsiednich kawiarni, gdzie była o tej porze dobra muzyka. Istotnie, tam czas biegł szybciej, niż gdziekolwiek, lecz tylko Xenii. Bawiła się, strzelając oczyma na wsze strony, dźwigając z miejsca (z przymusem do wdzięcznych póz) cielska, kadłuby i ciała męskie, ciągnąc ku sobie i za sobą oczy i ślepie, uśmiechy zachwyty.

Przed dziewiątą wyszli pośpiesznie do teatru zwanego Royale, w bocznej od bulwaru ulicy. Kupili bilety, te „tańsze“, w jednym z pierwszych rzędów. Xenia była uszczęśliwiona, jak wychowanka klasztoru, wzięta na balet. Teatr ów był niewielki, lecz bardzo ładny i elegancki. Xenia objaśniała swego prowincjonalistę, że bywają tam najbogatsi rentyerzy, najstrojniejsze damy i że można w tej sali widzieć najwyszukańsze precyzoza. W istocie, w najbliższej parterowej łoży siedziała dama bajecznej powierzchowności, jasna blondynka, z nieskazitelnie regularnymi rysami i o subtelny wyrazie twarzy. Na głowie miała strój z pereł, czepiec obszerny — jak zapewniała Xenia — bezcennej wartości, na szyi brylantowy pendentif. Ów medalion, połyskujący szatańskimi blaskami wśród piersi na pół odsłoniętych, był prawdziwie urzekający. Nienaski pierwszy raz w życiu swem zobaczył brylanty: ich blask, wdzięk,

urok i pokuszenie. Xenia nie spuszczała z oczu tego połyskliwego klejnotu, który się taczał na złotym swoim łańcuchu, jakby najczarowniejszy trel majowego słowika, zestrzelony i zamknięty w coś, niby oko nieśmiertelne najczarowniejszej kobiety. Nie mogła mówić. Jakiś przyduszony jęk wydobywał się z jej ust. Szeptala tylko:

— Widzi pan? Czy pan widzi? Teraz, teraz... O, teraz seledynowy, a teraz ten niebieski... który ładniejszy? A teraz ten fiolet, ten fiolet!

Nienaski przypatrywał się owej blondynce i myślał o tem, że przecie tamta jest piękna, może tak piękna, jak Xenia. Czemuż nie może tej piękności zobaczyć, jak zobaczył urok jej brylantu? Patrzy i nie widzi. Widzi i może nie patrzeć. Przygląda się jej, jak angielskiemu stalorytowi, albo pięknej miniatrze. Nie czuje nic.

Grano jednoaktowy dramat Victora Hugo pod tytułem: „Zubiri“. Nienaski nie znał tego utworu. Jego towarzysza wcale nie była ciekawa treści „sztuczdyła“. Ją głównie interesowała gra sławnej aktorki, znanej z brzydoty, z cudactw i genialności odtworzenia. Gdy podniesiono kurtynę, Ryszard zajął się tą sztuką. Treść była prosta, niemal pospolita. Kilku artystów — muzyk, literat, poeta — uczują z aktorką. Jeden ze współbiesiadników jest starszy i najbardziej w artystce zakochany. Ten nic prawie nie mówi. Piją burgunda, muzyk gra, aktorka, w obecności zakochanego w niej, opowiada, jak go zdradzała z innym, z tym właśnie młodym muzykiem — i z tym drugim, wysokim, który uśmiecha się i

milczy... Szczegóły jedne drastyczniejsze od drugih. W pewnej chwili na pół pijana skacze na plecy kompozytora, który siedzi przy fortepianie. Obejmuje go nogami. Później tańczy na stole i wspomina te chwile, kiedy to muzyk całował ją w nogę. Ów starszy wielbiciel wciąż słucha i milczy. Jeszcze jakieś słowo tej kobiety — i padł na ziemię. — Umarł. — Tej treści Nienaski nie zapamiętał dokładnie. Opadł na jej dno, przemierzył ją i zgruntował jak nurek, który dosięga tamtych rzeczy, — czarnej podstawy, śliskich wodorostów, niewidzialnych dla oka patrzącego po wierzchu. Przeklinał myśl i przypadek wybrania tego teatru i tej właśnie sztuki. Przeżył to „sztuczydło“, jako rzeczywistość. To samo wino pił przed chwilą, tych samych mężczyzn widział na ulicy. Ci sami, albo tacy sami otaczają go wciąż, mówią do niego, jak tamci do tej na scenie.

Te same są ulice i gdzieś jest wewnątrz wesołości, w którym się działy ten dramat straszliwy. Ten starszy to jest przecie on sam, Ryszard Nienaski. A więc taką jest kobieta! Gdy się umrze, ona tak płacze, tak szlocha nad trupem, zanim się w ramionach następcy nie pocieszy.

Tortura wymyślona, czy tylko pokazana przez poetę, rozdzierała mu serce, jak katowskie koło, — albo dla odmiany, ścisła ją, niczem przemysłny „hiszpański trzewiczek“. Gdy ów starszy współbiesiadnik runął na scenie, Xenia zaśmiała się z cicha. Któż zgadnie, co ten jej śmiech znaczył? Czego był echem? Czego zwierciadłem? Podniosła na Ryszarda oczy, — wyszukała jego rękę. Ścisnęła ją mocno i

rzekła rozsądnie, jak dobry kolega, jak wytrawny towarzysz:

— Nie trzeba być dzieckiem!

Uśmiechnęła się tym samym przemysłnym uśmiechem.

W antrakcie poczęła niepokoić się i wykręcać swoim zwyczajem. Rzekła, że musi przynieść sobie szal z garderoby. Chciał poskoczyć po ów szal. Nie zgodziła się na to. Uparła się, iż koniecznie wyjdzie sama. Oczywiście usłuchał rozkazu. Gdy odeszła, sam wstał z krzesła i wyszedł na próg foyer. Zobaczył wkrótce Xenię przechodzącą wśród tłoku wyfraczonych panów, którzy się przed nią rozsuwali, tworząc wolną ulicę. Ryszard wrócił na swoje miejsce. Usiadł i przymknął oczy. Myślał o tej sztuce, którą dopiero co widział, o tej przepowiedni, o tem wieszczaniu, idącym z dalekiego czasu. Coś w nim zaszło, coś dokonało się w sposób niemylny, dokładny, ścisły. Wiedział o tem, a nie pojmował. Tego wieczora stary romantyk pilnego, choć niepojętnego miał w tym widzu odbiorcę swojej twórczości, może pierwszego i jedyne go od tylu lat...

Następnego dnia przed południem stawił się, żeby towarzyszyć Xenii w czasie odwiedzin ojca. Jechali zamkniętym fiakrem, daleko, — do więzienia. Była tego dnia inną, zwykłą, smutną kobietką. Nic z pozy przybranej, nic z wdzięczenia się, nic z szyku. Mały aksamitny kapelusz-kaptur nadawał się do tego, żeby

opierać głowę o ramię towarzysza. On objął ją ramieniem i tak jechali w tę smutną podróż. Opowiadała przygody staruszka, któremu oto taki los wypadł. Łzy sączyły się z jej oczu. Nienaski widział ją taką po raz pierwszy i — dziwna to wyznać — pokochał ją za tę łzawość i nieefektywność zewnętrzną. Miał wreszcie przy sercu kobietę. Nareszcie zobaczył Xenię — człowieka. Podejrzliwym i badawczym okiem śledził przejawy tej miłości dla ojca. Przybywszy do więzienia na ulicy Arago, musieli załatwiać formalności, czekać, chodzić od urzędnika do urzędnika, aż wreszcie wpuszczeni zostali do poczekalni. Po upływie pewnego czasu drzwi się otwały i wszedł ojciec Xenii, Witold Granowski. Był to wysoki mężczyzna, lat sześćdziesięciu, łysawy, lecz jeszcze przystojny. Rzadkie, siwe jego włosy były zaczesane na bok. W oku tkwił monokl. Ubranie miał wyszarżane i wysiedziane. Na szyi, zamiast kołnierzyka, była chustka czarna w czerwone kropki, związana w fontań najzupełniej apaszowski.

— Ach, Xenia! — jęknął, zobaczywszy córkę.

Ona podbiegła ku niemu ze szlochaniem i na długo padła w jego objęcia. Stary pan całował ją w uniesieniu, z zamkniętymi oczyma, głaskał jej włosy dłonią, która drżała. Głęboka boleść i niezłomna miłość spoila obydwójce na długo. Służący więzienny zasiadł w rogu stancyi, podparł brodę pięścią, patrzył w okno i ziewał. Nienaski stał zdala. Odczuwał boleść Xenii, prawdziwie jakby swoją własną. Pożalował tego nieszczęśliwego szwindlarza. Zarazem walczył z pewną myślą, która była ostra i nieublagana:

— Ratować? Ratować za pieniądze Ogrodyńca, za pieniądze chłopów polskich? Każdy grosz jest cudzy! Czy jeden człowiek więcej jest wart, niż drugi? Czemu ten, a czemu nie inny? Ojciec Xenii! Tak! Idź, idź! Kradnij te cudze, publiczne, odziedziczone pieniądze na potrzeby prywatnych twych uczuć! Idź, zaczynaj!

Xenia podniosła głowę. Twarz miała zalaną łzami, nos czerwony, włosy w nieładzie. Jakże była inna! Jak zgola inna! Te oczy, zamglone od żalości, ta twarz przeświecona od czucia.

Przypomniała sobie:

— Pozwoli papa przedstawić sobie pana...

Granowski poprawił monokl salonowym gestem. Wpatrzył się w przybysza.

— Pan Nienaski... — rzekła.

— Miło mi poznać... Pan tu z moją córką?...

Słowa te były zaiste najbezsilniejsze. Co znaczyły? Jakie mogły znaleźć wytłumaczenie w odpowiedzi? „Tu z moją córką?“

Oczy więźnia-kryminalisty, przykutego do muru swej kaźni, pytały:

— Któż ty jesteś, który przyszedłeś do mnie z mą córką? Kawaler, kochanek, taki pan?

Bezsilna niedola, niedola najgłębsza na świecie tała się w niemem spojrzeniu. Nienaski je zrozumiał. Rzekł spokojnie:

— Znam pannę Xenię jeszcze z Warszawy.

— Z Warszawy... — powtórzył Granowski, kiwając głową.

— Jestem szczerym przyjacielem panny Xenii,

opiekunem jej na tym bruku, choć nie bardzo na to przystaje.

Spojrzał w oczy biednemu ojcu i wzrokiem chciał powiedzieć jego boleści jakieś słowo uspokojenia. Stary pan coś z tego zrozumiał. Siadł na ławeczce obitej ceratą i przyciągnął córkę do siebie.

— Co słysząc u ciebie, dzieciątko? — pytał z czułością.

— Wszystko jest nieźle.

— Z czego żyjesz?

— Robię, co się da.

— A co?

— Mieszkam u tej Neville...

— Wiem. Ale co? To jakaś fotografka.

— Z niej nie mam nic.

Uśmiechnęła się i rzekła:

— Próbowalam być u jednej modniary... Odnosiłam klientkom pudła z kapeluszami i sukniami. Kilka razy dało się zarobić po parę franków, a franka na dzień zawsze jak najpewniej...

Stary pan poprawił monokl. Dolna szczeka jego drgnęła, usta się półotwarły i jakby szczeknięcie z bólu kopniętego psa wydarło się z pomiędzy warg. Wpakował sobie drżącą pięść w gębę i kąsał ją zębami, żeby nie wydać głosu. Xenia coś do niego szeptała, a szeptała, Głośno mówiła:

— Jedna mi poradziła, żeby odnieść hafty do amerykańców Mortonów, milionerów, czy miliarderów. Stali w hotelu Bristol na placu Vendome.

— I cóż?

— Ta amerykańnica proponowała mi, żebym z nimi jechała do Chicago.

— W jakim charakterze?

— Właśnie nie wiem. Rozmawiała ze mną z gozdzinę, wypytywała się o wszystko i taka była grzeczna, że trudno znaleźć lepszą. Przyszła jej córka, starsza już pannica, o którą starał się jakiś, podobno, z panującego domu, potem jeszcze jej syn, młokos, miał może z dziewiętnaście, ze dwadzieścia lat. Wszyscy troje oglądali mnie i byli coraz grzeczniejsi. Szczególniej ta stara. Mówiłam, że ja naprawdę nic nie umiem robić, więc jakąż bym u nich miała pracę. To powiedziała, że będę do towarzystwa.

— Ale czyjego?

— Właśnie nie wiem. Przecie nie tej pannicy. Ta mi później tłumaczyła — co to te hafty dla nich robi — że mogłam zrobić karierę. Ale przytem takie głupstwa...

— No, co?

— Eh, nie będę powtarzała!

— Mnie nie powiesz?

Xenia uśmiechnęła się zabawnie. Widać było, że nie mówi prawdy, gdy dorzuciła:

— Powiedziała... No, kiedy to coś tak głupiego! Że ta amerykanka chciała mnie wziąć, ale do towarzystwa swego syna.

Granowskiemu trzęsła się głowa i monokl wypadł z oka. Ryszard, który z uczuciem niewiary słuchał tych szczegółów, wtrącił się do rozmowy:

— Niech pan będzie spokojny! Panna Xenia znajdzie teraz zajęcie stałe

— Jakie?

— Będziemy szukać. Jestem budowniczym. Będę tu miał swe biuro. Panna Xenia znajdzie zajęcie w tem biurze.

Xenia spojrzała na niego z wdzięcznością. Z uwagą słuchała tego, co mówił do jej ojca:

— Proszę pana, chciałbym zająć się sprawą pańską. Chciałbym wziąć dobrego adwokata.

— Panie! — szepnął więzień, — będę wdzięczny, będę wdzięczny nad wszelki wyraz!

— Postaramy się, żeby wszystko wypadło dobrze. Przyjadę tutaj do pana z adwokatem, ale bez panny Xenii. Trzeba poznać całą sprawę do gruntu.

Starzec otarł łzy i ożywił się. Zupełnie inny wyraz, chytry i niejako zalotny, ukazał się na jego twarzy.

— Otóż to, — mówił, — męska rada! Najlepiej tak! Bez Xenii. Oczywiście, bo gdzież ona, panienka, — i te wszystkie afery! Miałem tutaj adwokata, Bormana, z alzaczyków.

— Nazywał się Borman?

— Tak. Ale szelma rzucił sprawę. Co prawda, nie było czem płacić. A któryż zechce za darmo?

Spojrzał na Ryszarda wzrokiem pełnym bezdennej rozpacz.

— Teraz ja pokryję honorarium — rzekł Nienaski. — Później porachujemy się...

— Panie! — wzdychał więzień, biorąc za ręce to Xenię, to Ryszarda. — Głównie, żeby to nie był pila drewniana, który mię będzie sądował, jakbym był eskrokierem od urodzenia. Rzecz jest oczywista: Wieselman był agentem domów nowo-yorskich. Tu

miał otwarte kasety u najwybitniejszych jubilerów. Któż mógł przypuścić? Kto?

Nienaski potwierdzał skinieniem głowy. Ojciec Xenii nie dał sobie przerywać. Jak wszyscy więźniowie, zapomniał o świecie, przejęty tylko swą sprawą.

— Czyliż podobna przypuścić, żeby żadna na ziemi policya nie była w stanie wytropić tego łotra?

— Będziemy o tem mówić z adwokatem. Przyjadę w tych dniach. Będziemy o tem mówić szczegółowo!

— Dowiedz się pan o dniu permissyi.

— Będę u naczelnika. Zresztą adwokat to wyrobi.

— A którego pan zamierza? — z namiętym błyskiem w oku — pytał Granowski.

— Znam tu jednego, z którym mię los zetknął...

Dozorca powstał, przeciągnął się i dał znak, że wizyta jest skończona. Xenia rzuciła się w objęcia ojca.

Wskutek ciągłych błagań, gróźb, kłótni, nastawań, Xenia zgodziła się wreszcie opuścić pokój u pani Neville i przenieść się do pensjonatu na ulicy Notre-Dame de Champs, niedaleko od mieszkania Ryszarda. Był to zwykły pensjonat francuski, pełen cudzoziemców. Mieścił się w dużej kamienicy, której okna wychodziły na tę zaciszną ulicę. Xenia miała pokój dość ładny, długi, ze staremi wygodnemi meblami. Ryszard bywał u niej codziennie. Zajęci byli obydwoje sprawą starego pana więźnia. Jeździli do adwokata, do sędziego, do prokuratora, na ulicę Arago

i tak bez końca. Za wszystko płacił Nienaski, twierdząc, że wydatki skrupulatnie notuje i odbierze swoje, gdy stary pan, uwolniony znowu, pocznie zarabiać pieniądze. Xenia była szczęśliwa, że tak postępuje sprawa jej ojca. Nie mogła się nadziękować Ryszardowi. Była dla niego dobra i we wszystkim posłuszna, — lecz nudziła się ogromnie w tym pensjonacie. Mieszkali tam ludzie różni, lecz, jak mówiła, tak subtelni, że można było skonać z ziewania. Dwaj muzycy niemieccy, szwedzki lingwista, jakiś lekarz Rumun, na studiach w instytucie Charcot'a, panny, studentki z Sorbony, damy-kwoki z prowincyi. Po obiedzie, wieczorami to towarzystwo z krańców świata zostawało w salonie pensjonatu. Grano na fortepianie i na skrzypcach. Nienaski był tam kilkakrotnie z Xenią w roli narzeczonego, — na co zresztą nikt nie zwracał uwagi. Do tej pory nic jej nie powiedział o spadku, a na pytania, skąd ma pieniądze, odpowiadał, że nieźle zarabia, że ma współnika, z którym wkrótce otworzy biuro budowlane — i tym podobne wymysły. Przyzwyczała się do opieki swego „monsieur'a“, czyli „gospodina“ — i była teraz zupełnie inna, choć niby buntowała się co powien czas, zgodnie ze swą „naturką“. Obydwoje kochali się aż do szału, a Ryszard nigdy nie zostawał dłużej, niż do dziesiątej w pokoju Xenii. Pewnego wieczora, przyszedłszy po obiedzie, zastał w saloniku pensjonatu muzykę. Dwaj Niemcy grali, jeden na skrzypcach, drugi na fortepianie fantazyę Bacha, cudne i głębokie dzieło, jedno z najpiękniejszych dzieł człowieczych. Zgromadzili się w banalnym saloniku

wszyscy pensjonatowi goście i w skupieniu słuchali. Było trochę zimno w pokoju źle ogrzanym, i dreszczem, przejmowała ta muzyka. Xenia, wsunawszy się w róg miękkiej sofy, trwała w zamyśleniu. Nienaski siedział niedaleko w głębokim fotelu i ważył swe problemy. Patrząc z pod oka na zgromadzonych inteligentnych ludzi, którzy słuchali tej muzyki, rozważając zdania ich podczas przerw, myślał o tem, że nie należy do ludu, lecz raczej do arystokracji. Było mu to przeświadczenie bolesne, prawdziwie bolesne, lecz mógłże kłamać wobec samego siebie? Czy mógłby się pozbyć wszystkiego, — uroku takiej uczy, wśród subtelnych ludzi ze wszystkich stron świata, muzyki i tego czegoś, co stanowi poziom, mianownik kulturalnej rozmowy? Czy mógłby wyżyć wśród chamstwa? Czy mógłby zostać zakonnikiem Tytusem? Muzyka ozwała się i poniosła myśli dalej. Marzył o kupieniu Xenii brylantowego medalionu, takiego właśnie, jaki posiadała piękna pani w Théâtre Royale. Wzdrygał się na tę myśl od wstydu i jakiejś szczególnej formy żalu. Za jakież to pieniądze będą na tym kamieniu... Jej nie można zaczarować Norwida wierszem o pogrzebie Bema, albo Słowackiego błogosławieństwem wiatrów... Ona tego nie czuje. Czuje blask brylantów. Trzeba jej dać to, co ją wzrusza. Pojmował, jak to rozumowanie nie wytrzymuje cienia krytyki, lecz marzył dalej. Myślał w głębi siebie:

„Teraz wydám na to trochę pieniędzy Ogrodyńca. Potem zarobię i zwrócę co do grosza ban-

dosom, obieżyśasom i bezdomnym. Zapłacę nawet procenty“...

Zatopił się w tych myślach, w ich rozgałęzieniach, widłach i zaułkach. Słuchał przejmującej muzyki i na jej skrzydłach leciał w daleki świat. Gdy koncert skończył się, przez chwilę trwała rozmowa, złożona z komplementów i zachwytów, jak to zwykle bywa. Później zaczęto rozchodzić się. Nienaski odprowadził Xenię do jej pokoju i siedział tam jeszcze z pół godziny. Raz nałożywszy na się przymus, trzymał go się z uporem waryackim. Rozkosz bezmierną sprawiał mu każdy pocałunek, a odmawiał sobie nawet pocałunków. Tego wieczora Xenia była w złym humorze. Mówiła, że jest trochę niezdrowa i że zaraz się położy. Wobec tego pożegnał ją i wyszedł. Gdy o jakiejś godzinie pół do jedenastej biegł z bramy pensjonatu, kierując się w ciemną uliczkę, najbliższe przejście na bulwar i do domu, — rzuciwszy przypadkowo okiem w głąb krętej Notre-Dame de Champs, zobaczył w świetle dalekiej latarni, na chodniku, połyskującym od deszczowej wilgoci, postać damy w dużym kapeluszu z obfitem strusiem piórem. Złe przeczucie ukłuło go w głębi serca. Mróz przebiegł po kościach. Ryszard przyczaił się w załamaniu starego muru i czekał w zupełnej ciemności. Strojna, czarna dama szła w jego kierunku. Minawszy dom, w którym mieścił się pensjonat Xenii, znalazła się znowu w świetle latarni. Nie było wątpliwości: — madame Neville. Zawróciła z powrotem w dół ulicy. Później cofnęła się znowu. Nienaski wiedział już, że czyha, czy czeka na Xenię. Nastąpił w nim jakiś

wybuch. Serce łomotało, jakby miało pęknąć. Cekał jednak cierpliwie i tak spokojnie, jak spokojną była defilada pani Neville w tej pustej ulicy. Gdy upłynęło ze dwadzieścia minut od jego wyjścia z pensjonatu, w oknie Xenii podniosła się spuszczone stora. Ta Neville zatrzymała się wprost okna i dała Xenii, w niem stojącej, znak białą chustką. Stora znowu opadła. Nienaski czekał, oparty ramieniem o mokry mur kamienny. Stało mu się to widowisko niemal obojętnem. Tylko było ciekawe.

Po upływie jeszcze dziesięciu minut drzwi kamienicy otworzyły się i Xenia wyszła cichaczem. Rozglądała się podejrzliwie na wszystkie strony, czaiła popod murem, biegła chyłkiem ku przyjaciółce. Zetknąwszy się, padły sobie w objęcia. Nienaski widział w blasku latarni, jak Xenia całowała gorąco w usta tamtę. Porwały się wreszcie pod ramię, przyczepiły do siebie i pomknęły w dół ulicy, raz wraz rozglądając się we wszelkich kierunkach. Biegły. Znał tam każdy kamień, każdą dziurę w chodniku, więc snuł się za nimi niepostrzeżony, jak upiór. Wyskoczywszy na bulwar Raspail, trafiły na wlokącego się fiakra i wsiadły. Nienaski nie miał czem jechać, nie było bowiem nigdzie drugiego powozu. Biegł tedy w dół ulicy pustym chodnikiem, na wpół obłąkany... Około hotelu „Lutetia“ trafił na wolny automobil, wskoczył wewnątrz i kazał ścigać fiakra, który w dali zniknął. Domysły, wybuchy przypuszczeń, targanie duszy płomiennymi kłami bólu... Powozik, wiozący Xenię, minął Sekwanę, plac przed Luwrem, skręcił w ulicę Rivoli, wjechał w rue Royale i zatrzymał się wkrótce.

Ryszard domyślił się. Siedząc w samochodzie, który się zatrzymał i zdawał śmiać terkotliwie wybuchami gazu, — patrzył przez szybę, jak Xenia w towarzystwie swej mistrzyni weszła niepostrzeżenie we drzwi, nad którymi widniał napis: „Maxim's“. Zdawało mu się, że to jest sen przemierzły. Myślał:

— Skądżeby ona wzięła taki strojny kapelusz? To strusic pióro? Czy to była w istocie Xenia? Czy to nie jest w istocie pomyłka?

Był tak zdumiony tem wszystkim, że, płacąc szoferowi należność, o coś go pytał, prawdopodobnie o to, czy to jest restauracja Maxima. Nie poszedł tam. Począł się na chodniku przeciwnie idąc — tam, nazad. Bolały go nogi, głowa, oczy. W gardle zaschło. Czuł wstyd. Ze wstydu płakał. Śmiał się również — ze siebie, ze siebie... Ze swej bezdennej głupoty! Otóż to! Doczekał się! Bach, muzyka, wieczór familijno-wykwintny, myśli o kupnie brylantów... O czem też ona myślała? A może to jest właśnie kara Boga, który waży każdą podłość na nieomyślnej swej szali? Na drugiej wadze są gwichty, ciężkie — lzy chłopów, hańba dziewczek, niedole małych dzieci...

Porwała go męczarnia, jak stalowa maszyna swój obiekt, który ma zdruzgotać, zmiażdżyć i przemienić na co innego. Poszedł w ciemne pustkowia Pól Elizejskich, między drzewa głucho szumiące. Wzdychały te drzewa, jakby zaiste patrzyły na oczywiste dzieje boleści. Jakies lampiony na bogatym domu odepchnęły go stamtąd. Wrócił. Znowu siedł ku wysokim kolumnom Madeleine, które mu się w oczy i mózg

werzęły, jak walce katowskiej maszyny. Któraż to godzina? Daleki gdzieś dźwięk...

Przed drzwiami tej restauracji zajeżdżały samochody. To z teatrów. Jedna za drugą bogato strojne pary wchodziły w te niepokazne drzwi. Zapytał kogoś, — zapewne Boga:

— Mamże tam iść?

Głos odpowiedział w głębi, że — tak. Wszedł tedy wyniośle, rzucając na strony wzgardliwe spojrzenia. Pospolity bufet w pierwszej izbie, długa szyja, prowadząca do wielkiej sali, nabita z obu stron uczującymi. Sala w głębi... Tłum lokajów zagradzał wejście. Było to na rękę. Ginęło się w tłumie. Znalazł miejsce wolne, stolik w głębi egzotycznych krzewów.

Nie mógł nigdzie dostrzedz Xenii. Przed oczyma miał schody, prowadzące z tej sali na górę. Schody z pod spodu obite metalem i wskutek tego błyszczące, jak mosiężna piła.

Zakołysała mu się w oczach sala pełna trzeźwych jeszcze i pijanych już pań, obżartuchów, bogaczy, używających swego bogactwa, chamów we frakach. Słyszał w sobie głuchy ryk dzikiej rozpacz i nie był pewien, czy ten głos nie wydrze się z jego gardzieli. Ścisnął ją garścią. Dusił ją na siłę.

— Dîner? — zapytał go uprzejmie starszy garson.

Nie mogąc mówić, Ryszard skinął głową. Po chwili uspokoił się. Dotknął łokcia tego garsona i rzekł:

— Weszły tutaj niedawno dwie kobiety, starsza i młodsza. Młodsza brunetka, bardzo ładna...

— Wszystkie damy na tej sali są bardzo ładne,

panie! — pośpiesznie i wesoło odpowiedział lokaj, wskazując salę oczyma, podczas gdy ręką manewrował po stoliku.

— Jednakże ta... — wtrącił ten gość opryskliwie, czując że nie wie, co ma dalej powiedzieć.

W tej chwili jakaś grupa osób stojących usiadła i odsłoniła wnętrze podwyższenia, pewien rodzaj drugiej sali, mniejszej, która stanowi, w stosunku do pierwszej, jak gdyby niewysoką estradę. Tam siedziała Xenia i Neville. Obok ostatniej tkwił jakiś łysoń we fraku. Nienaski odetchnął. Xenia patrzyła na pierwszą salę oczyma, które lśniły w jaskrawym świetle, niby najbezcenniejsze brylanty. Te oczy śmiały się, miotając na prawo i na lewo niestrzymany ogień młodości, śpiewały i kusiły. Ze smakiem jadła owoce. Łysy co chwila przechylał się ku niej, wesoło gawędząc. Przekomarzała się, odpowiadając mu wesoło, z wybuchem śmiechu.

Nienaskiemu przyniesiono potrawy. Nie był głodny, lecz jadł spokojnie, pił wino małymi łykami. Od czasu do czasu spoglądał w stronę swej przyjaciółki. W głębi sali jedna z dam podśpiewywała po dobrym obiedzie walczyka z „Wesołej wdówki“:

„Tous les jours je vais chez le Maxim's.

Là je suis très intime...

C'est là ou j'oublie

Ma malheureuse patrie...”

— To było dobre... — mruknął Ryszard do siebie.
— To do mnie piją... „Ma malheureuse patrie...”

Zdecydował się już, że rzuci tę Xenię. Dosyć! Nie mógł darować kłamstwa, które popeliła. Szano-

wał ją, jak kobietę, jak dziewczę, jak anioła. Mógł ją posiadać i nie posiadał. Wyszedł, gdyż „chciała się położyć”. I oto! Skończone! Nie myślał nawet pokazać się jej i doznać lichej satysfakcyi.

W różnych punktach sali podchwytywano kuplety „Wdówki” i śpiewano je chórem. Całe to zebranie poczęło się ożywiać, poruszać, jakby rozpinąć. Do stolika Xenii i Neville zbliżył się mężczyzna wielkiego wzrostu, tęgi i barczysty. Ubrany był elegancko we fraku, z palcami w pierścieniach. Wyciągnął nie dbale dwa z tych palców ku łysemu towarzyszowi Neville i Xenii, poczem przysiadł się do tamtego stolika. Xenia podała mu rękę z uśmiechem, gdy go jej ów łysy przedstawił. Zaczęła się rozmowa poprzez stół.

Widz tej sceny czekał na zakończenie, na rozwiązanie swego dramatu. Był teraz zimny i nieomal spokojny. Siedział z rękoma, nieruchomo leżącymi na kanapie, od niechcenia patrząc. Chwilami myślał, czy też będzie spał tej nocy. Ziewał, myśląc, że jutro trzeba tak daleko jechać... Rozchodzono się już z tego lokalu. Rozchodzono w różne strony. Sala pustoszała.

Xenia podniosła się pierwsza. Za jej przykładem poszedł wysoki jegomość. Zdarzyło się, że minąwszy salę pierwszą, przechodzili we dwoje obok Nienaskiego. On, niepostrzeżony przez Xenię, mógł widzieć uśmiech tego człowieka, spojrzenie, ogarniające ramiona, piersi i całe ciało Xenii. To spojrzenie ukamienowało miłość. Obojętnie już teraz patrzył, jak dwie pary wychodziły z restauracyi. Było mu praw-

dziwie wszystko jedno. Już się stało. Zapłacił i wyszedł. Lecz stało się inaczej, niż przewidywał. Xenia skinęła głową wysokiemu panu i szybko wsiadła do fiakra, który stał na końcu szeregu pojazdów. Rzuciła woźnicy adres swego mieszkania. Zatrzasnęła za sobą drzwiczki. Chuda szkapą pobiegła w kierunku Sekwany. Madame Neville, ów gruby i ów łysy, kiwając głowami, patrzyli za oddalającym się fiakrem. W pewnej chwili Neville wydała okrzyk tchórzowski, dostrzegłszy Nienaskiego, który wsiadał do automobilu, żeby swą narzeczoną „odprowadzić“ do domu. Na rogu czarnej Notre Dame de Champs wysiadł. Widział zdaleka, jak Xenia, wtulona w bramę, usilnie i wielokroć dzwoni, a dzwoni do bramy swego pensjonatu.

Rano, po nocy ohydnej, napisał do Xenii krótki list, w którym grzecznie oświadczał, iż widział ją, że zrywa z nią na zawsze wszelkie stosunki i nie chce jej widzieć na oczy. U dołu listu pomieścił przypisek, że adwokat wybrany będzie prowadził sprawę jej ojca, aż do ukończenia. List ten posłał do pensjonatu przez starego lokaja ze swego hotelu. Około godziny jedenastej, z małym pakunkiem w ręku wyjechał do Royan. Wagon klasy trzeciej, w którym siedział, był pusty, więc mógł po nim długo i do woli tłuc się od okna do okna, rozcierać skostniałe ręce i przebierać paciorki różańca swojej niedoli. Wieczorem przyjechał do Royan i zatrzymał się w jednym z hotelów nad plażą. Ciągle miał wrażenie, że się urwał, jak

blok kamienny od jakiejś wielkiej budowli i że spadł w miękkie błoto. Piersi miał ściśnięte. Ból głowy. Ponieważ nic nie miał w ustach od wieczornej ucztu u Maxima, więc zeszedł z piętra, gdzie się mieścił numer, do jadalnej sali na dole. Dano mu miejsce przy osobnym stoliku. W sali byli oficerowie marynarki, ludzie przeważnie starsi, żarłoki i bibosze. Opowiadali sobie nawzajem sprośne głównie anegdoty i całym stołem ryczeli ze śmiechu. Raz wraz powtarzała się jakaś historyjka... Było to zaskoczenie uczuć przybłądy z innej strony. Była to napaść życia na jego samotną duszę. Taki oto śmiech zostaje z cierpień, które on przeżył i przeżywał. To jest koniec miłości, a taka jest niewątpliwa fotografia życia! Ten śmiech i te anegdoty działały na niego bardziej, niżby mogła działać publiczna zniewaga. Wszystko, co czuł, odbywało się w milczeniu, którego już nikt nie był świadkiem. Jedyna sąsiadka, — śmierć — przysiadła się po przeciwległej stronie stolika i wyciągała pomocną dłoń... Ale podnosił na nią mężne oczy, aż znikwała i puste było miejsce przy stole, które niedawno zajmowała Xenia. Brał do ust potrawę i niby pił wino. Lecz wreszcie nie mógł znieść tej sali, gwaru i rozmów. Wyszedł stamtąd na wybrzeże. Straszne przywitało go morze, — szerokie rozlewisko Girondy, — dziki szum przypływu. Była to katownia uczuć. Szedł daleko, drogą od strony morza obmurowaną, wśród przepychu will i pałaców zubożonych winiarzy z Bordeaux. Myśli chłostał morski wiatr, czucia rozdzierał morski szum.

Jakże pragnął umrzeć! Nie dźwigać już w sobie

bezsilnie potwornego węzowiska uczuć, wspomnień, widzeń! Lecz nie mógł umrzeć. Miał przecie w rękę zapisane miliony. Musiał żyć. Posiadał na wybrzeżu wielkie tereny, które należało przebiegłe sprzedać. Z wielkim zyskiem. W takim celu przecie przyjechał do tego miejsca. Na zawrocie zatoki, która się poczyniała w kierunku wielkiej latarni w Coubre, porwany został z nagłą przez nową rozpacz, przez zamieć żalu, przez wicher przerażenia. Zlął na dół, na plażę i szedł po mokrym piasku, w ciemności. Fale przychodziły z oceanu, płytkimi szły zagony, płacząc się u jego stóp, garnęły na wybrzeże piany i huczały, jak otchłan zemsty. Nienaski wiedział za pośrednictwem uczuć, że to jest zemsta za zemstę, której dokonał na Xenii.

Zeszła noc głucha, dzika, nadmorska. To wielkie letnisko, w którym mieści się latem „pół Paryża“, teraz, w marcu, było puste, jak gdyby wymarłe. W pozamykanych hotelach, willach i domach nie było ani jednego światła. Olbrzymie skrzydło latarni, opisujące półkole o siedmdziesięciu kilometrach promienia, przeszukiwało otchłanie i samotnie morza. Nienaski patrzył w tę pustynię, która się co jakiś czas ukazywała. Jęk rozpacz, stękanie żądz, żeby się zapaść w tę ciemnicę, dokąd już żadne światło nie dolata!... Nie wiedzieć o głupocie przeżyć! Nie wiedzieć o nędzy uczuć! Nie wiedzieć o źródle uczuwania! Zapomnieć! Ale z mroku właśnie, z topieli wód wychylał się niezniszczalny uśmiech bogacza, który wczoraj w korytarzu szedł obok Xenii i taksował oczyma wartość jej urody. Ten uśmiech tryum-

fującego bydlęcia ludzkiego był trwały i niezniszczalny. Ten uśmiech zwierzęcej pewności mocniejszy był, niż ciemność niezgłębionej nocy, niż głęboka bezdenność morza, niż władza wiecznego przypływu. Patrzył w zranioną duszę z tej nocy, wychylał się z topieliska, gdy światło latarni przesunęło się i przygasało.

Nie! Nie można było przebaczyć! Czuł wciąż jeszcze ogień zemsty! Wznosiła się w nim zemsta bardziej olbrzymia, niż ocean, i mocniejsza, niż jego siła.

— Nie mogę żadną miarą zapomnieć! Nie mogę darować! — mówił do kogoś cicho, w omdleniu, upadając z bezsiły, zlany potem. Stał w tem miejscu długo, jakby czekał na wyzwanie, na pozew, czy na wyrok. Lecz, gdy zamiast wyroku, nadciągnęła nowa nawałnica uczuć, uchodził przed nią dalej, a dalej. Trafił w mroku na szosę twardą, chociaż okrytą warstwą błota, prowadzącą w pola, a wciąż w kierunku świetlistej morskiej wieży. Połysk latarni wydobywał raz wraz z pomroki zarysy nieznanego lądu. — Jakoweś niewyraźne, rozpląszczone, niskie wzgórza, — zapewne, diuny nadmorskie, — czarne fale, zaledwie rysujące się w oku zbitych, kłębiastych drzew. — Martwe, bryłowate kształty budowli bez okien i światła, pierwszy raz widziane formy tej obcej ziemi. Te widoki, narzucające duszy swą moc i cudzość, trwanie ich tutaj po za światami dziejów uczucia równie były nie do zniesienia, jak rozmowy oficerów w szynkowni, jak niebieskawy połysk morza, gdy po niem szła czujna śmiga latarni. Obok gościńca objawił się w oświetleniu gęsty las, istne widmo za-

klęte, pełne cierpień, — później nagie, bezlitosne pole. Ile minęło godzin tego chodu, Nienaski nie wiedział. Szedł nie po ziemi, lecz wskroś wrogich zjawisk, poprzez postaci bytu w spisku trwające od wieków przeciwko samotnej duszy. Przebywszy jakieś ośm kilometrów drogi, trafił na zatokę, na wielkie wille ciemne i pozamykane, jak w Royan. Znał mapę tych miejsc, gdyż miał tu przecie swą posiadłość. Domyślił się, że jest w tak zwanem Bureau, czyli Saint-Palais-sur-mer. Droga zniżyła się w wąwóz i zaprowadziła nad niski brzeg, pełen głębokiego piasku, gdzie ryczało morze. W tem miejscu świeciło się w jakimś niewysokim budynku. Ryszard przybył do niskich drzwi i otworzył je. Stał na progu jakiejś „buvette“, gdzie przy butelce siedziało kilku mężczyzn. Powitały go ciekawe i zdziwione wejścia. Zapytał, czy nie mógłby znaleźć tutaj noclegu. Przybliżył się do niego człowiek ugrzeczniejszy i po francusku gładki z oświadczeniem, iż może nocować tutaj, gdyż to właśnie hotel, jedyny zimą, w tej miejscowości. Zapalił świecę i poprowadził na górę po wązkich, czystych schodkach. Nienaski miał wrażenie, że tu jest jego kres. Coś tutaj być winno. Tu właśnie... I przewijało się senne pożądanie, żeby to już nadeszło!

Gospodarz hotelu zlekka go badał, skąd przybywa, lecz nie wiele się dowiedział, oprócz tego, że z Royan. Przygotował posłanie, zostawił przy niem szklankę grzanego wina, światło — i oddalił się. Nienaski upadł na łóżko i leżał na niem z otwartemi oczyma, patrząc na drganie świecy. W pobliżu morza grzmiało. Z daleka nadciągał wzmagający się mia-

rowo pochód huk, zbliżał się, wznosił i bił w jakieś skały, czy mury. Te rytmiczne grzmoty oceanu zespoliły się z biciem serca. Zaiste, nie było wiadomo, czy to serce, czy morze bije.

Ryszard nie przypominał sobie Xenii, ani wydarzeń, ani faktów dokonanych, tylko pewne, doprawdy, podrzędne szczegóły, — ściślej, — wrażenia, przez szczegóły wywarte. Jej spojrzenie w głęb sali... Śmiech, gdy jedna z dam śpiewała — „c'est là ou j'oublie ma malheureuse patrie...“ Pewien nie do zniesienia gest figlarności, gdy podawała rękę...

Zgasił świecę w nadziei, że pociemku mniej będzie widział uśmiechów i słyszał głosów, pracujących w głębi jego duszy. Nie rozbierając się, bez snu leżał do świtu w męczarni, którą daremnie opisywać...

Gdy się zaczął ruch w hotelowem obejściu, wstał, umył się i poszedł nad morze. Zapowiedział gospodarzowi, że chciałby w tem miejscu przebywać dłużej, na co tamten skwapliwie przystał. W tej okolicy brzeg był skalisty i poszarpany, lecz między skałami były jak gdyby jamy rozległe, gdzie morze powydrążało głębokie zatoki, dosięgające aż do wydmy piaszczystych. Jedno z takich szerokich zalewisk było własnością Ryszarda. Jakże się też naśmiał, przypatrując się pierwszy raz w życiu tej swojej posiadłości! Te rozłogi, gdzie poprzez nieprzejrzane stulecia ocean, splatając się z wielką rzeką Girondą, miotał w czasie i przy posłudze wściekłych burz glazy po sto centnarów wagi, czynił z nich bulwy, okruchy, obtaczał je, niby chleby, rozdrabniał i męł na piasek, — były jego własnością. Wartość tej pracy wieków, wyko-

nanej przez siłę nie do ogarnięcia rozumem, mógł nosić w jednej przegródce pugilaresu. Niewiarygodne dla wyobraźni boje, straszliwe akty zniszczenia, które tu szerzyła w pomroce czasów, za dnia i w nocy, dzika kipiela olbrzymich przyływów — dla niego pracowały. Tlen i sole w wodzie morskiej rozpuszczone gryzły tu i rozmywały nadbrzeże to skaliste. Armie niewidzialnych skałotoczów, małżów, jeżowców i gąbek wierciły i rozgryzały jego spoistość, wpuszczając czynniki zniszczenia do wyżyn niezdobitych — ażeby on mógł zgarnąć w kieszeń zysk z ich pracy. Długolistne morskiczyny korzeniami i mnóstwem rozgałęzień czepiały się głazów dalekich i wprowadzały wilgoć na szczyty najwyższe, — po to, żeby odrywać się mogły głazy, spadać w głębinę i ustępować miejsca znużonej stopie właściciela.

Plaża, należąca do Nienaskiego, był szeroka, gładka, bez alg i kamieni, jak sierp wygięta. Na wzgórzach diun rósł las gęsty sosen południowych, długoiglastych. Sterczała w głębi niedokończona budowa wielkiego hotelu, który Ogrodyniec stawiać począł. Czas zimowy i śmierć właściciela przerwały tę fabrykę. Poprzez otwory okienne widać było daleko niezmierną przestrzeń innej plaży piaszczystej, rozległej na kilkanaście kilometrów, zwanej „Grande Cote“. Nowy właściciel patrzył na czerwony mur przyszłego hotelu z nienawiścią. Mierziła go i napawała odrazą chropawość i zimna szorstkość tych cegieł. To on miał teraz kończyć to dzieło!

Bałwany morskie w tej burzliwej porze przedwiośnia zapewne, podczas nocy minionej przyniosły

na plażę olbrzymie wały piasku i nowe nakreśliły linie wybrzeża. W owej chwili trwał odpływ i morze, zheblowawszy wszelkie miały aż do ich ciemnej calizny, grzmiało daleko, mocując się z odległymi ławicami, których w dali nie ujmowały oczy. Nienaski przeszedł wzdłuż tę „swoją“ plażę i wdrapał się na skały, które niby wrota olbrzymie ujmowały wylot zatoki. Znalazł tam istne pole skalne, wynurzone z odpływu, rodzaj morskiego boiska, po którym teraz można było deptać spokojnie. Tu i tam w tej jednostajnej i pozrastanej przegubami masie skaliny, porznętej przez żłoby, szczyby, pęknięcia, trafiały się jamy, rodzaj studni, które miały połączenia, kędyś w olbrzymiej głębinie, z oceanem. Woda w tych basenach wznosiła się i opadała. Człowiek, w sposób maniacki zajęty wewnętrzną swą sprawą, dopatrzył i tutaj podobieństwa. Tak jego boleść przychodziła znikąd, z niewidzialnych, podświadomych dróg, a opadała, nie wiedzieć czemu, jak i dokąd. Ponad największą z tych sadzawek morza Ryszard zatrzymał się i patrzył w głębinę. Gdy nadchodziła z przepaści fala, dzikie wody zaiste kwitły od tryskania pian w tej skalistej jaskini. Strzelały po zrębach, wiły się niemi cienkimi, mknęły milionem kształtów w szczelinach. Wówczas śliczne, wielobarwne meduzy, zapędzone pchnięciem morza w przelotny skalny i w tajemną aż tutaj drogę, ciśnięte na ostre skalne piły, zostawały, jak ciała na szubienicach. Nienaski patrzył na jedną z nich, gdy ją morze w łonie swem nosiło. Była prześliczna, jak radosne dziecięce widzenie. Było zarazem szmaragdowe i różane, miało

w sobie odcienie szkarłatu i fioletu to niewiarygodne wyśnienie bezcelowości oceanów. Pod wielobarwną kopułą jego ciała snuły się jakoweś pępowiny, ni to sznury wnętrzości ślicznej kobiety, która zdrowe dziecko porodziła. Nienaski szeptał do tej nieznajomej zjawy:

— Jesteś piękna, pływając w morzu, jak była Xenia w morzu mojej miłości...

A gdy meduza, rzucona na skalny występ, zawisła w postaci galaretowatej, potwornie białawej masy, śmiał się:

— Jesteś, jak Xenia prawdziwa...

To miejsce go oczarowało. Zakradła się do głowy myśl:

— Tutaj!

Usiadł w kucki nad samym brzegiem i patrzył w tę cysternę.

Marzył: stać się zgnilizną, która już nie czuje... Nie wracać już i nie deptać dróg, zbudowanych pracowicie przez ludzi, które szatan dziedziczy. Wszystko złożone jest tak: — wieki, oceany, wybuchy wulkanów, prace rzek — dla człowieka, a praca człowieka — dla rozkoszy szatana. Odejść od tej walki daremnej! Dać się pokonać przyrodzie, pójść w odwrotną drogę, prowadzącą do przystani spokoju. Szlachetność musi być pobita. ^{Wiersz} Leopardiego, pisany w dniu ślubu siostry:

„Nieszczęsne, albo nędzne porodzisz dzieci.

Wybieraj nieszczęsne“.

Ten człowiek wiedział. Zaiste tak!

Do czegoż wrócić? Jak walczyć? Jaką bronią?

Bronią, która się złamie wśród śmiechu humorystów całego świata. „Tota mulier in utero“. Może wrócić do walki z krzywdą, do walki, która przecie — jak doświadczenie wszystkich statystów świata naucza — nie może być wygraną?

Jakież słowo wyjawić zdoła żal za miłością, która się już skończyć miała! Jakież słowo wyjawić zdoła przenikanie i napływ uczuć martwych na czucia żywe!

Patrzył w głąb tej studni śmierci i począł ścigać myślą najdalszy ów kres: — czem jest śmierć. Raz to już z nim było w Tatrach, lecz tamto minęło, jako przygotowanie do takiej pracy ducha. Teraz, jak mu się zdało, dostrzegał istotę sprawy w wahającym się tam i sam lustrze tryumfującego szatana. Była to praca jałowa i płonna, ludzająca, że się osiąga rezultat, — wybieg nieszczęsnego ludzkiego umysłu, że nawet to, co jest niepojęte i niezdobyte, musi być, jako takie, rozważane i pojmowane. Wznoszenie się i opadanie wodnego kwiatu w morskiej cysternie stało się jak gdyby lekcją, wykładającą wszystko, co można osiągnąć w sprawie pojmowania śmierci. Myśli zatapiały się weń — i, jak dreszcze lecące, wracały ku życiu. Cierpienie spadało aż na samo dno i ginęło w głębi, ni to ciężar fizyczny, — by wrócić za chwilę i działać, jako pierwsza potęga. Gniew i zemsta ustawały jako niebyłe, żeby się zrywać z martwych i uderzać zdwojoną mocą. W oczach i w duszy dokonywał się ohydny ruch istoty rzeczy, zmienność poznania, nie mająca nigdzie i nigdy punktu stałego, ani momentu spoczynku. Tak mijały godziny.

Ktoś zawołał

Wśród huku wody i pośród swej pracy wewnętrznej Nienaski usłyszał ten głos z podziwem. Na drugim krańcu cysterny stał właściciel hotelu, który widocznie miał na oku i śledził tego niewesołego gościa. Ryszard skinął głową, dając znak, żeby tamten zbliżył się i mówił, czego chce. Francuz począł mu opowiadać tajemnicę fenomenu tutejszych skał. Mówił szybko, obrazowo, z finezyą iście gallijską, pokazując rozmaite objawy, związane z ukazywaniem się morza w tej skalnej jamie. Wśród tego potoku wyjaśnień, rzucił okiem na zegarek, a wreszcie oświadczył, że jednakże czas już na „déjeuner“, którego Francuz nie poświęci dla niczego, — ani dla najrozkoszniejszej dyskusyi, ani dla rewolucyi, ani dla zbawienia duszy. Nienaski miał zamiar oświadczyć mu, że właśnie, jako Słowianin, chce dziś jedzenie poświęcić dla rozważania piękna morskiego, — lecz rozmowa z tym człowiekiem sprawiała mu pewną ulgę. Za chwilę ta odrobina ulgi — jak to bywa w dziejach ludzkiej niedoli — stała się na krótkie mgnienie oka niemal pociechą. Szedł tedy w stronę domów obok miejscowego gaduły. W drodze spytał o kilka szczegółów co do budującego się gmachu, a wreszcie nadmienił, że jest dziedzicem tej plaży i przyszłego wielkiego hotelu. Dziedzic wielkiego hotelu nad niewielką plażą — aż oniemiał na tę wiadomość. Stał się ugrzeczniony, pokorny i płaski. Przeprowadził swego gościa poprzez las, drogą mało znaną i zarośniętą, okazując właścicielowi jego dziedzinę w jej wertepach i skrytkach. Znał to miejsce — Boże drogi! — jest tutaj autochtonem. Bagatela! Ta plaża i to miejsce! Ależ to złote jabłko! Wokoło

lasy, zajmujące pół departamentu Charante Inferieure, — ocean, który się tu zaczyna, Gironde, która się tutaj kończy. Piaski ciągnące się na przestrzeni dziesiątków kilometrów, wyspa Oleron, w pobliżu winnice Barsac i Cognac, ostrygi i krewetki, ryby morskie i rzeczne... Kolejka wśród lasów aż do Coubre, — i Royan, gdzie przybywa na lato trzy czwarte mieszkańców miasta Paryża. Wielkie kasyno, zbudowane tutaj, zwłaszcza z wielką ruletą... Wielki Boże!

Nienaski milczał, słuchając tej paplaniny.

Przebył w tem miejscu blisko siedm tygodni bez gazet, listów i żadnych literalnie wieści ze świata. Chodził piechotą po olbrzymich lasach, zasianych na wydmach, diunach i piaskach dalekich z rozkazu wielkiego Napoleona, które to lasy w puszcę wyrosły. Chodził po wielkiem zdziarze Grande Cote, gdzie dziki ocean przychodzi i odchodzi. Nie było tam w tym czasie ani jednego człowieka. Casino rządowe, jedyne domostwo na wzgórzu, było zamknięte. Czas to był ślot, burz i wichrów. Kiedy niekiedy Ryszard puszczał się w głąb lądu, martwemi szosami, martwemi, jak jego opuszczone serce, — wśród obumarłych winnic, które czasu lata śmieją się radością czarnych jagód, dających czarowne wino.

Kiedy niekiedy bywał w Royan u „swego“ notaryusza, którego (— Polak Francuza —) podchodził, gdy tamten jego usiłował podejść, (— Francuz cudzoziemca —), w sprawie spieniężenia owej plaży, lasu,

winnic i przyszłego kasyna, a raczej domu gry. Rzecz była milionowej wagi, a kiedyś mogła poprostu nie mieć ceny. Było też prawdopodobną rzeczą, że cała impreza padnie i nie będzie przedstawiać ani połowy ceny, jaką posiadała w owej chwili. Jak na giełdzie. Nienaski wahał się. Pewna grupa potentatów z Bordeaux chciała nabyć tę plażę i rozpoczęły dom. Czekano jednak na zmęczenie obecnego właściciela targami i wystawianiem złych horoskopów. Gra trwała tygodniami.

Milioner jadał w „buvet’ce” i rozmawiał z czytany hotelarzem o hugonotach i żyrondestach, których ta ziemia była gniazdem, siedzibą i ojczyzną. Nocami źle sypiał. Nie znosił morza, którego wiosenny ryk, burzliwe nawałnice i furye przypływów nękały mu duszę, lecz przepędzał noce właśnie nad morzem. Z pewnej wystającej lawicy piasku patrzył w noc, w ocean i w niebo. Gdy w przepaści wód, w kierunku wyspy Oleron gasło słońce i gdy ciemność okrywała ryk morza, wybłyskiwały gwiazdy. Nie wiadomo, dlaczego ten widok przynosił sercu niejasną ulgę. Wzrok czepiał się tych światła dalekich. Tysiące milionów gwiazd zdawały się rozbierać pomiędzy siebie wiecznie jednaką boleść duszy, w niepojęty sposób pomniejszać ją, rozdrabniać, kruszyć, odwracać, zabawiać swem migotaniem. Umysł, wciśnięty w kluby jednego pojmowania, przerzucał się jak gdyby poprzez siebie, usiłując pochwycić niemożliwość ujęcia odległości między słońcami — dalekości dróg światła, które, biegnąc z prędkością czterdziestu tysięcy mil na sekundę, przybywa do swego celu po

upływie tysiąclecia... Oczy patrzyły w błądą wstęgę drogi mlecznej, opasującej kulę niebieską, — a dusza nazywała ją pasem pochłonięcia... Wspomnienie okrucich wiedzy, dawniej powziętych i zastygłych w pamięci, było teraz smutną pociechą. Była pociechą ta myśl, że słońce, między milionami jemu podobnych, nie należy do wybitniejszych, — że ziemia z jej oceanem i górami jest pyłem, a gromada gwiazd, której ani oczyma, ani umysłem objąć nie można, nie wypełnia sobą wszechświata, lecz jest tylko jednym z układów. Pociechą była myśl, że Wega z Lutni zbliża się ku ziemi, że godzi w nią, zarówno jak Atair w Orła, jak Arkturus i Polluks. Daleko nad morzami, w ciemnem tle bezkresów firmamentu polyskiwał Syryusz dyamentowy. Ta gwiazda daleka w szczególności sposobu przykuwała do siebie wyobraźnię. Oczy, wpatrzone w nią przez czas bardzo długi, spostrzegały drganie jej, jakby ruch owych płomieni, które się palą w gżemsach i płaszczyznach brylantu. Ryk morza przycichał nie w uchu, lecz w sercu. Rozdarcie duszy uśmierzało się, jak nacicha ból fizyczny. Nastawała chwila wysokiej rozkoszy, którą czasami wydaje ze siebie głębokie, samotne, nieuleczalne cierpienie. Człowiek stawał się tylko duchem. Unosił się nad ziemią jak umarły, który już ziemię porzucił i gości gdzieindziej, między gwiazdami. Można było wtedy bez bólu patrzeć poza siebie i widzieć swoją utratę. Można było wznosić się najwyżej ponad swoją głuchą i burzliwą miłość. Krótkie były te minuty. Wracał z ziemi osamotniony, ludzki, cielesny ból i krzyk jego stary, zawsze jednaki rozlegał się

w pieklach istnienia, sięgając z głębiny serca do gwiazdzistych niebiosów.

Pod koniec kwietnia, gdy interes sprzedaży terenu i domu dojrzał już zupełnie, gdy cena kupna stała się w pewnym zenicie i nie dawała się już podnieść, Nienaski umyślił zgodzić się na tę cenę. Namówił ją do Paryża w celu załatwienia formalności prawnych. Opuścił tedy te miejsca i wrócił do swego paryskiego hoteliku. Zastał tam wiele listów. Wiedzano już o spadku, więc żądania składek, zapomóg, pożyczek... Szukał wśród tego wszystkiego jednej koperty i jednego charakteru pisma. Lecz nie znalazł nic. Czynił to, oszukując swą wymustrowaną siłę woli, w konspiracyj przed swym sumieniem, dumą i wytrwałością. Co więcej, posłał lokaja hotelowego, ażeby w pensyonacie dowiedział się, czy mieszka tamże niejaka panna Granowska. Służący wrócił z wiadomością, że osoba tego nazwiska wyprowadziła się przed kilkanaście tygodniami z pensjonatu, a gdzie obecnie przebywa — niewiadomo. Nazajutrz po przybyciu Ryszard pojechał do adwokata, prowadzącego sprawę starego Granowskiego. Adwokat kręcił, wyłgiwał się i błogosławił. Widać było, że wcale nie zajmuje się swym klientem. Był raz w więzieniu dla zasięgnięcia jakiegoś szczegółu i tem się wciąż popisывał, jako akcyą. O córce nic nie wiedział, gdyż się do niego nie zgłaszała. I to było wszystko.

W kilka dni po przyjeździe, wśród listów, które teraz stała się falą zaczęły napływać, Nienaski znalazł list francuski z niedokładnie wypisanem na kopercie swoim nazwiskiem. Gdy po rozerwaniu tej koperty

rzucił okiem na podpis, dostrzegł tam nazwisko najbardziej dla siebie nienawistne — Thérèse Neville. Ta damula z przesadną grzecznością, ale nieortograficznie, prosiła go, żeby zechciał połatygować się do niej w pewnej sprawie bardzo osobistej, która inaczej nie może być załatwiona. Po przeczytaniu listu Nienaski miał w sobie powtórny istną złość instynktów, uczuć, nałogów, nędznych podświadomych aлектów przeciwko wzniosłej budowlie woli. Rzucił ten list wyniosłym gestem do kosza, — lecz szelma, bytująca w człowieku, wnet go stamtąd wydobyła.

— To Xenia podmawia tę damę... — myślał owemi najgłębszymi myślami, których człowiek nawet samemu sobie nie pozwala oglądać przy świetle. Podobnem uczuciami radował się bezgranicznie. — Któż to wie? Może ją dziś zobaczy... Może zobaczy... Xenię...

Gdy była godzina czwarta, niby to nie zauważył, że to jest pora, gdy dawniej u Xenii bywał... Pojechał na rue Blanche Nr. 23. Skoro zadzwonił, otworzyła mu owa Neville. Poprosiła go do „atelier“. Usiadł na wąskiej kanapce i dość ostro zapytał, czego sobie odeń życzy. Dama siadła naprzeciwko niego i poczęła mówić z prostą, że go wezwała w interesie młodej znajomej, panny Granowskiej. Na zapytanie, wtrącone przez gościa mimochodem, czy panna Granowska mieszka w tym lokalu, Neville odparła również mimochodem, że nie. Okazało się, że Xenia mieszka w małym hotelu, w pobliżu parku Monceau.

— Więc co? — spytał Nienaski.

— Pan jesteś jedynym człowiekiem, Polakiem,

którego widziałam w towarzystwie mej młodej przyjaciółki. Nie chcę dodawać, że pańskie zachowanie się, charakter i honor kazały mi do niego zwrócić się teraz.

— Dlaczego?

— Panna Granowska pochodzi, jak wiem, bo mi to opowiadała, z dobrej rodziny. Dopóki u mnie mieszała, byłam jej opiekunką...

Ryszard skłonił się z uśmiechem.

— Tak. Powtarzam to. Dopóki ta młoda osoba u mnie mieszała, wiedziałam o każdym jej kroku. Bawiłyśmy się. Być może — dodała z pogardą, wydłużając ładne wargi — że moje towarzystwo nie było odpowiednie dla tej panienki. Być może nawet, że niejedno złe wsączyłam w to młode serce, do niejednej złej myśli popchnęłam swym przykładem. Tak. Ale wiedziałam, co jest.

— To pani zaprowadziłaś pannę Granowską do Maxime'a? — spytał Nienaski grzecznie, ściskając zęby, żeby nie puścić przez nie potoku polskich złorzeczeń i zniewag, które w nim wrzały. Neville zaczerwieniła się, co zobaczył z pewnem zdziwieniem.

— Tak. To ja ją tam zaprowadziłam. Było to dzieciństwo jej marzeniem, jej upragnioną eskapadą. Tak przecie pragnęła zobaczyć, co też tam jest w nocy u owego Maxime'a, że niepodobna było oprzeć się. Nie miałyśmy nikogo, ktoby z nami tam mógł pójść... Trafił się wreszcie dawny znajomy, łysy oślina, który się jeszcze po świecie wałęsa. Wywabiłam Xenię odręcznem pismem, gdyż już wtedy u mnie nie mie-

szkała. Była, widziała, rozczarowała się, znudziła, no i to wszystko.

Ryszard patrzył w ziemię. Jakowys ogień przeleciał po jego żyłach aż do stóp. Zatliła się w strudzonem sercu cicha radość, jak świętojański robaczek w ciemną noc. Neville mówiła dalej:

— Nie o takie teraz rzeczy idzie!

— Więc o co? Przepraszam, że pytam, ale czasu mam mało.

(Miał nadzieję, że Xenia słucha za drzwiami.)

— Myślałam, że pana to zainteresuje.

— Dlaczego pani tak myślała?

— Ponieważ i pan ją psuł, popychał nie gorzej ode mnie... — rzuciła mu w oczy, śmiejąc się swobodnie.

Nie znalazł na to innej odpowiedzi nad wybuch wewnętrznej wściekłości, którą w milczeniu zdławił w sobie.

— Dawniej — mówiła Neville, — miała ona różne ciekawostki zobaczenia i poznania wszystkiego, wreszcie pasye młodego półdyabła. Lecz wszystko to tłumili jedno uczucie.

— Doprawdy? I jakież to uczucie?

— Pan je zna dobrze. I ja znałam tę miłość, choć się z nią dziecinnie kryła. Zawsze pan był dla niej bogiem, który skądś patrzył i niewidzialny strzegł. Teraz już koniec jej dziecinnady.

— To trudno... — uśmiechnął się cynicznie. Ale ten śmiech własny pchnął go w serce, jak nóż wroga.

— Nie myślę tu dysputować z panią. Nie mam

na sobie żadnej winy w stosunku do panny Granowskiej — rzekł wyniośle.

— Czyż tak? Odziedziczył pan miliony i ani słowa nie powiedział pan o tem osobie tak mu blizkiej, jak Xenia. Ona jest pewna i chyba ma słuszość, że pan skorzystał ze sposobności, ażeby ją wpół drogi rzucić. Drobnny szczegół, nie zasługujący na wspomnienie, eskapada nocna do Maxime'a, posłużyła panu za powód do zerwania. Ona została bez szeląga, a pan ma odziedziczone miliony. Ona ma ojca w więzieniu. Trzeba było nająć adwokata... Została jej chyba śmierć. Śmierć też wybrała.

— Moja pani! — wtrącił powstając — ja się domyślam sensu tej komedyi. Chciała mię pani postraszyc i zapędzić w sieci panny Granowskiej, która jest w tamtym pokoju i słucha naszej rozmowy.

— Możemy pójść i zobaczyć, że jej tam na pewno niema.

Wstała z miejsca, otworzyła niedomknięte drzwi i ukazała mu ten pokój szczęśliwości, zajęty, w istocie, przez rzeczy kogoś innego.

— Pannie Granowskiej — mówiła — nie mogłam, niestety, wynająć tego pokoju, gdyż ona jest teraz bez grosza.

— Wdzięczny pani jestem za te wszystkie informacje. Pozwoli pani, że już sobie pójdę.

— Żegnam pana.

Wyszedł majestatycznym, trochę nawet teatralnym krokiem. Lecz już na schodach niezupełnie dokładnie wiedział, gdzie są te schody.

Staął na platformie pierwszego piętra. Okno

tam było wychodzące na jakiś nagi mur, pełen brudnych szczelin. W jednym miejscu ciekła na chropawym tynku smuga wilgoci, którą już lekka zielonawa pleśń okrywać zaczęła. Co było w tej barwie, że nasunęła te właśnie słowa? Kto je podszeptował? Kto szlochał?

Nienaski zapomniał zupełnie o tem, co się zdarzyło, gdzie jest i co ma czynić. Oblęd. Znikąd, z niepamięci napływały słowa, jakby je ktoś bezcielesnym palcem pisał na zwilgotniałym murze. Na wspomnienie, a raczej na widok słów, zwiastujących przyszlą wielkość i najwyższe zwycięstwo, zaszlochał z głębi piersi. Oto było odnalezienie — i moc. Coś rozwiązało się w nim i piekło w piersiach od tego szlochu. Głęboka radość wiała, jakby wiatr wiosenny, ze słów:

„Na drgającym szatana ciele
Zatkniemy sztandar zwycięski Twój“...

Na dole drzwi szczęknęły. Ktoś wchodził powoli. Nienaski obejrzał się z tej daleczyny, gdzie był — i zobaczył Xenię. Ona, spostrzegłszy go, uczyniła ruch, jakby do ucieczki. Lecz powstrzymała ją gestem, nakazującym, żeby została.

— Proszę mię puścić — zawołała.

— Nie, już cię teraz nie puszczę! — rzekł z wesołym uśmiechem.

— Czego pan chcesz odemnie? — porwała się z furją.

— Chcę, żeby to wszystko już raz skończyć. Chcę cię prosić, żebyś ze mną pojechała do Saint-Severin.

— Co znowu?

— Raz już weźmy ślub i niech się skończą te wszystkie brewerye!

Zachnęła się w tył i oparła plecami o mur. Stała tam długo nieruchoma i jakby martwa. Patrzyła na niego skostniałymi oczyma. Istna sarna, którą myśliwiec wziął na cel.

— Chodźmy, Xenia... — rzekł cicho.

Nie ruszała się z miejsca. Zaczęła szeptać bardziej do siebie, niż do niego:

— Kopnął mię, jak psa, rzucił, jak najnędzniejszą — otóż masz! Powiedziałam sobie, że wolę zdechnąć z rozpacz, niż błagać o litość po tem, coś mi zrobił. A teraz co?

— Chodźmy, — Xenia! — powtórzył.

Zaczął zstępować ociężałe, niżej, niżej, niżej. Gdy był już przy niej, wybuchnęła głośnym jękiem, zachwiała się i opadła na stopnie. Ręce jej kurczowo, spazmatycznie objęły jego kolana. Dźwignął ją, postawił na nogach, otarł łzy z twarzy, uspokoił. Wyszli z bramy spokojnie, pod rękę, prowadzeni drwiącym, cynicznym uśmiechem odźwiernego, — aż do samochodu, który się przypadkiem w ulicy nawinął. Gdy wsiedli, Nienaski kazał jechać do Saint-Severin.

— Po co my tam jedziemy? — zapytała.

Znowu poczęła czegoś płakać, sykać z bólu, ślaniać się i szlochać.

— Tam musimy...

— Czemu tam?

— Tam się schodzili... Ojcowie... Leżeli krzyżem i strugami wylewali łzy w tamte kamienie, prosząc

się Boga... To oni wszystko wybłagali. Słuchaj mię! Odpowiadaj! — To wszystko jedno... Czyś już należała do jakiego człowieka?

— Nie! — odrzekła w prawdzie zeznania, patrząc mu w oczy.

— Tam, na tamtych kamieniach przysięgniesz przed Bogiem i przed nimi, przed świętymi duchami.

— Przysięgnę!

— Że będziesz wierna i uczciwą...

— Do ostatniego tchu!

Przywarła ustami do jego ręki i na pół zemdłona coś szeptała.

CZĘŚĆ DRUGA.

Mżył deszcz jesienny i zanosił widnokrąg. Role były rozmiękle. Brózdami ciekło szklivo wilgoci, sącząc się do rowów. Bezlistne i obmokłe drzewa przydrożne miały bardziej niż kiedykolwiek pozór zjawisk niepotrzebnych, zesłanych w te miejsca do pełnienia wyciągniętym sznurem jakowychś ciężkich robót. W mglistem zadeszczeniu widać było ledwo-ledwo w oddali łańcuch wzgórz podkrakowskich i kopiec Kościuszki.

Ryszard Nienaski szedł szosą do stacyi kolejowej, gwiżdżąc na całą okolicę. Grube jego buty przemokły i kabat w okolicach kołnierza przepuszczał wilgoć. Mimo to architekt był coraz bardziej wesoły. Lubił chodzić w deszcz, a tu tembardziej. Wracał do miasta z lustracyi „swych“ kopalń, a miał zobaczyć jeszcze jedną, największą i najważniejszą. Od półtora roku grasował już tutaj, jak huragan. Skupował na wsze strony tak zwane pola węglowe, od Oświęcimia po Kraków, w okolice Chrzanowa i Krzeszowic, w okolicach Grójca, Bobrka i Brzeszcz. Były to wnętrza gruntów, należące, według kodeksu, do rządu, a uznane przez geologów za mieszczące w sobie węgiel

kamienny. Pola te były już porozchwytywane, albo przez Polaków, którzy nie mieli pieniędzy na eksploatację, albo — w okolicach Libiąża nad Wisłą — przez Niemców, którzy właśnie takie pola wykupywali z rąk polskich chciwców. Prawo austriackie zmusza nabywcę węglowego terenu do tworzenia kopalń w oznaczonym terminie, a co najmniej, do płacenia podatków, jak gdyby eksploatacja była w pełnym biegu. Jeżeli tedy nabywca pola nie kopał węgla dla braku funduszów po temu, rujnował się na bezpłodne podatki. Teraz nowy przybysz z Francyi skwapliwie nabywał owe pola węglowe przeważnie z rąk polskich, gdyż z rąk niemieckich zapóźno je było odbierać. Niemcy, nie eksploatując kopalń, płacili podatki, byleby tylko tę martwą własność w swych rękach utrzymać. Z drugiej strony właściciele powierzchni ornego gruntu, od których prawo do prowadzenia kopalń na ich ziemi należało osobno kupować, widząc łapczywość tego „milionera“, o którym krążyć poczęły wieści, jako o Krezusie, zwaryowanym na punkcie podkrakowskich pól węglowych, podnosili do niemożliwej granicy cenę swych działów gruntowych i wysokość procentu od produkcji węgla. Pomimo tych komplikacyi ów Krezus kupował na prawo i na lewo, z tej i z tamtej strony Wisły, w okolicach Zatora, „brał pod się“, jak mówiono, sadowił się i zagospodarowywał. Pieniędzy miał dosyć. Zlikwidowawszy wszystkie nieruchomości Ogrodyńca we Francyi, trzymał w ręku około siedmiu milionów franków. Nadto, tak przebiegle opłatał baronową Halfsword nadziejami wielkich zysków, wkręceniem

większości jej funduszków w interesy węglowe Uj-Kahul, gdzie ta dama grubo zyskała, — że teraz uwierzyła w Ryszarda i zdecydowała się grać i tutaj w „Galicyi“ na tymże węglu. Nienaski skłonił również szczerwanego machera Czarncę do przybycia na miejsce i wzięcia udziału w postawieniu interesu na zupełnie „niemarzycielskim“ poziomie. Czarnca znalazł się na „niemarzycielstwie“. Ten robigrosz francuski siedział jakiś czas w Krakowie i wpatrywał się w interes swemi dalekowidzącymi (guldeny) oczyma. Sam kupił zaledwie parę owych pól węglowych. Udzielał jednak macherskich rad, które były cenniejsze, niż same pieniądze na przyszłość, w ewentualnej walce z wielkimi związkami kapitalistów.

Nienaski otoczył się młodymi pracownikami, młodymi geologami, inżynierami i sztygarami. Jeden obszerny pokój jego mieszkania w Krakowie stał się giełdą nowej pracy i nowego polskiego ideału na tem pograniczu bojowem. Był to rodzaj rozmównicy doktora Brusa z Warszawy, tylko, że z niej szepty było słyhać daleko w polach pracy. Łoskot twórczego czynu był ich echem.

Pani Xenia Nienaska, czarująca gospodyni tego mieszkania, nieraz się już złościła na te nocne gadania i perory, — na zacietrzewionych geologów z ich mapami i fajami (które ćmili, popiół rozmiatając na wsze strony). Sarkała i na inżynierów, choć byli, zazwyczaj, bardziej kulturalni. Wszystko napróżno. Daremne były utyskiwania, że w tem małym, stonsunkowo, mieszkaniu najlepszy pokój „zagrabiony“ jest na ową rozmównicę, a papuś Granowski (którego

szczęśliwie, przy adwokackiej pomocy wydłubano z paryskich opresyi), zajmować musi niewielki salonik w sąsiedztwie kuchni. Co gorsza, i co już panią Xenię poważnie martwiło, ten obłąkany Ryszard, posiadając faktycznie tyle milionów, — śmiech powiedzieć! — zarabiał na życie, jako architekt. Wykonywał plany na wille żydom i katolikom, stawał do konkursów na kościoły, ubiegał się o budowę kamienic. Co było począć z takim, który twierdził, że to wszystko nie jest jego własnością, że to, co odziedziczył, włoży w kopalnie i fabryki, potroi, pomnoży — i odda chłopom a robotnikom.

Pani Xenia nieraz mu już zarzucała ręce na szyję, tłómacząc jasno i porządnie, całując go w usta dla zupełnej zrozumiałości wykładu, że to przecież jest absurd nad absurdami. Nieraz mu już nacierała uszu białemi rękoma, udowadniając, że to jest jedynie pomnażanie złodziejów i bandytów, że tego nikt, a nikt nie robi. Automobil „natomiast“ kosztuje tylko piętnaście, — no, nie! — w gruncie rzeczy dwadzieścia tysięcy franków. Ten zaś pierścionelek, co go oglądali w zeszłym tygodniu przez szybę jubilera tak długo, aż jej nosek o mało do witryny nie przymarzył, kosztuje głupie cztery tysiące koron... Nic nie pomogło.

Jedną miała pociechę, to ze swej sypialni. Tu przyznawała mu rację. To jest szczerza prawda, że raz w życiu spisał się gracko.

Byli na letniem mieszkaniu w głuchej wioszczynie nad Wisłokiem. Ona sama z ojcem tam została, a ten latał po tych swoich utrapionych „terenach“. Pisał

dzien w dzien, że nie może znaleźć dobrego mieszkania, uskarżał się, że tyle ma kłopotu z wyszukiwaniem i że tak trudno znaleźć w Krakowie coś lepszego za niewielkie pieniądze. Wierzyła nabieraczowi. Przyjeżdża tedy z ojcem w październiku, — już zimno, — w drodze martwi się, że wypadnie chyba tłuc się po pensyonatach, zanim się jakie lepsze mieszkanie trafi. Na dworcu czekał przecie. Zapakował „famulę“ do fiakra i kazał jechać na jakąś tam ulicę. Przyjeżdżają pod kamieniczysko, — nawet nie zwróciła uwagi, na której ulicy. Wchodzą po schodach kamiennych, „krakowskich“, na drugie piętro. No, drzwi jak drzwi... Zadzwonił. Jakaś nieznajoma kuchta drzwi otwiera i „całuje rączki“. Korytarz wcale ładny... A ten się śmieje w swe wąsy! Czego znowu! Uchyła drzwi z ukłonem... Aż krzyknęła! Pokój obszerne, precudny, o dwu oknach. Śliczne łóżko metalowe, zasłonięte parawanikiem z białego drzewa, specjalnie obstalowanym. U góry tego parawanika sztychy, które tak lubiła — Tycyana hrabia Norfolk z Pitti'ch i ten z Luwru młodzieniec z rękawiczką... Reprodukcyja panienki Leonarda, która przypomina Simonetę Boticellego, a przecież jest tak inna, tak najzupełniej inna... W głębi pokoju śliczne biurko na obstalunek robione. Na niem czarujące fotografie — chłopaka Rafaela, z uciętymi włosami, — anioła grającego na skrzypcach według Rossi'ego...

Grube sukno niebieskie zaściela cały pokój. Śliczne obicie i lampa — istny cud! Cóż za abażur ze szkła! Jaki blask!

Pani Xenia była tego dnia wyjątkowo, po burzuj-

sku szczęśliwa. Lecz na szczęśliwość wogóle i innych dui nie mogła się uskarżać. Odkąd wyszła za mąż za tego cierpika i narwańca, zazdrośnika i krzykałę o moralach, wielbiciela co najbrudniejszych i najbardziej cuchnących robotników, — dobrze się czuła. Stała się inną, tak inną, że nie mogła przypomnieć siebie samej w Paryżu, lub Warszawie. Gdy jej jeszcze kiedy „dla konkokcyi żołądeczka“ poczynął uragać, gdy się o coś tam „nawalił“ z całym brzemieniem zestawień i przypomnień, po prostu nie wierzyła w to, co on jej (z życia przecie) wypomina. Wszystko tamto wywietrzało jej z głowy i wyleciało z pamięci. Nastalo inne życie, tak urozmaicone i bogate, że literalnie nie mogła przebrnąć, przebić się przez ogrom tego piękna. Istne zboże we żniwa! Gdy była nad Wisłokiem w cichej polskiej wioszczynie wśród wieśniaków i wieśniaczek, — w łagodnym rzeczonym rozdole, który się niepokojnie poczynął, otwierał, jak gdyby sen letni, spokojny, a kończył kędyś na progu nieba, — nie mogła literalnie wierzyć, że ona wogóle była w tym jakimś Paryżu, w takim mieście, że tam znała jakichś tam ludzi... Bo po prawdzie, to lubiła nadewszystko wieś i prawdziwych chłopów, prawdziwe dziewczęta i kobiety, szczerzy „wieski“ naród i ich tameczne, a swoje własne życie. Każda wiejska praca, prawda, piosenka wpadała do jej duszy i do ucha, jak pszczoła do swego ula. Piosenki! Raz zaśłyszana — już jest w pamięci, jak w kufirze zamczystym, na zawsze. Umiała na pamięć wszystkie i każdą, ale tak, jak się mówi, tak, jak trzeba taką rzecz wydać, żeby było i prawdziwie i ładnie. Jakże

też to lubił, jak lubił ten architekt słuchać pieśni wiejskich z jej ust! Zamierał z rozkoszy, zanosił się ze śmiechu od tego dowcipu, prawdy i krasy, jaka jest w piosence wiejskiej. Znała się tam przez lato ze wszystkimi ludźmi, to znaczy ze wszystkimi babami i dziewczuchami i niemało się z nimi naurągała na chłopów. Pod sekretem chodziła często w chusteczce i spódnicy żąć i do siana, bo tak lubiła rozmawiać z dziewczynami i słuchać, jak się przegadują z chłopaczyskami. Tylko że „milioner“ nie lubił, skoro się tam gdzie „zawieruszała“, więc mu już i tego ustąpiła, choć z głębokim żalem. Zaraz go pikało, że już coś będzie. Taki był zestrachany, jeszcze z tego Paryża. Śmieszny chłop! Bo ten cały Paryż — Boże drogi! — to było akurat to samo, co nad Wisłokiem: popatrzeć, jak to tam jest, no, wszędzie, — jak żyją, po jakiemu się co robi — i samej żyć temże wszystkim, pełna, duszkiem, żeby było czuć, że się żyje i tak, jak inny naród żyje. Milioner zaraz coś nastroszył, nastawił swoje „zasady“, jak lunetę, albo mikroskop i dawaj-że patrzeć! A jak się już napatrzył do syta, dopiero widzi, że śmieszne jest to jego całe badanie. Jedną miał wadę ten potentat finansowy — „podskarbi narodu“, nie umiał patrzeć wesoło na ludzkie życie, garściami rwać wesołość, jak się rwie czerwone maliny z krzaka przy drodze. Zaraz — naprawiać, przebudowywać, leczyć, goić... Mędre, socyał w mnisim kapturze, czy mnich w socyalikowskim kabacie.

Ale kochała go za inne, inne, inne rzeczy! Wielbiła w nim aż do szału dzikiego swego kochanka —

siłę miłości i zawsze jednaki ten szal, jego własny, a jednak echo budzący w jej duszy namiętnej, — spojrzenia zawsze jednako wlepione w jej oczy, uczucie, zawsze jednako rozpalające w niej uczucia. Gdy ją w Paryżu po ślubie nosił na rękę w swej izbie i tulił w barach, szepcząc jej bajdy o jakimś jeziorze w Tatrach, o sadzawce w skałach nad morzem, o włóczęgach dziennych i nocnych po mieście, o tęsknotach, męczarniach, błyskach nadziei i zawodach, które szatan, jak potrzaski i wnyki na nich zastawiał, słuchała, jakby to ona sama mówiła mu o sobie. Milczała wtedy. Nie wiedział, oślisko, nic, że gdy on jej szukał, ona za nim szalała; — że kędyś na bulwarze Hausmana w dżdżysty dzień szła, płacząc, gdy jej Lenta o nim napisała te łgarstwa... Aż cylindrowce zatrzymały się i pytały w głos, czego też taka ładna panna może płakać? No, i cóż? Nie należało takiemu odpowiadać? Nie należało mówić ni słowa? Przecie lżej, gdy człowiek obgada z drugim swoje zmartwienie. Kochała go za wszystko. Zwolna i niewiedomo jak, jego dusza przesączyła się w jej duszę i jego myśli stały się jej myślami. Była najlepszą, najtroskliwszą żoną, była najwierniejszym przyjacielem, czujnym doradcą, który, gdy niebezpieczeństwo czyhało, stawał się sojusznikiem, była najweselszym kolegą...

Chaos myśli bezładnych o tem wszystkim, co to, równie bezładnie, zostało uprzytomnione, przewijał się w umyśle Nienaskiego, gdy ten milioner zdążał drogą do stacyi. Zdrowie radosne — jędrne, rzeźkie i żwawe uczucia pomagały mu do chyżego chodu, wśród jesiennej szarugi. Minął plant kolejowy, prze-

szedł przez dworzec podrzędnej stacyjki i wybiegł na gościniec swój własny, nowo zbudowany w tych polach, a prowadzący do największej z nowych kopalń, noszącej nazwę „Xenia“, której Nieże drewniane, koła wind i duże budynki widać było w oddaleniu. Brzegiem gościńca, którego środek wysypany był tłuczonym kamieniem i miałem węglowym, biegły szyny kolejki kopalnianej, a na niej snuły się wciąż wywrotne wagoniki z urobkiem węglowym. W kierunku szybu „Xenia“ szli robotnicy i rozmaity, pracujący naród. Nienaski szybko wymijał ich grupy. Gdy w zamyśleniu przechodził obok jednej z takich gromadek, uderzyło jego ucho kilka zdań, wyluszczonych przez jakiś głos znajomy. „Milioner“ obejrzał się, lecz nikogo takiego nie dostrzegł. Wszyscy ci ludzie byli niemal jednakowo ubrani, w kaszkiety i spencery czarne od pyłu. Odszedł tedy parę kroków, lecz brzmienie tego głosu zmusiło go do obejrzenia się raz jeszcze. Wówczas dopiero wśród ludzi rozróżnił i przypomniał sobie tego, kto przemawiał tym głosem. Był to paryski znajomy z lat dawniejszych — Żłowski. — Podstarzał się był i wrósł, niejako, w naród, przywdzawszy kabat, portki, buty i kaszkiet taki sam, jak wszyscy inni. A jednak został sobą. Ta sama to była fanatyczna twarz, poorana, a raczej podeptana przez życie. Broda mu dobrze z boków podsiwiała. Jeszcze bardziej zapadły się oczy. Gdy Nienaski, wpatrzywszy się dobrze w tego człowieka, poznał go doskonale i pozdrowił, tamten niechętnie uchylił kaszkieta, lecz zaraz odwrócił twarz, jakby na znak, że na owym ukłonie wszelka się znajomość urywa. Nie-

naski nie dał się tak łatwo odepchnąć. Podeszedł szybko do swego starego znajomego, z którym wczerał swego czasu i dysputował. Podał mu rękę i przywitał go życzliwie. Żłowski odnawiał z nim znajomość bardzo ozięble, najwidoczniej z musu. Ludzie, którzy szli z tym Żłowskim, z wolna oddalili się i dwaj dawni znajomi zostali sami na drodze.

— Cieszę się, że pana tutaj widzę!... — szczerze mówił Nienaski.

— Dumny jestem z pańskiej łaskawej uciechy... — odpowiedział tamten.

— Myślałem, że pan wciąż przebywa w Paryżu.

— Bo też ja tu przejazdem.

— Tak? I na krótko?

— Jak to w życiu naszym, ludzi bez wczoraj i bez jutra. Ani się wie, czy człowiek tam, gdzie jest, będzie długo czy krótko.

— No, nie trzeba przesadzać... Tutaj?

— Czyż może bezdomny pies, który biegnie od wsi do wsi i którego od każdych drzwi wita głos — a pójdiesz! — wiedzieć, czy jest, czy będzie gdziekolwiek, długo lub krótko?

— To jest smutne, co pan mówi, ale niezupewnie prawdziwe. Smutne, gdy się słyszy o takiej doli człowieka. Gdybym mógł być panu w czemkolwiek pomocnym, uważałbym się za szczęśliwego, mogąc mu usłużyć.

— Dziękuję, pan w niczem nie może mi być pomocnym... rzekł Żłowski z grzecznie szyderym uśmiechem.

— Nie wiedziałem, że jestem tak bezwzględnie

wyjęty z pod wszelkiego pańskiego prawa. Przepraszam za natręctwo.

— Ja żadnych praw nie stanowią. Z żadnymi prawami nie jestem w kontakcie. To pan stanowisz tutaj prawa, z pod których ja właśnie jestem wyjęty... — śmiał się Żłowski, pokazując ręką zabudowania kopalni.

— To są budowle i maszyny nad martwymi pokładami węgla. Jeżeli zgrupowanie środków i zorganizowanie metod pracy jest prawem, to istotnie takie prawa usiłuję tutaj stanowić.

— Właśnie o tem mówię.

— Mówi pan to w sposób szyderczy. Radbym wiedzieć, jakby brzmiała krytyka pańska metod i sposobów tej pracy. Dałbym wiele za to, żeby ją posłyszeć. Właśnie krytyka pańska. Ja to szczerze mówię.

— Moja krytyka „brzmiałaby“ tak nieprzychylnie, że lepiej schować na dno jej szczerłość.

— Nie wiedziałem o tem. Jeżeli krytyka pańska moich i naszych tutaj usiłowań, w jego mniemaniu uchodzi, jak przypuszczam, za prawdę, to czemuż kręć na dno prawdę?

— Bo to jedyna jeszcze moc prawdy takiej, jak moja, kiedy się kryje.

— Ja sędzę, że prawda, której nie można udowodnić — bez szkody dla niej — nie jest tem, za co się podaje.

— Po co panu, milionerowi, znać inną prawdę nad tę, że pan ma w ręku odziedziczone skarby i może je, według fantazyi, kłaść tu, w te przemysły, albo je

przegrać w karty, czy tam darować znowu jakiemu innemu dobroczyńcy ludzkości?

Nienaski zaśmiał się w głos. Rzekł pogardliwie:

— Taka też to jest ta pańska krytyka i, do prawdy, zwietrzała prawda.

— Śmieje się pan, jak król. Jak król tych miejsc! Co za władza! Zechce pan pchnąć tłumy głodne i nędzne tutaj — pójda tutaj, w te podziemia. Zechce je pan odepchnąć i odepchnięte muszą odejść. Wszystko za tę prawdę niezwietrzałą nigdy, za żywotwórcze, choć tak stare, złoto.

— Panu to nie w smak, bo chciałbyś sam tylko być królem tych ludzi. Ja usiłuję dać im własność skarbów, które przez wieki deptali, nie wiedząc, że depcą swoją potęgę. Pan dać im usiłujesz swe wyrazy, których nie rozumieją. Ja z nimi kopię węgiel w ziemi. Pan kopiesz w ich nędzy kruszec dla swej władzy i pychy.

— Dobroczyńca z pana! Tą oto białą rączką dajesz tłumom własność.

— Pan równie białą, jak moja, „rączką“ dajesz im znaki i sygnały swych wyobrażeń. Ta jest między nami różnica, że ja swe wierzenia mogę urzeczywistnić, a pan — nie. Dowiedz pan, że to, co mówiłeś niegdyś, może się urzeczywistnić. Wtedy tylko będziesz mi równy w uczynku.

— Bodajbyś pan w złej godzinie nie zażądał, abym tutaj właśnie urzeczywistnił moje wierzenia!

— Strachy na Lachy!

— Już pana nie straszą dawne „mrzonki“. To dobrze. Mocno pan stoisz na nogach.

— Nie. Nie stoję jeszcze mocno, skoro pan chodzisz tutaj między ludźmi.

— Między pańskimi ludźmi, między pańskimi „chłopcami“...

— Wówczas dopiero stałbym mocno, gdyby praca, która tu wrzeć poczyną, wessała pańskie szyderstwo z niej, rozpuściła je w swym dorobku i przerobiła na element nowej swojej siły.

— Pan zawsze lubisz „organizować“ pracę, oczywiście cudzą. Czynić z cudzej pracy element swojej siły.

— A cóż mam na tej ziemi robić, jeśli nie organizować pracy?

— Byłoby jeszcze bliższe zadanie.

— Jakież? Zaraz je wykonam, jeżeli jest bliższe dobra.

— Odziedziczone miliony giełdjarza — wszystko mi jedno jakim sposobem...

— Radzę panu wierzyć, że godziwym!

— Dla mnie dziedziczenie jest niegodziwością. Doskonale czarnego koloru nie można w moich oczach poczernić drugim czernidłem. Otóż — odziedziczone miliony rozdać głodnym. Dopóki są na tej ziemi głodni, pańskie zachcianki patryotyczno-industrialne są zbrodnią, tem gorszą, że na niej świeci się blichtr jakiejś idei. Pan wolisz organizować ciężkie roboty tych nędzarzy, mustrować armię z nich złożoną do walki z „wrogami narodu“, to znaczy z nędzaczami z za rzeczki, — wreszcie obdarowywać ich ideami.

— Nie będę dysputował. Przecie i pan obdarowu-

jesz ich nie czemkolwiek innem, nie obwarzankami i kuflami piwa, tylko ideami.

— Tylko jedną, jedyną ideą, która jest prosta i krótka, jak drąg żelazny: bierzcie dobro zarabowane wam przez przywłaszczycieli, dziedziców, spadkobierców, panów, milionerów, — chwytajcie dobro, wyrobione rękami waszych braci, — choćby byli ludźmi innej mowy i innego kraju, — bierzcie, — bo to wasze! Nakarmcie wasze dzieci, wesprzyjcie konających z biedy, dajcie choć jeden skuteczny lek cierpiącym, choć jeden na całe życie, dajcie choć jedną pociechę upadającym ze smutku życia w jarzmie.

— Przecież ja to właśnie robię, — mówił Nienaski z uniesieniem, — ja daję ludziom dobro, lek i pociechę!

— Pan? Cóż za bezczelne kłamstwo! Pan budujesz podwaliny swojej chimery, państwa, które będzie katownią ludu, taką samą, jak inne. Usiłujesz pan budować je przebiegle, przy użyciu zarabowanej myśli przewodniej, jedynej myśli o ratunku, którą żyje nędza. Tem też jesteś niebezpieczniejszy od wszystkich panów.

— Dla kogo jestem niebezpieczny? — krzyknął Ryszard.

— Dla tych, co już ocknęli się i noszą w sercu zemstę za krzywdę. Powiem panu jedno słowo, prosto w oczy, jak człowiek mężny człowiekowi roztropnemu. Oddaj ludowi coś podstępniemi sztukami wyłudził od zdzienniałego starca i uchodź stąd w kraje swego marzycielstwa.

— Szkoda mi słów. Nie będzie zgody. To też

stosuję do pana tę samą radę: idź stąd zdrowo w kraje swego marzycielstwa!

— Nie, ja zostanę. Dopóki jest na ziemi nędza, ja zostaję i jestem. Jeżeli nawet zginę, jako człowiek, — „non omnis moriar“. Lecz pan — idź! Dodam, — pókiś cały!

— Aż tak!

— Aż tak. Powiem panu drugie ważne słowo: wy najlepsi — jesteście dla nas, dla ludu — najgorszymi.

— „Dla nas, dla ludu“. Powinieneś pan mówić jeszcze wyraźniej: My z Bożej łaski, lud... Ten właśnie lud oceni, czym ja dla niego najgorszy.

— Strzeż się pan! Nie pora będzie strzedz się, gdy on cię oceni. Pajęczyną organizowania chciałbyś pan zasłonić rany syfilityczne. Was to najlepszych chirurgów, biegających ze swą pajęczyną, należałoby przedewszystkiem z placu usunąć, żebyście nie zamącali widoku.

— Nawet usunąć?

— Usunąć! Nie ja mówię. Jestem proch, jestem przechodzień, jestem krzyk przebiegający pustkowia niedoli. Nie moją rzeczą jest czyn tu, lub tam. Słyszałeś pan coś nie coś o „Mścicielach“.

Nienaski roześmiał się serdecznie.

— Słyszałem, — mówił — słyszałem! O to chodzi... Myślałem, że o coś mądrzejszego. Żegnam asin-dzieja!

Śmiejąc się głośno poszedł dalej. Gwizdał i podśpiewywał, śpiesząc do kopalni „Xenia“.

Tej jesieni od pewnego już czasu otrzymywał pod swym adresem kolejno nadchodzące listy, opatrzone pieczęcią partii „Mściciele“. Pisma te żądały, ażeby się stawił w jakichś punktach oznaczonych dla zdania rachunków z sum, które odziedziczył i posiada. Początkowo nie zwracał na te żądania żadnej uwagi i nie stawiał się przed niewiadomym trybunałem. Lecz po rozmowie ze Żłowskim na szosie, prowadzącej do kopalni, zrozumiał, że to nie jest sprawa ze zwyczajnymi szantażystami, ani z bandytami, lecz z ideowością, do której się przyцzepiło wszystko wyzute z praw, z określonej wiary i świadomej idei. Postanowił tedy pójść na miejsce wskazane, trzecie z rzędu, i rozmówić się oko w oko z tajemniczym areopagiem. Pragnął wykazać tym ludziom odpadłym od świata, podeptanym i zapędzonym w rozpaczliwą jaskinię myśli, — co robi, jak robi i dla kogo. Pragnął zmusić ich do zrozumienia swej pracy, do uznania jej i ukończenia. Wierzył mocno, iż wessie ich nowy organizm, da im chleb, spokój i ucieszenie ducha. Kiedy sam na sam rozważał, co im ma okazać i jak, — co ma powiedzieć, a o czym zamilczeć, gdyby nawet w istocie rzeczy było dobrem najwyższem, lecz na teraz dla nich niezrozumiałem, — brał się na spytki ogniowe, ażeby się snąć nie poślizgnąć w tyranję, w niesprawiedliwość względem tych ludzi, w brudne burzństwo, tak łatwo czepiające się duszy, obciążonej świadomością posiadania wielkiej kiesy złota. Na trzeci pozew „Mścicieli“, leżący na stole, Nienaski patrzył uparcie i z zawziętością. Nie chciał iść do wrogów, lecz do braci. Nie chciał taniego zwycięstwa, lecz

podźwignięcia ich w duchu i pociągnięcia ku idei.

Nie mówiąc swej żonie, dokąd się udaje, bez żadnej broni, ani papierów poszedł na miejsce, wymienione w wezwaniu. Przemierzał brudne, cuchnące, błotniste przedmieście Krakowa w kierunku Wisły. Patrząc na prawo i lewo po ohydnych „kamienicach” i po starych chałupach, które w błocie tonęły, kłął głośno. Ohydą przejmowało go to wszystko pobudowanie na odwiecznych niedolach, krzywdach, na odwiecznych bezprawiach i biedach. Jakże pragnął przerznięcia tych bajor kanałami, burzenia ruder, wytrzebiania zarazę gnieźdzących w sobie siedlisk, „całuję rączek” krakowskich! — „Mściciele” — śmiał się. — Istny opar nad tymi gnojami, nad tym fetorem, w którym tonęły pokolenia. Tyle sobie wyhodowała nieszczęśliwa Polska.

Kędyś w długim podwórzu, które rzeczywiście było jednym śmietnikiem, w domostwie, którego przyciesi stały się dawno błotem, a ściany na błoto topniały, dopytał się o mieszkanie szewca Dąbrowskiego. Wszedł do wnętrza. Izba była, jak się patrzy, tamtejsza, dość powiedzieć, szewska na przedmieściu. Majster, człowiek kudłaty, nalany i brudny, podskoczył ze swego stołka, zapewne w przewidywaniu, że nadciąga klient z obstalunkiem. W rogu izby pod piecem skrobała kartofle kobieta tak chuda, że od pierwszego na nią spojrzenia nastrezczała się myśl, jak ten szkielet może ruszać rękami, widzieć, chodzić, mówić. Było to bolesne zjawisko — ta szewcowa. Oczy wywalone z orbit, zapewne wskutek jakiejś

choroby, wlepiła w przychodnia i, wciąż ruszając wargami, jakby pokrzykiwała bez wydania głosu, — przypatrywała się każdemu gestowi i poruszeniu. Nienaski doznał bardzo przykrego wrażenia na widok tej kobiety. Zwrócił się do gospodarza ze słowami:

— Pan majster Dąbrowski?

— Tak jest, do usług...

— Mam naznaczone pańskie mieszkanie w pierze który mi nadesłano, jako miejsce, dokąd mam przyjść. Nazywam się Nienaski. Przyszedłem.

— A! — mruknął szewc, rzucając na żonę spojrzenie.

— Przyszedł pan... — zaczęła mówić, ale szeptem, bo jej widać gruzlica głos wyjadła.

— Jak pani widzi.

— To dobrze, że pan przecie przyszedł.

— Dobrze? Dla kogo?

— Dla sprawy.

— Tak? Czekam.

— Teraz? My tu sami, ja, żona, — zaambarasował się szewc. Stał, drapiąc się w głowę.

— Więc cóż? — spytał Nienaski.

— Towarzyszów tera niema, bo to nie pora.

— Może ich państwo zwołacie. Ja mogę poczekać.

— O teraz nie ta pora! — podjęła swym skrzeczącym szeptem niewiasta.

— Co mam robić?

— A to pan się nie bał przyjść?

— Nie boję się chodzić do ludzi. Możebyście mi państwo wytłumaczyli, o co to sprawa?

Małżonkowie spojrzeli po sobie. Nie mogli zdobyć się na wyjaśnienie. Wreszcie szewc zaczął mówić mozolnie i bez ładu:

— Nam tu jeden człowiek mówił, żeś pan zagarnął od jednego bogacza wielkie pieniądze...

— Znam ci ja tego człowieka!... — śmiał się Ryszard.

Obydwoje podskoczyli ku niemu, pytając, kogo ma na myśli.

Pokazał im gestem ręki długą brodę, łyse czoło. Zrozumieli. Teraz przypatrywali mu się ze zdwojoną ciekawością. Oczy im się świeciły.

— I czegoż was to, moi państwo, ponauczał ów prorok? Cóż wam o mnie powiedział?

— Pan się śmieje, jak mówi o tym człowieku... — syczała wyschnięta kobieta. — A to jest święty człowiek!

— Nawet święty!

— Święty! — wykrztusiła z gardzieli, która już strun głosowych nie posiadała. Żyły na jej szyi nabrzmiały, jak strąki, — wydobyły się na skronie. Poskoczyła do drzwi w głębi i otworzyła je szeroko. Nienaski zobaczył izdebkę czystszej utrzymaną, z łóżkiem w kącie i stolikiem pod oknem.

— Tu miesz ał... — mówiła szewcowa Dąbrowska. — Bez trzy miesiące tu był. Jego to jest pomieszkanie! Takiego mędrca!

— Gdzie się zaś teraz wyniósł?

— W świat poszedł, mój wielki panie, — we świat szeroki! Głosić słowo prawdziwe, dobrą nowinę między tutejsze i obce ludzie. Bo wszędzie jest ta sama

rzecz. Gdzie tylko jest na świecie krzywda i bieda, a psie życie i gdzie jest panowanie dyabelskie — to tam poszedł! Bo ten człowiek z dyablem samym wojuje. Dyabeł posiadał ziemię i dobro wszelakie, złoto i srebro, brylanty i rubiny, a ten jeden człowiek pokazuje ludziom, jako że dyabeł to wszystko posiada. I wszędzie, gdzie tylko są ludzie zatchnięte w tym ostatku, słuchają, co mówi. Prawda jest w uściech jego! A to się niech jaśnie pan obejrzy po świecie! Prawda jest w uściech jego! A tu, gdzie spał, już się nikt nie położy w tej pościeli, na tej poduszce i pod tą kołdrą! — mówiła z niewysłownym uśmiechem zachwytu, przysłaniając swe wylupiate oczy czerwonymi powiekami.

— Cemu? — zapytał Nienaski.

— Na tym tapczanie, a w tej pościeli, gdzie spoczywał, już nikt nie spocznie. Nie! Bo może jeszcze wrócić! Może jeszcze jego ścieżka tędy się wyprostuje. A jeżeliby zaś wrócił, przecie mu się należy, choć taki spoczynek, mój wielki panie...

Nienaski patrzył na nią, gdy wyrzucała z gardła te wyrazy — i mówił sobie samemu, że jeszcze nigdy w życiu nie widział twarzy równie fanatycznej. Była głęboka zgroza w tych oczach na wierzch wysadzonych, w uśmiechu, co raz wraz połyskiem szaleństwa i mściwości oświeślał zmarszczki, przecinające wargi i policzki. Koślawe, spracowane, żyłaste ręce kurczowo drgały. Ciało suche, któremu, zaiste, lepiej by już było między czterema sosnowymi deskami, miało się i trzęsło. Nie mógł patrzeć i słuchać. Coś, jakby mgłoci, chwyciło go w tej izbie.

— Tyle to aż czasu mieszkał tu Żłowski u państwa? — zapytał.

— Sza! — krzyknęli obydwójce, jak na komendę.

— No?

— Sza! Niech Bóg zachowa! Nazwiska nie wolno z gęby wypuścić! Sza! Bo źle będzie!

— Ze mną będzie źle, czy z wami, moi państwo?

— Sza! — krzyczeli na niego, tupiąc nogami, jak dwoje waryatów.

— No dobrze już, dobrze! Czego ode mnie chcecie? — spytał, zaczynając nudzić się tem wszystkim.

— Policz się pan ze swoim sumieniem! To tego trza! — wypaliła mu w oczy, plując na wsze strony przez zielone zęby, które sterczały w jej ustach!

Nienaski odsunął się i pośpiesznie zapytał:

— Czegóż chcecie?

— Czego? A to tego...

Naradzali się oczami. Po tej naradzie szewc rzekł z pompą:

— Masz pan złożyć na partję choć część tego majątku.

— I to wam?

— Nie nam, tylko na partję!

— A gdzie ta partja?

Znowu się zaambarasowali. Pobiegli do kąta i zaczęli tam przyskakiwać do siebie, szeptać i ciskać jakieś wyrazy. Wrócili, gadając jedno przez drugie.

— We czwartek wieczorem, tu, na tej samej ulicy, ale nad samą rzeką. Podwórze tam będzie tak, jakby tutaj. Dom murowany, ino stary. Na piętrze. Jedne

tam tylko będą drzwi, jak się wejdzie po schodach. Na dole szynk, a to będzie na piętrze.

— Przyjemne jakieś miejsce, na dole szynk, a ono na piętrze... — śmiał się Ryszard.

— Pałaców nie mamy. My nie hrabie.

— Ja także nie jestem hrabią i nie mieszkam w pałacu.

— Przyjdiesz pan?

— Dobrze. Przyjdę. Tylko, żeby mi tam byli już wszyscy wraz, bo trzeci raz nie myślę na próżno czasu tracić.

— Godzina dziewiąta wieczór, to ludzie z roboty zejda i dopiero wtedy mają czas. To tam partja będzie.

Podniósł się i podał im rękę. Gdy miał wychodzić, zwrócił się do żony szewca:

— A możeby tak pani bez wszelkich ceregielów przyjęła ode mnie, powiedzmy, pożyczkę na leczenie, na wyjazd na wieś, choćby ot do jednej wsi nad Wisłokiem? Tobym tu przysłał pieniądze i list z adresem, gdzie jechać...

— Nie, nie! Nic do ręki! Jeszcze czego! Partja da — dobrze. Partja nie da — ha, trudno.

— Jeśli tak...

Wyszedł z tego mieszkania i z rozkoszą odetchnął powietrzem.

W ciągu paru dni następnych namyslał się, — iść, czy nie iść. Najłatwiej byłoby nie pójść, zlekceważywszy ową „partję“, zwłaszcza po obejrzeniu z bliska przedstawiciela i przedstawicielki tych „Mścicieli“.

Lecz właśnie widok owych biedaków pociągał, żeby zobaczyć i szerszą reprezentację. Żal mu było nade wszystko tamtej szewcowej. Niechże jej, — do licha! — „partya“ da na wyjazd... Nadto przyczyniła się do decyzji pewna jeszcze okoliczność. W ciągu owych paru dni odbyło się jedno z zebrań obywateli zamożnych, które od jakiegoś czasu urządzano w Krakowie. Na te narady spraszani byli ludzie co najzamożniejsi, włącznie aż do magnateryi. Perorowano tam o konieczności wszczęcia w Galicyi przemysłu i mędrkowano nad sposobami znalezienia kapitałów. Właśnie na ostatniem z tych zebrań Nienaski wygłosił płomienną oracyę o konieczności czynu, którego społeczeństwo oczekuje od wielkiej szlachty i arystokracji. Słuchało go w skupieniu kilkunastu gentelmanów, którzy, razem wzięci, wyobrażali prawnych przedstawicieli kilkudziesięciu milionów koron. Gadanina Ryszarda trafiła na twardą opokę serc i rozumów. Nikt nie poparł jego wywodów. Chwalono jego usiłowania, kadząc mu, ile wlezie, za to, co zrobił i co robić zamierza, przytakiwano grzecznie i obłudnie w dyskusyi ożywionej, „która się wywiązała“, ale o wzięciu udziału finansowego w tych tam zamierzeniach nikt ani pisał. Zabrawszy jeszcze raz głos, Ryszard Nienaski począł mówić ostrzej. Wskazywał na grzechy szlachty poznańskiej, litewskiej i ukraińskiej i domagał się poparcia przynajmniej tej sprawy narodowej. Odpowiadano mu również ostrzej, dowodząc, że obfitość taniego robotnika jest dobrodziejstwem dla obywatelstwa danego kraju. Tamując ruch proletaryatu na roboty, tudzież niwecząc za-

robki robotników rolnych w „krajach ościennych“ psuje się ceny, a, co gorsza, przez szerzenie bardzo ładnych z wierzchu, lecz złudnych ideałów, stawia na porządku dziennym kwestyę socyalną tam, gdzie jej — „dzięki Bogu“ — dotąd nie było. Wtedy odezwał się raz jeszcze, że takie pojmowanie i traktowanie tej sprawy zemści się srogo na szlachcie. Gdy ona nie chce rozpatrywać, badać i rozwiązywać kwestyi socyalnej po ludzku, to ta kwestya sama dopomni się tutaj o rozwiązanie. Pocznie walić pięściami, a — oby! nie żelaznym drągiem — we drzwi pałaców i dworów. Wtedy jeden z obecnych, człowiek bardzo poważany dla wieku, mądrości i majątku, odezwał się ze skromnem ostrzeżeniem Nienaskiego, by uważał na siebie również. Kwestya socyalna może i jego, który jej szuka i który ją wywołuje, jak wilka z lasu, pierwszego kłami swymi poszarpać i zmieść z galicyjskiej widowni. Te słowa, które w pierwszej chwili zlekceważył, przypomniały mu rozmowę ze Żłowskim. Pochwycił zadać kłam twierdzeniom owego magnata, wchłaniać w miarę sił pierwiastki biedy polskiej i przeistaczać je w miarę możliwości na żywioł nowej pracy. To zdecydowało o wizycie. Wieczorem w naznaczony czwartek pojechał fiakrem aż do wskazanego miejsca. Z pod bramy odprawił woźnicę i siedł po omacku. Na dole brudnej kanieniczki znalazł szynk zapowiadziany. Obok tego szynku, ciemną sionką szło się na schody. Drogę wskazywała naftowa lampa, której kopeć wymalował na ścianie czarną infule. Z dołu dochodziły tony harmonijki, wrzask pijaków i charkot dziewczek. Nienaski wszedł na

schody i szukał w ciemności drzwi. Poczuł, że w zmroku stoi człowiek. Instynktownie zatrzymał się i czekał przez chwilę. Tamten zcichła zapytał:

— Kto idzie?

— Swój... — rzekł Nienaski wesoło.

Zapewne ręka owego człowieka uchyliła drzwi. Światło padło na schody. Przybysz zobaczył młodego człowieka, który przed nim usunął się i znikł w głębi. Pchnął tedy drzwi i zajrzał do wnętrza. Było to czyjeś mieszkanie. Stało łóżko z pierzynami. Z za drzwi, prowadzących do drugiej izby, słychać było rozmowę. Otwarły się i uchyliły do połowy, lecz nikt się w nich nie ukazał. Nienaski minął pierwszą izbę i stanął na progu drugiej. Było tam siedmiu, czy ośmiu mężczyzn. Jedni z nich stali, drudzy siedzieli na drewnianych krzesłkach. Wszyscy ginęli w gęstym dymie z papierosów. Pod oknem mieściła się wygnieciona kanapa, przed nią stary, okrągły stół, zasypyany popiołem i pełen niedopałków. Żaden z mężczyzn obecnych w tym pokoju nie powitał Nienaskiego, ani się do niego nie zwrócił. Zdawaćby się było mogło, że go wcale nie spostrzegli. On zdjął czapkę i mierzył ich oczyma, przechodząc spojrzeniem z jednego na drugiego. Mieli pozór rzemieślników. Jeden, bardziej wyelegantowany, siedział w kącie, nie zdjawszy kapelusza, którego rondo było zawadyacko spuszczone na dół. Ten palił papierosa, gryząc jego ustnik i systematycznie wypływając na odległość kawałki papieru. Dwaj niepozorni stali obok stołu i od niechcienia przypatrywali się gościowi. Pod oknem, w pozycji skurczonej tkwił od niedawna zna-

jomy, szewczyzna Dąbrowski. Temu Ryszard skinął głową i, ponieważ nikogo tu nie znał prócz niego, rzekł ze swobodą:

— Dobry wieczór, panie Dąbrowski. Otóż przyszedłem. Może mię pan zaznajomi z kolegami.

— A, dobry wieczór! — rzekł tamten z nieszczerą uciechą.

W trakcie tej rozmowy, młody człowiek, którego Nienaski przelotnie dostrzegł na schodach, cichcem zamknął za nim drzwi. Potem zbliżył się do stołu i wykręcił płomień lampy. Nienaski zobaczył jego twarz. Twarz blada, ziemista, z zapadłymi oczami. Gdzież ją był widział? W Paryżu? Przez moment przypominał sobie...

— Ależ to jest lokaj Ogrodyńca! Witold.

Ów młody człowiek spojrział na niego, również bez cienia życzliwości i rzekł:

— Starzy znajomi. Od łoża zacnego dobrodzieja... To pan się nie bał przyjść na zebranie „Mścicieli“?

— Jak pan widzi. Co tu robisz?

— Świadcze przed trybunałami, jak mi nieboszyk nakazał o tych pieniądzach zapisanych. A pan co? Zawsze tak, jak w Paryżu, żeby tylko coś dobrego zrobić tym ubogim, ukochanym rodakom „z nizin“?...

— Żeby tylko otrzeć łzy niedoli... — dodał ten z kąta w kapeluszu, zwracając się nie do Ryszarda, lecz do byłego lokaja Witolda.

— Nie widzę, żebyście panowie mieli łzy w oczach, to też nie wiem, po co te dowcipy — mówił milioner.

— E, bo my są już takie z rodu zatwardziałe...
— szyderczo wyseplenił jeden mały, z blond wąsami, zrudziałymi od dymu papierosów.

— Tak, tak jest, czy owak — do rzeczy! rozkazał Nienaski. — O co chodzi? Dostaję tu papierki. Podpis „Mściciele“. Pieczęć, jak koło od armaty. Żądanie, żebym przyszedł, to tu, to tam. No, więc, przyszedłem. Co jest? — zapytał z krakowska.

Wydobył z kieszeni owe inwitacje i rzucił je na stół.

— Co jest? — my się to samo spytamy, — rzekł ów z kąta, w kapeluszu. — Z czym pan tu przyszedł?

— Z zapytaniem: czy to wy jesteście „Mściciele“?

— No, niby... — mruknęli w kilku.

— A mścić się chcecie na kim i za co?

Starszy nieco człowiek, siedzący wygodnie w rogu kanapy, tęgi z grubym karkiem i wołowemi oczyma, odpowiedział:

— To tam już nie pańska rzecz, tylko nasza!

— Właśnie, że i moja. Tak samo odczuwam krzywdę nędzy, jak i wy!

— A ten automobil, co go pan targowałeś u Walfisza, będzie dwa tygodnie temu, — to i on dla tej nędzarskiej krzywdy? Jaśnie pan nie pamięta, bo i skądże? A ja ta stał wtedy i pokazywał zalety tego auto. Szyk maszyna! Tylko, że gdzież to można spać? Robociarska mordą, — spać to taką fizys?

Nienaski uczuł się niemile pobitym. W istocie na prośbę Xenii, dopytywał się o cenę automobilu,

wraz z nią, w sklepie Walfisza. Targował się o cenę. Stało na kilkunastu tysiącach koron. Teraz, pokonany tym argumentem, zamilkł.

— A te meble stylowe do pokoju jaśnie pani dziedziczki? — mruknął jeden z dwu najbliższych młodzików, mrugając porozumiewawczo na młodego suchotnika.

— To samo przecie i ze mną szła rozmowa o styl tych cacek. Ale spamięta to jaśnie pan wszystkie gęby? — dorzucił tamten.

— E, to drobiazgi! — wtrącił ironicznie ktoś z tyłu, ode drzwi! — Nie trzeba panu dziedzicowi robić przykrości, gdy raczył przyjść z wizytą.

— W jaki to sposób chcecie się na mnie mścić za te moje zbrodnie? — pytał Ryszard już uspokojony.

Z kąta podniósł się rudy jegomość w kapeluszu i, przeciągając się swobodnie, z ziewaniem podszedł do stołu.

— Myśmy chcieli małej rzeczy... — mówił niedbale. — Pan dostałeś we Francyi wielki spadek. Tak, czy nie?

— Dostałem.

— Od obcego człowieka. Tak, czy nie?

— No niby tak.

— My nie wchodzimy w szczegóły, jak to tam było...

— Bo to i lepiej dla was w każdym razie.

— Ale się było wtedy w Paryżu i różne się tam rzeczy słyszało.

— Mówię, jak do ludzi uczciwych, nie jak do

sądu, bo do sądenia mnie nie macie żadnego prawa. Jest tu świadek, lokaj zapisodawcy, ten oto Witold. Niech zaświadczy.

— On tu już świadczył. My go już przesłuchali.

— No, to dosyć już o tej sprawie i w takim tonie! Gadać o tem w mojej obecności nie wolno! A który się odezwie, temu łeb rozwalę!

— Co to za mowa! Jaki ton! Wszystko z tego odczuwania nędzarskiej krzywdy...

— Nie odpowiadam na to. Co dalej.

— Tyle dalej: my tu oto zebrani, komitet partii, chcieli my grzecznie prosić o jakąś część tego spadku.

— A z jakiej racji?

— Z jakiej racji?

— Z tej samej, co i pan. Paneś dostał ten spadek bez racji — cały. My chcemy dostać z tego część — dla wszystkich.

— Na tę naszą, mówię, partję, na ludzie głodne, bez kawałka chleba.

— Co macie zamiar robić z pieniędzmi, których chcecie ode mnie?

— Na partję, mówię!

— „Na partję“ — to znaczy, na co?

— Partja będzie wiedziała, na co. Prywatnie mogę wyjaśnić, — żeby ludzie w naszych oczach głodową śmiercią nie marli, — na to, żeby temu lub owemu dać na buty, jeśli w zimie bosi, — na portki jeśli ich, — czego Boże broń! — nie ma, — na obiad, jeśli tydzień nie jadł, — na to, psia jego mać, cygaro za centa, jeśli ogarki zbiera po rystokach, — na apty-

kę, jeśli ta już charcze i kipi, a drugim spać w norze nie daje. No! Skąd partja ma brać? No, skąd? Jak nie od pana, coś darmo zgarnął tyli majątek. Ja, skończyłem... — dodał z gestem krasomówczym.

— To chcecie być towarzystwem dobroczynności?

— A pan chciałbyś sam obstać za wszystkie towarzystwa?

Ów tęgi z kanapy przerwał dyalog ważkiem oświadczeniem:

— Spory do ciorta! Tak, — albo nie?

Nienaski zwrócił się twarzą do tego i rzekł twardo:

— Nie!

Towarzystwo rozejrzało się pilnie po sobie. Pokiwali głowami. Ten i ów zakaszłał. Lokaj Witold głośno ziewnął. Młody człowiek, stojący obok Nienaskiego, zajrzał mu głęboko w oczy omdlałemi źrenicami. Drugi, jego towarzysz, poświstywał przez zęby. Ryszard rzekł do ostatniego:

— Nie świszcz pan teraz, bo tu rozmowa poważna, nie szynk!

Ten dziwnie przegiął się cały, jak piskorz, czy miętus, w kierunku owego w kapeluszu mówcy. Mruknął:

— Słyszysz ty, Rudolf?...

— No, no... — uspokoił go tamten, poważnie kiwając ręką.

— Mówię do was tak... — zaczął Nienaski. — I pieniędzy na rzeczy nieokreślone, wam, ludziom zgola mi nieznanym, nie dam, bo to są pieniądze nie moje, lecz publiczne.

— A ten automobil od Walfisza, to prywatny,

czy publiczny? — wykrzyknął ktoś z istnych kłębów dymu.

— Ten automobil będzie mój, jeśli go kupię. I z niego zdam rachunek, ale nie przed wami!

— Przed sobą... — roześmiał się Rudolf.

— Przed całym „ludem“... — poprawił tego Rudolfa lokaj Witold.

— No, już ci nie przed tobą, rzetelny świadku! — ciął go Nienaski bezlitośnie ostrem słowem.

— Przed jaśnie panią! — odparował tamten.

Nienaski przez chwilę dusił w sobie odruch, później gwałtowną odpowiedź.

Ciągnął spokojnie:

— Tworzę za odziedziczone pieniądze kopalnie, kupuję maszyny, zakładam kolejki, buduję domy, składy, prowadzę szosy. Kto niema pracy i żyje w nędzy, niechże przychodzi. Dostanie pracę, zarobek większy, niż gdziekolwiek, największy, na jaki starczy tych odziedziczonych pieniędzy. Zarobi sam i wejdzie w koło właścicieli tych kopalń. Zakładam roboty publiczne. Tego przecie żądał wasz nauczyciel i mistrz, sam Żłowski. — Głodny jesteś i biedny, — chodź i pracuj, odziej się i jedź!

— To ja rzucę kopyta i pójdę węgiel w ziemi kopać? — wrzasnął z dziką furją szewc Dąbrowski.

— Ci, co teraz boso chodzą, zarobiwszy na buty, obstalują je u pana po dwie pary. W kopalni zarobią, a pan nie nastarczysz z robotą!

— Socyolog z pana i dobrodziej! Buty ludziom wdziewa na bosc nogi... — śmiał się ów Rudolf.

— Pewnie, że większy, niż z pana, który nic nie

wiesz a nikogo nie umiesz uszanować, nawet własnego sztabu i siedzisz w czasie narady w kapeluszu, jakbyś był w szynkowni.

— Ja nie zdejmuję mego kapelusza przed nikim na świecie. „Kein Herr weder Gott“.

Nienaski machnął wzgardliwie ręką. Mówił:

— Są tu w zagłębiu krakowskiem niezmiernie pokłady węgla. Słyszycie! Pokolenia może wyżywić ten dar Boga dla nas! Ale trzeba go wykopać. Cały lud polski, który teraz płynie na służbę do Niemców, do Francuzów, do Duńczyków, sto tysięcy z Galicyi, trzysta tysięcy z Królestwa rok w rok, — a który tutaj, jak mówicie, i co jest prawda, głodem przyмира, — te kopalnie i fabryki, co przy kopalniach niechybnie powstaną, — mogą wyżywić, przyodziać, zabezpieczyć na starość. Musi być podjęta praca około tworzenia kopalni! Ale pomyślcie, ile potrzeba pieniędzy na takie dzieło! Na bicie szybów, budowę i maszyny — Wesprzyjcie mnie swą pomocą, wy dzielni ludzie, którzy czujecie krzywdę żywiej, niż inni, którzy zapragnęliście być „Mścicielami“ tej krzywdy!

— Pan masz talent — drwił Rudolf — panu się patrzy posada pierwszego rezonera w teatrze, albo wodza liberałów w sejmie.

— Nie tylko tyle — ciągnął Nienaski, bez zwrócenia na te słowa uwagi, — bo pomyślcie, że my szybciej ze sobą złączymy, że się zejdziemy z Dąbrową Górniczą i ze Śląskiem. Stworzymy tu ośrodek nieprzemysłowej potęgi. Całe to zagłębie, poprzewiercane szybami kopalń, oddam na własność pracownikom. Tu pod murami starego Krakowa...

— Ja się pytam, — wtrącił tęgi mężczyzna z kanapy, — to nic z naszej propozycji?

— Z tego, żebym wam, ludziom niewiadomym, na łapę po prostu, a może na pohulanke, dawał pieniądze — nie! Na leczenie chorych dam, ale do ich kasy, lub honorarya lekarzom...

— A za automobil? Za ten stargowany na ośmnaście tysięcy? Z jakich pieniędzy pójdzie to kupno?

Nienaski umilkł zmiażdżony. Ktoś z pod okna zawołał:

— No, jazda dalej, o tych „publicznych pieniądzech“!

— Ze wszystkiem taka prawda, jak z tem. Ko-palnie robotnikom daruje, a nie może darować części skarbu, co go nie zarobił, ino dostał...

— Wyszachrował...

— Burżuj zawsze ci twierdzi, że te pieniądze, co je z nas zdarł, to są jakieś narodowe albo publiczne.

— Niemiec, czy Francuz, Żyd, czy Polak — zawsze to samo łgarstwo!

— Czyje to były te pieniądze za automobil!

Nienaski krzyknął:

— Oddam te pieniądze z moich zarobków! Zarabiam, jako budowniczy! W sumieniu jestem czysty.

— Zarabia, mójże pracownik!

— Ręce ma zwalane krzywdą!

— Na partyę tę ośmnaście tysięcy!

— Oddawać, bo to skradzione!

— Na partyę! — ryczeli wszyscy.

— Dawać je na stół!

— Żywo!

— No!

— Dawać!

— Pod karą! Psiakrew!

— Pod srogą karą!

— Pod karą!

Nienaski włożył kapelusz na głowę i zawołał:

— Sądziecie, że mię tu wrzaskiem i zniewagami weźmiecie? Myślałem, że idę na zgromadzenie ludzi pracy i idei, a trafiłem w pułapkę. To też wychodzę!

Tęgi mężczyzna z kanapy porwał się ze swego wygodnego miejsca i poprzez stół nachylił się do niego z krzykiem:

— Nie potrzebujemy pańskich pięknych idei, ani obietnic, ani deklamacyi, ani pieniędzy! My demokratów takich i owakich, socjalów i anarchów mamy dość. Szesnaście tysięcy koron na stół!

— Już tylko szesnaście?

— Słyszałeś pan?

— Słyszałem. Nie dostaniecie ani jednego centa! Skoro nie potrzebujecie idei, tylko pieniędzy, wiem, kto jesteście!

Nastała znowu cisza. Nienaski spojrzął po twarzach i zobaczył we wszystkich oczach wyraz niedobry. Pożałował wypowiedzianych ostrych słów. Uczuł, że zachodzą mu z tyłu. Odwrócił się i rzekł:

— Przyszedłem tu bez pieniędzy. Niema co!

— Zobaczymy! — krzyknął lokaj Witold, chwytając go za klapy surduta. Tęgo pchnął od siebie tak potężnie, że tamten aż jęknął na najbliższej ścianie. Zarazem dopadł drzwi i szarpnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Pchnął je z całej mocy, lecz nie ustąpiły.

— Po dobroci... — szepnął do niego życzliwie blady młokos z podkrążonemi oczyma. — Powiedzże pan, że przysiesz, albo przyniesiesz...

— Nic nie dam! Ani jednego centa! — krzyczał w furi.

Ow szewc Dąbrowski skakał od jednego z konspiratorów do drugiego, coś szepcąc, gadając, wykrzykując. Wreszcie przybiegł w skok do drzwi i otworzył je. Nienaski wypadł do pierwszej izby. Za nim krok w krok szedł ten w kapeluszu, zwany Rudolfem, i chudy ze smętnemi oczyma. Rudolf w ciemnej izbie chwycił Nienaskiego za rękę i piersi. Napastowany trzasnął go między oczy. W tejże samej chwili Dąbrowski, miotając się w istnym szale między nimi, otworzył drugie drzwi, prowadzące na schody i wypchnął Ryszarda w ciemność, szepcąc doń w napadzie strachu:

— Człowieku! Umykaj!

Nienaski stracił orientację co do miejsca. Potknął się na schodach i zleciał z pierwszej kondygnacji aż na platformę. Na górze rozlegał się wściekły wrzask, szarpanie się ludzi. Słyszać było przeraźliwy płacz szewca Dąbrowskiego, który wył:

— Nie puszczę, towarzyszu! Nie puszczę!

Dały się słyszeć razy bezlitosnego bicia w pysk, kopanie nogami, i Dąbrowski spadł ze schodów, jęcząc i stękając. Potrąciwszy Ryszarda w ciemności, znalazł nań całym ciałem, poznał i w szlochach, w trwodze znowu wyjęczał:

— A dy umykaj, człowieku! Umykaj! Umykaj!

W tym głosie było ostrzeżenie ostateczne i nie-

omyślne. To też Nienaski zbiegł z drugiej pochyłości schodów, minął smrodliwą sień i poczuł płucami powietrze. Puścił się w długie podwórze, oświetlone daleko, w połowie odległości od bramy latarnią naftową, umieszczoną na słupie. Gdy był w kręgu światła tej latarni, drgnął od nagłego huku — i od czegoś niepojętego, co się z nim stało. Przywidziało mu się, że to ten szewc Dąbrowski teraz go w plecy drągiem, czy kamieniem potrącił. Ale wokół była pustka. Nikogo! Dał się słyszeć drugi huk — ale już jakby w oddaleniu. W tejże chwili — przeraźliwe uczucie braku tchu... Nie mógł zrozumieć, co to? Łapał rękami powietrze i z ciężkim trudem szedł do bramy. Była równa droga, a włókł się ni to pod górę, na pionową ścianę. Widział już wrota, a nie był w stanie dojść! Zachwiała się, poczęła wahać i kołysać się ziemia pod nogami. Naraz z ust — woda jakaś — czy co? Zatknał sobie usta i wtedy domyślił się gorzko:

— A... krew...

Spłoszona przeleciała myśl:

— Xenia się przestraszy...

Po chwili zdziwiło go, że już nie idzie, lecz leży na boku i że ta ciepła krew wciąż tak łagodnie odchodzi ustami. Obtarł się chustką — i jakoś ustała.

— Nic ważnego... — pomyślał.

Postanowił odpocząć tak chwilę i formalnie bał się, że w powalaniem ubraniu wróci do domu. Tak nie lubiła, gdy był zabrudzony pyłem węglowym — a cóż dopiero cuchnącem błotem tego podwórza. Wtem szepty, gwar, chlupanie nóg w błocie. Kilku

ludzi obskoczyło go. Dźwignęli mu głowę, posadzili w tem błocie. Jeden z nich rozerwał rękami jego surdut i szukał w kieszeniach. Łapy drugiego powyrywały zewsząd różne papiery. Odór wódki z gęby tego człowieka... Śmiech, że się tak zawiodą, bo tam nic niema. Szkoda tylko najładniejszej z fotografii Xenii... Znowu go zaczęli szarpać, szukając w kieszeniach spodni, w kamizelce, nawet za gorsem koszuli. Wtem — porwali go w kilku za nogi, w pasie i za głowę. Nieśli szybko, dysząc z trudem, swarząc się o coś w gwałcie, gadając jeden przez drugiego. Nic nie rozumiał, co oni robią, dokąd go — u licha! niosą, a niosą. Minęli rozwaloną bramę i biegli, biegli coraz prędzej. Wreszcie poczęli go huścić w powietrzu, raz, dwa, trzy... Przerazenie, przerazenie, które się w żadnem nie zmieści słowie! Ciemność w oczach i ścinające krew zimno! Ból. Woda wokoło. Przez mózg przewinęła się okropna myśl: — Wisła... Zanurzył się. Woda pogarnęła go i leniwie poniosła. Czuł, że się nogami wlecze, a kadłubem ciała czołga po błotnistem dnie, że zapada coraz głębiej i tonie, a nie miał siły podźwignąć się z tego upadku. Lecz zimno i chlustanie fali nurtu po twarzy cucilo go z bezsily. Dotarł do jakiejś grzązkiej ławicy błotnej i piaszczystej. Usiadł tam po pachy w wodzie. Dźwignął się z trudem i, popędzany od zimna, zaczął brnąć na czworakach popod brzeg pochyły, pełen śmieci, które się pod ciężarem obrywały i w dół waliły. Instynktownie, dla ulżenia sobie trudu, pełzał w ukos wybrzeża po coraz bardziej kostropatych i cuchnących brudach. Zimno go trzęsło. Brak tchu obalał na

ziemię, nosem w te kały. To też nieopisanie długo trwało to czołganie się, ta zawzięta i śmiertelna walka z brzegiem rzeki. Były to wysiłki ślepe, nie dyktowane przez rozmysł. Czemu wykonał ruchy takie, a nie inne, jakim sposobem zdołał wybrnąć? Jedyne, co w nim jeszcze było wolą świadomą, to pragnienie ujrzenia Xenii. Poza tem ślepa trwoga przed zimną, cicho szemrzącą wodą... Pot ciepły, wciąż płynący nietylko po plecach, lecz i po nogach nasunął uboczną myśl: — czyżby to nie pot? czyżby krew? Był już wtedy na miejscu równem. Wstał na nogi i powłókł się przed siebie. Daleko świeciła się latarnia. Od niej padała smuga blasku na ruchomą wodę Wisły. Bał się iść do tej latarni, ale rozumiał, że tam jest ulica i że tam właśnie zdążać trzeba. Macając rękami w przestrzeni, trafiał wciąż na deski parkanu. To oparcie pomagało mu w pochodzie. Lecz parkan urwał się, tworząc ciemną wyrwę ulicy. Nienaski rzucił się w tę czarną czeluść. Zaczął sunąć szybko, coraz szybciej, biedz. Było pusto. Nikogo! Od szybkiego ruchu znowu z ust ta krew! Nie zwracał na to uwagi. Szeptał wciąż w obląkaniu swoim: — Ratuj! Xenia! Ratuj!

Straszliwa, bezdenna, nieprzemierzona była nie- skończoność ulicy, wygrozdzonej ślepych parkanami! Paniczny popłoch w sercu, że go znowu spostrzegą, chwycą na ręce i rzucą w pędzącą wodę Wisły, dodawał sił. Biegł, charkając krwią raz za razem, coraz częściej. Z nosa kapąły ogromne, niepowstrzymane krople. Stawał tylko wtedy, gdy poczynano łać się ciurkiem i chleptać w gardzieli. Znowu latarnia.

Róg innej ulicy. Bruk. Zdala kroki... Człowiek! Żyd w długim chałacie. Nienaski zawołał:

— Na pomoc! Na pomoc!

Człowiek ów przysunął się ostrożnie pod latarnię. Zeszli się tam. Lecz ujrzawszy Ryszarda, całego we krwi, żyd uciekł. Znikł, jak ciemne widmo. Znowu tedy droga w samotności brukowaną już ulicą. Znowu nikogo! Nikogo! Bał się wołać, że tamci usłyszą mściciele. Więc tylko podwajał kroku. Straszliwemi zmazami pot spływał po jego plecach, oblepiał pas i węzem gorącym sunął po nogach. Wdali widać było szeroką ulicę — światła... Trafiały się już murowane domy. Dzwonił do bram tych domów, z całej siły szarpiąc dzwonki. Kołatał w zamknięte okiennice. Wołał o pomoc. Lecz ani jedna brama nie otwierała się, nie uchyliło żadne okno. Brocząc krwią coraz obficie, dowlókl się do wylotu owej szerokiej ulicy. Jakiś wóz znagła wyjechał z zaułka. Nienaski poskoczył na jego spotkanie, wołając:

— Ratuj! Człowieku! Ratuj!

Był to wóz prosty, z obalonemi gnojnicami, na których siedział człowiek zgarbiony. Konie przystały. Woźnica zlął na ziemię i spytał z trwogą:

— Cóż to ta?

— Na Boga! Ratuj! Zbóje mię poranili. Odwieź! Ratuj!

Powtarzał raz wraz nazwę ulicy i numer domu, swe nazwisko i nazwę ulicy, wielokroć i natarczywie, — już czując, że go tamten wziął na ręce iłożył między gnojowe deski, które szybkim ruchem ustawił między kłonicami. Zbawca ów pognał konie,

zrazu wolno, a potem w cwał. Głowa Ryszarda latała, jak kamień, tłukąc się o deski. Tracił i odyskiwał przytomność. Widział to nieskończoność gwiazd w czarnem niebie, to wielobarwne kręgi w głębi swej głowy, to wreszcie błyski zdziwienia nad tą szczególniejszą zmwą wydarzeń. Krew z wozu bryzgała na prawo i lewo. Wóz pędził długo, nieskończenie długo. Wreszcie stanął. Wielki ów czarny parobek wziął Nienaskiego na ręce i zaniósł pod bramę domu. Tam go postawił przy dzwonku, coś mówiąc niezrozumiale z wielkiego strachu. Obadwaj dzwonili do tej bramy, ze wszech sił przyciskając krążek dzwonka. Wreszcie strwożony ów człowiek obalił swe gnojnice, wsiadł na przodek wozu, zaciął konie i uciekł w noc galopem, co siły w szkapach. Teraz Ryszard dzwonił sam do swego mieszkania, które miało połączenie elektryczne z bramą wejściową. Cekał, jęcząc i drżąc na całym ciele. Upadał i powstawał. Rozległo się nareszcie kołatanie i drzwi się otwały. Wszedł do swej sieni i począł wstępować na schody, które rozświetliła lampka elektryczna. Szedł ze stopnia na stopień, nie mogąc udźwignąć ciała, długo, bez końca. Nareszcie drzwi. Słyszał było głos Xenii w korytarzu:

— To ładnie o takiej porze wracać do domu? Budzić wszystkich? A ślicznie, mój panie, a ślicznie!

Chciał zawołać, lecz nie miał głosu. Bezwładnie siadł na własnych nogach. Za chwilę uderzył czołem w te półotwarte drzwi swego szczęścia. Ocucił go krzyk. Krzyk! Przerażliwy płacz! Dźwignęła go. Jak kłoc ściętego drzewa, niemocnymi rękami ciągnęła na siłę poprzez korytarz, niosła w ramionach.

Rozwarła nogami drzwi do uroczej swojej sypialni i dotaszczyła go na łóżko. Na jej straszliwy krzyk przybiegła służąca i wnet leciała na miasto, szukać pomocy.

Ryszard niewiele już wiedział. Krew jego zalewała ziemię i całe łóżko. Nic go to nie obchodziło, tylko prosił, żeby się nie gniewała. Nieopisane czuł szczęście na widok Xenii. Chciał jej wszystko powiedzieć... Ta krew z ust jakości nacichła, gdy na wznak leżał. W nosie zasychało. Ciężar tylko bezmierny, istne kowadło na piersiach. Xenia upadła przy łóżku. Jej włosy taplały się w mokrych zalewiskach i kałużach krwi na atłasie koldry. Całe jej ręce były czerwone. Biła głową o metalową poręcz łóża szczęścia.

W korytarzu zduszony męski głos. Wtargnął do pokoju wysoki mężczyzna. W drodze zrzucał z ramion paltot, surdut, kamizelkę i ciskał służącej. Na gwałt odwijął rękawy koszuli. Obydwoje z Xenią poczęli ściągać z Ryszarda mokre do nitki ubranie. Lekarz rozkazywał. Ona biegała, w skok podając, co kazał. Miednicę z wodą, nożyczki. Dawała bieliznę na pasy płócienne. Ściągnęli wreszcie, pociąwszy na szmaty, odzienie i bieliznę z Ryszarda. Leżał nagi. Znaleźli dziurę od kuli powyżej i z boku łopatki, drugą nisko, między żebrami. Zawiązywali te rany bandażami. Krew z ust przestała płynąć. Lekarz coś szepnął. Xenia przypadła ustami do zwieszanej ręki męża... Przyszedł drugi lekarz, wiekowy. Później jeszcze trzeci. W korytarzu wszczął się gwar. Ludzie. Pełno ludzi. Twarze we drzwiach, głowy

znajome, przyjaciele, inżynierowie, technicy... Jęk wśród nich. Szept żalu. Radość w sercu chorego: tylu dobrych ludzi na świecie! Tylu przyjaciół! Już nie jest sam. Już nie w tej wodzie. Nie na tym brzegu. Nie wśród tamtych, lecz wśród tych. W ramionach Xenii. Dziękował Bogu z głębi swego serca. Szczęśliwy go ogarniał sen. Cichy sen. Wleli mu coś w usta. Pozwolili spać. Wszyscy wyszli, oprócz niej, która klęczała obok łóżka. Och, jakaż cisza i radość w sercu głośno bijącym! Sen był niedługi. Przeistoczył się w ocknienie, pełne przeraźliwej boleści ducha i niewysłowionej jasności pojmowania. Ryszard namacał ręką włosy Xenii i przyciągnął ją ku sobie. Przychyliła usta do jego ust i słuchała, gdy jej mówił w straszliwym swoim natchnieniu:

— Ja umieram...

Usłyszał pisk jej boleści, ale go to nie wzruszyło. Mówił do niej spokojnie, rozkazująco:

— Słuchaj! Jeżelibyś chciała po mojej śmierci w życie lekkomyślne popaść, w brud, w rozpustę duszy, — przyjdę po ciebie i zabiorę cię. Słyszysz to?

— Słyszę!

— Chcesz, żeby tak?

— Chcę!

— Sama chcesz?

— Sama! Jeśli się stanę podła, tak chcę! Przyjdź po mnie i zabierz!

— Pamiętaj!

Przez chwilę milczał. Późem znowu rzekł z trudem:

— Teraz daj papier i ołówek! Prędko!

Nie było na czem pisać, a chciał co tchu. Kazał ruchem, żeby podała jakąś tekę i podstawiała dłonie. Na jej rękach położył tekę, papier. Zaczął pisać na arkuszu testament. Spieszył się strasznie, przekreślał, poprawiał. Zapisywał cały ów majątek krajowi — kapitały, tereny, maszyny, kopalnie — wszystko. Wymieniał egzekutorów testamentu, którzy mają być przez kraj wybrani do rady zarządzającej, więc Brus i jakiś drugi z Warszawy, ludzie z Galicyi, których nazwiska dla szybkości początkowemi oznaczał literami, — jej mówiąc, co która znaczy, — przekreślał, mazał, mylił się, przypominał...

Wtem ołówek wyleciał z jego ręki. Kazał ruchem oczu wołać świadków do tego testamentu. Ale głowa odwaliła się na bok. Cienka, żwawa struga krwi potoczyła się z nosa. Usta dowlokły się do ręki Xenii, wyszeptując z trudem, w ostatnim szlochu:

— Kocham cię...

Powieki nagle się rozchyliły, i oczy z nieopisaną boleścią napawały się widokiem ukochanej twarzy. Jeszcze raz drgnęły wargi od szeptu, pełnego straszliwej rozpacz, który tylko ona rozumiała:

— Pamiętaj!

A później jakaś głęboka zaduma przyćmiła twarz.

Lekarze otwarli drzwi i zbliżyli się cicho, już po to tylko, żeby stwierdzić skon. Przyjaciele podźwignęli z ziemi małżonkę zmarłego. Spojrzała na martwe oczy kochanka, i krzyk straszliwy wypadł z jej piersi, krzyk, który, zdawało się, rozdarł ten dom na dwoje, — świat i niebiosa.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Dopiero po upływie roku od śmierci Ryszarda Nienaskiego, wdowa po nim wracać zaczęła do świata. Przez cały ten czas żyła w jakimś zaćmieniu duszy, w głębokim smutku, który, zapewne, byłby strawił mniej oporny i silny organizm. Mówi się „zaćmienie duszy“, albo „smutek“ — wyrazy, które wcale nie tłómaczą procesów, zająć i zjawisk. Nadaremnieby również za pomocą innych wyrazów i określeń usiłować odtworzyć ten kobiecy żal po stracie. Prawdziwie, Xenii Nienaskiej nic nie mogło pocieszyć. Wyjechała z Krakowa, zaraz po pogrzebie, na wieś, do zapadłej wioski nad Wisłokiem i tam, we dworze, u krewnych ojca, spędziła zimę. Co tam robiła? Czem żyła? „Tęskniła za Ryszardem“ — oto wszystko, co można powiedzieć. Zimową porą częstokroć wymykała się w pola i, biegnąc po zagonach ledwie przydętych, wołała go po imieniu, coś mu przyobiecując w nagrodę za przybycie, jakby jeszcze był na świecie. Czasami znowu prosiła, żeby zaprządz konie i jechać saniami po drożynach, których nie знаła, ale tylko po takich, których nie znała...

Zazwyczaj o zmroku chwycił ją smutek najzacieklejszy. Wtedy uchodziła do kuchni, siadała między

dziewczynami wiejskimi, które się tam schodziły, — wśród pokojówek i dwórek, żeby chciwie słuchać bajek, klechd, bzdur, powieści o strachach, zmorach, strzygach, widzeniach, snach, — podać o zatopionych miastach, o królewnach i zamkach na szklanej górze, o napadach zbójów po nocy, o wielkich woj-skach i strasznych bitwach, — gawęd o dyablach i czarownikach, o widziadłach i przeczuciach. Słuchając tych baśni, przepatrywała obrazy, figury i wizerunki męczarni, boleści, tęsknot, cierpień miłosnych i śle-pych przedsionków śmierci, które przeżywał w ciągu wieków lud bezimienny. Za dnia, u siebie w pokoiku, zamknięta na klucz, najczęściej chodziła z kąta w kąt, nucąc samej sobie jakąś pieśń bez początku i końca...

Dużo tam żyła, cerowała, prasowała, robiła w domu z innymi. Ale wiedzieli wszyscy, którzy ją tak lubili, prości i z państwa, że cała owa robotność jest z wierzchu, że wewnątrz toczy ją skir niezgojony. I mówili wiejscy ludzie, co ją dawniejszym czasem tak radzi widzieli między sobą, z prostacką prawdómównością jej samej prosto w oczy szczere życzenie: — żeby już tego chłopca zaponiała, żeby jej już raz wyciekł z serca ów żal zgniły... Ale dodawali wraz życzenie drugie, podspodnie: żeby go zaś całkiem nie przepominała, bo, widać, było w nim coś samo dobre, samo trwałe, skoro go tak nie może wytchnąć.

W tym czasie jej wdowieństwa kopalnie działały dalej swoim porządkiem, a nawet otwierano nowe, gdyż na pokrycie kosztów inwestycji i produkcji były jeszcze nietknięte w bankach fundusze, na imię Ryszarda Nienaskiego złożone. Inżynierowie i tech-

nicy poszczególnych działów pracowali dalej. Prowadzenia ogółu sprawy w imieniu i zastępstwie wdowy podjął się skwapliwie jej ojciec, pan Granowski. Brał walory z banków i przekazywał je zarządom kopalnianym, jeździł do córki i zdawał jej o wszystkim sprawę, był tedy niejako łącznikiem i nieodzownem ogniwnem tego wielkiego dzieła.

Córka powtarzała mu wciąż jedno — o testamencie. Wydobywała ów testament ze srebrnego woreczka i pokazywała — arkusz zakrwawionego papieru, gdzie ołówkiem, niezrozumiałymi kulfonami coś było nabazgrane, gdzie wyrazy zalane zostały przez strugi łez i wielkie krople krwi. Odczytywała tekst głosem surowym, niezłomnym, nakazującym, dodając, że wszystko tak ma być, jak napisał, — ani jedna jota, ani jedna kreska nie może być zmieniona! Groziła, że jeśli tak zaraz wdrożone nie będzie, jak rozkazał, to ona sama idzie do urzędów, władz, biur, do sejmu, wszędzie, gdzie należy, i sama w głos oświadczy, co w testamencie powiedziano. Majątek cały należy do kraju. Egzekutorami są ci a ci i mają prawo być wybrani do rady zarządzającej. Wymieniała nazwiska, tłómacząc te, które były oznaczone tylko literami, żeby ojciec wiedział, zapamiętał i podał, gdyby umarła, albo oszalała. Nie bolało jej nawet to, że też o niej Ryszard tak zupełnie w tym testamencie zapomnieli. Ani centa! Ale dodawała wraz, że taki był, jej rycerz, więc ma być uszanowana jego wola. Gdy o tych sprawach mówiła, zjawiał się na jej twarzy uśmiech obłąkany, niewymowny, jak gdyby patrzyła w oczy konającego małżonka i głos jego

słyszała, który w jej usta upływa, zacichając na wieki.

Stary pan Granowski nie przeczył, ani protestował. Ani jednym słoweczkiem, ani najłżejszym gestem. On tylko przezornie odwlekał chwilę zgłoszenia do władz testamentu aż do czasu zupełnego uspokojenia się Xenii. Wielokrotnie oglądał już i badał ów „testament“ i stwierdził, że to jest mazanina bez wartości i znaczenia. To też, pozostawiając w ręku Xenii ową szmatę, gromadził w swym portfelu dokumenty wyraźniejsze, jak testament Ogrodyńca, akt ślubu i prawnego złączenia Nienaskiego z Xenią, akty prawne nabycia terenów węglowych na imię swego zięcia, koncesye i dzierżawy powierzchni gruntów, zajętych przez kopalnie, a nadewszystko książki czekowe. Oprócz tego starszy pan pilnie doglądał gromadzenia się i samych walorów, czystych zysków, o ile były, — na wszelki wypadek. Rozumował w ten sposób, że skoro ten pocziwy fiksat, który bez bronichodził do szantażystów, ażeby ich „przekonywać“ — nieboszczyk Ryszard — nic nie zapisał żonie w wyrażonym akcie, to obowiązkiem jego, ojca, i to najważniejszym, jest troska o zabezpieczenie losu tego rozżalonego dziś dziecka. Cokolwiekby tam miało być skutkiem owego zapisu przedśmiertnego, pan Granowski zaokrąglął sumy i to nie byle jakie. Nosił je przy sobie i pilnował, jak oka w głowie. Któż mógł wiedzieć, co wyniknie?... Znał przecie życie...

Cdy przyjeżdżał w odwiedzinach do Xenii, był łagodny i na wszystko, co tam gwarzyła, zgadzał się bez protestu. Razem sobie popłakiwali. Ona szczerze,

on fałszywie. Ta jego łagodność i prawdziwa dobrotliwość obudziła w sercu Xenii płomień dawnej czynnej i żywej dla ojca miłości. Stary pan spostrzegł i poczytywał za dobry ten objaw, za znak przebudzenia się duszy w biednej, a tak ślicznej wdówce. Tymczasem było przeciwnie. W niej właśnie wrzała szalona walka dwu miłości, do ojca i do zmarłego. Te dwa uczucia mocowały się w obrębie jej jestestwa, jak gdyby w templum zamkniętem. Doskonale rozumiała, czego chce i dokąd zdąża ojciec. Patrzyło to z jego oczu. Wiedziała również, czego się od niej domaga Ryszard.

Drżało jej serce od wspomnień na ostatnie jego zakłęcia. Była jak gdyby widzem, — gdy w niej samej, w jej wnętrzu szła miłość na miłość, gdy się ciskały na się, zwierzały i biły w jej sercu. Chyliła się to tu, to tam. Ojca kochała starą, wrodzoną, niepojętą czią. On — to była przecie ona sama. Wsączył w nią wszystkie swe uczucia, chcenia, pasye, pojęcia rzeczy, ludzi, piękna, ponęt, świata. Lecz ten drugi, zdobywca, wdarł się w nią z miłością drugą, z jej niewysłowionem pięknem, które tak polubiła, — z dumą swoich uczynków, której widok ją zachwycał aż do szału, choć mu tego nigdy, zgodnie ze swą naturą, nie wyznała. Teraz broniła go w sercu swem przed ojcem, to znaczy, przed sobą. Bo już go nie było na ziemi, a ona stała się teraz na ziemi jego instancją, wyobrazicielką, zastępczynią, jak gdyby samym nim. Tak to się w niej umarły zataił wszystek. Walczył ze wszystkiem, co było z ojca. Pan Granowski, mimo przeblysków polepszenia, nie mógł dostrzedz rekonwalescencyi na dobre w usposobieniach Xenii, nie

widział końca tej nudzącej go melancholii beztreściwej, tej — „nienaszczyzny“...

Postanowił tedy jakoś radzić. Wydało mu się, że najlepiej będzie dążyć do ocknienia w niej kobiety, zmysłów, żądy życia. Widział, że sam takiej kuracji nie potrafi przeprowadzić, tembardziej, że się zaangażował w owo oplakiwanie zmarłego, dla pozyskania władzy nad sercem córki. Trudno było teraz wystąpić w innej roli. Któż wie, czyby wszystkiego nie zepsuł? Wezwał tedy do pomocy dawne przyjaciółki Xenii, jej protektorki i mistrzyni — panie Topolewską i Żwirską. Przybyły najchętniej, tem skwapliwiej, że przecie teraz Granowscy de Granno to pachniały milionami. Pole się otwierało olbrzymie przy tak wielkim majątku, a „draba“ nadzianego moralami i komunakami wcale już na świecie nie było. Gdy Xenia po raz pierwszy zobaczyła panią Lentę w cichym dworze nadwislockim, skinęła jej tylko głową, zamknęła drzwi do swego pokoiku i nie wyszła do stołu. Lecz te panie umiały rzecz prowadzić. Nie przeciwiły się „chorej“. Czekały, kołując zdala. Chodziło im przecie tylko o rozweselenie żałośnicy. Pani Sabina puściła się na wszelkie sposoby, żeby ją rozerwać. Więc przedewszystkiem anegdotki, opowiadania przy stole, niby nie jej, tylko wszystkim, szczególnie o żydach, z bajecznem naśladowaniem żargonu, najnowsze „kawały“ niewinne i wesołe, wprost niezwalczone. Gdy cały stół i służba za drzwiami, domownicy i goście, pokładali się od śmiechu, i Xenia roześmiała się kilkakrotnie. Wprawdzie po tem było jej jeszcze gorzej, ale wyłom był już zrobiony. Potem

poszły różne wieści ze świata mody, literatury, teatru, z polityki i publicystyki, których przecie nie podobna było nie słuchać.

Pani Lenta przywozła swe biżuterie, rzeczy cudne. Kładła je na się od niechcenia, idąc do wspólnego obiadu, albo na czas poobiedniej rozmowy w salonie, przy gościach. Miała chyba po temu prawo, skoro te rzeczy posiadała. Czyniła to dla swej satysfakcji, bo w Posusze — któż je mógł widzieć i ocenić? Kilkakroć oczy Xenii spoczywały z lubością na tych ślicznych precyozach, które wszyscy admirowali. Jednak rezultatem tego zainteresowania się była prośba o sprzedanie w mieście jedyne go jej pierścionka pamiątkowego, który miała od Ryszarda. Powiedziała, że za te pieniądze będzie teraz żyła, dopóki nie ozdowie na dobre i nie dostanie płatnej posady, kędyś tam w biurze przy kopalni „Xenia“.

Z nadejściem lata, podmówiony przez panie Lentę i Sabinę, lekarz z miasta doradził Xenii, żeby wyjechała z tego miejsca w jakieś zupełnie nieznanie, na przykład do miejscowości położonych z tamtej, południowej, węgierskiej strony Tatr, do Tatrzańskiej, nad Szczyrbskie jezioro, do Szmeksu albo Seplaka. Radził także, ażeby się starała chodzić w tateczne góry, bawić się choć trochę, choć czasem. Pani Sabina i pani Lenta знаły te miejsca na Spiziu. Postarały się, żeby tam ściągnąć różnych turystów, młodzież wesołego typu, przystojnych i dowcipnych wisusów z „polskiej strony“, artystów cygańskiego pokroju, literatów i dziennikarzy. Czarujące miejsca tateczne odrodziły Xenię fizycznie. Lubiła chodzić

do Popradzkiego jeziora i zapatrywać się godzinami na Gerlach, Łomnicę, albo Rysy. Lubiła błąkać się z kimkolwiek po niezmiernych lasach, spływających w Wielką dolinę. Odbywała dalekie spacery z Łomnicy aż do Szczyrby, często nocami — w towarzystwie byle kogo, bo zawsze w milczeniu. Kochała kwiaty i nigdy niekoszone łąki leśne tameczne, które słońce południowe hoduje od wieków. Często na ławeczce w lesie spędzała długie godziny, patrząc się w czarujący pejzaż wielkiego rozdołu.

Opiekunki liczyły na to, że na jesień tego roku uda się wywieźć Xenię do Paryża. Ale kiedy raz w rozmowie wspomniały przelotnie o Paryżu, zlekły się obiedwie. Stała się blada, dzika i zła. Ponuro zajaśniały jej cudne oczy, gdy je wlepiła w panią Lentę. Rzekła do niej właśnie, że już nigdy, przenigdy do Paryża nie pojedzie. Coś niejasnego dodawała o tem, że Ryszard musiał się błąkać w ulicach tego miasta, szaleć z męczarni i aż do śmierci dochodzić dzięki pewnemu listowi. Coś jeszcze dziecinnego gaworzyła o tem, iż ona teraz pokutuje na tych samych ulicach, chodzi za nim krok w krok, gdzie tylko był, gdzie tylko był... Tam gdzie ją podpatrywał, gdzie ją ścigał, gdy jechała w automobiliu z jednym... Znowu spojrzała na panią Lentę, i uśmiech niewiarygodnej w tem dziecku mściwości zajaśniał w jej twarzy.

Trzeba tedy było z tym projektem Paryża — raczekać.

W karnawale dopiero następnego roku Xenia zdecydowała się zdjąć żałobną czarną suknię i włożyć jasną... Stało się to w dniu koncertu znakomitego skrzypka, który w „przejeździe“ Kraków odwiedził. Po koncercie pewna grupa osób ze świata sztuki, literatury i dziennikarstwa, zbliżona do pań Lenty i Sabin, otoczyła Xenię i niemal przemocą zabrała na tak zwaną bomblerkę. Xenia w tym czasie była już nieco mniej przygnębiona. Towarzystwo dwu starszych pań, zawsze wesołych, a tyle jej przyjaznych, starania ojca i żywy świat młodości, którym ją wciąż otaczano, — zrobiły swoje. Zaczęła na nowo spostrzegać piękno życia. Nie znaczy to wcale, żeby zapominała o Ryszardzie. W tajemnicy przed wszystkimi gotowała się do porzucenia Krakowa i osiedlenia w pobliżu kopalni „Xenia“, gdzie już wynalazła pracę dla siebie, w biurze. Tam miała żyć tak, jak tego pragnął jej zmarły. Nawet przeciwko temu dziwactwu nie protestowano, przewidując, że wkrótce minie. Muzyka dawała teraz Xenii przedziwne ukojenie. Dlatego wybrała się na ów koncert. Nie umiała się oprzeć, gdy ją namawiano na jazdę do modnej restauracji, — dała się zagarnąć.

Nie zdawała sobie z tego sprawy, że młodzież, która ją teraz wciąż, jak rój pszczoł, otaczała, krąży tak pracowicie około milionów, których cyfrę fama, waleśająca się próżniaczko po obszarach galicyjskich, conajmniej w dwójnasób powiększała. Nadto Xenia była piękna, teraz szczególnie, w swem zasłuchaniu się w echo zaświata, w głębokiej zadumie o sprawie, nie dającej się nigdy przemyśleć. Tak dawniej dbała

o efekt swej powierzchowności, teraz niewiele na to zwracała uwagi. Stroili ją opiekunki, panie Lenta i Sabina. W gronie młodzieży, która napelniała łóżę podczas koncertu, widziała znajomych z Łomnicy i wprowadzonych po raz pierwszy. Nie czuła teraz wcale dawnych tajemnych dreszczów na widok wchodzących lowelasów. Rozmawiała uprzejmie, śmiała się i bawiła, ale zewnątrz. W głębi niej był ów skurcz, który się mścił za każdą chwilę zapomnienia o „nim“. W ustach słowa, sądy, opinie, nawet żarty — a w sercu inny bieg uczuć, inne logiczne przesłanki i wnioski. Nikt nie widział i nie był w stanie dostrzedz częstych dreszczyków, które ją wskroś śmiechu przebiegały, ani pewnych szczególnych przy-mrużeń oczu, gdy, na pozór obojętnie, w przestwór patrzała. Spojrzenie jej widziało wówczas jakiś szczegół z kraju wspomnień, — który właśnie ukazał się i żałośnie znikał w swym grobie... Oto muzyka. Cudowny brzmi ton skrzypcowy. Sama go słyszy i wszyscy go słyszą. Skądże po za nim ów cichy szept z daleka nadlatujący, lament bezlitosny?...

Jednej rzeczy nienawidziła — to powłóczystych i ad hoc sfabrykowanych spojrzeń namiętnych, które ją ze wszystkich stron napastowały i goniły. Oczy jej cofały się teraz, unikając zbrodni miłosnego spojrzenia. Nie czuła przecie sympatyj do nikogo i raczej wstręt żywiła do mężczyzn, niż sympatyę. Tymczasem „młodzież“ z tem właśnie się nastroczała. Każdy z wchodzących od tego rozpoczynał rozmowę, że rzucał w ofiarę ów harpun spojrzenia. Byli to wszystko ludzie wypróbowani w sztuce „zdobywania kobiet“.

przeważnie malarze, rzeźbiarze, poeci — kwiat i chluba Krakowa. Wśród nich rej wodził młody malarz Leszek Śmici, który, jak wszyscy niemal polscy malarze, a jest ich wiele tysięcy, był „artystą z bożej łaski“, — „dużo umiał i widział“, ocierał się o wszelkie tajniki sztuki „na zachodzie“, a nadto miał swoją własną metodę wyrażania absolutu za pomocą cynobru, kobaltu i kremserwajsu. Był to prześliczny jego-ność, ciemny brunet z niebieskimi oczyma. Wspaniałe włosy, odczesane z jednego boku i białości czoła, czarną kaskadą spadały aż na wyświechtany kołnierz surduta. Artysta ten drwił z życia i śmierci, z praw i obyczajów, z cnót i występków. Był najzupełniej „z tamtej strony“. Znał tylko sztukę. Mówiono, że z kobietami postępował nieco za surowo, z niektórymi — nawet okrutnie. Jeżeli brak mu było pieniędzy, co się niezbyt rzadko zdarzało, a spostrzegł w ręku znajomej portmonetkę, obarczoną nadmiarem banknotów, brał „to“ do ręki z żartów dla obejrzenia powierzchni, — z żartów przerzucał zawartość, sztydził dowcipnie z burżujstwa, wreszcie chował wyżwziankowaną portmonetkę do swej kieszeni, mówiąc: — Pani ma tego męża, (ewentualnie — brata, albo matkę), — a ja co mam? Długi! Teraz mi akurat dyabelnie potrzeba na zapłacenie jednego burżuja... Da Bóg doczekać, to się to pani zwróci z podziękowaniem... — Oczywiście uchodziło to wielokrotnie pięknemu figlarzowi. Życiorys jego pełen przygód tego rodzaju. Najcharakterystyczniejszym jednakże w życiorysie tego zawadyaki był pewien zakład wygrany w Paryżu Pito w knajpie. Mieszkała w tejże dziel-

nicy sama jedna młoda panna, polka, studująca coś tam w Sorbonie. Była ładna, ale głupio skromna i nad potrzebę—zastrachana. Nie знаła się z nikim z kolonii polskiej, zajęta wyłącznie swemi studjami. W gronie genialnych artystów knajpujących mówiono o niej. Stał gruby zakład. Leszek Śmica podjął się pójść o tejże nadrannej godzinie do nieszkowania owej panny w wiadomym celu. Istotnie zaraz poszedł. Zadzwoił do drzwi kamienicy. Gdy odźwierni pytali go, do kogo idzie, wymienił nazwisko owej panny i jakieś podał legitymacje przekonywające, bo go wpuszczono! Przyszedł do jej drzwi i zakolatał. Gdy przybiegła wystraszona, pytając, kto się dobija, Śmica wymienił jakieś tam nazwisko i żądał, ażeby go do siebie wpuściła. Oczywiście, skromnisia z przerażeniem odpowiedziała mu przez drzwi, że go nie zna i żądała, żeby natychmiast precz się wynosił. Wówczas Leszek zaczął walić w jej drzwi, kopać w nie nogami, łomotać. Owa panna w strachu uciekła do swego łóżka i nie już nie odpowiadała. Wówczas artysta zemścił się za jej upór w sposób wyrafinowany. Mianowicie — zostawił pode drzwiami owej polskiej wiochły dowód tak niezbity swojego tam pobytu w nocy, że nikt nie miał wątpliwości o hańbie panny. Zeszedł spokojnie i wrócił do kompanii... Nazajutrz pannicę wyrzucono z domu z betami i długo, zapewne, musiała szukać w Paryżu lokalu osoba, mająca tak nocnych (nie) znajomych.

Ów Leszek Śmica zagiał obecnie parol na smutną wdówkę, Xenię. Postanowił przygarnąć i ogarnąć damulę wraz z jej walorami i całym smętkiem. Lecz,

że nie on jeden powziął w tym czasie takie postanowienie, więc sprawa była dosyć zagmatwana. Drugim z najbardziej zdążających do tego celu był poeta Wacław Jaktor. Był to człowiek nieco schorzały, przesiąknięty „kulturą łacińską“ tak dalece, iż literalnie cuchnął cytatami. W każdej rozmowie wychodził stamtąd, albo tam wracał. Wciąż miał na ustach *Tête d'Or*, albo *La Ville Claudel'a*, przytaczał *Jammes'a*, *Peguy*, *Retté...* Już na koncercie egzaminował Xenię z tych autorów. Miała nieszczęście wspomnieć o innych pisarzach, których lubiła. Wtedy z dzikim ferworem począł walczyć z krytykiem Andrzejem Suarez'em, szczególnie za jego rozprawy o Stendhalu i Dostojewskim. Xenia w nieuctwie swem sądziła, że ów Suarez jest może obecny na tymże koncercie, skoro tak rozjusza poetę. Jak gdyby dla uśmierzenia swego gniewu Jaktor wydobyl małe tekturowe pudełeczko, otworzył je i ukazał wewnątrz szaro-srebrzyste pigułki. Podsunął to Xenii.

— Co to jest? — spytała uprzejmie.

— Haszysz... — odpowiedział poeta z niewymowną naturalnością.

Ona uśmiechnęła się i przecząco potrząsnęła głową. Po chwili przyszło jej na myśl dziwaczne zachcenie... Nachyliła się, niby to oglądając pigułki i przytknęła od spodu w to pudełeczko, aż cała jego zawartość rozsypała się po łożu. Przeprosiła za ten swój wyskok bardzo grzecznie poetę, mówiąc z nieśmiałym uśmiechem, że jej taki uczynek podszeptnięto...

Poeta się obraził, — z lekka zresztą. Ale wtedy spytała go z uprzedzającą, niską pokorą:

— Proszę pana, chciałam o jedną rzecz pana zapytać...

— Słucham, pani.

— Dlaczego pan nic nie robi?

— Ja nic nie robię! Ależ, pani! któż pracuje, jeżeli nie ja?

— A co pan robi?

— Jestem... lirykiem... — rzekł z bolesną samokrytyką.

— Ja się dziwię...

— Czemu się pani dziwi?

— Że pan jest taki, z temi pigułkami... pan na mnie sprawia wrażenie człowieka, który nic nie robi. Pan musi być bardzo lęklivego usposobienia. Ale może się mylę...

Poeta patrzył w nią oczyma, w których malowała się bezdenna nienawiść. Wnet jednakże schował ten nastrój. Przybrał zwykły wyraz, wyraz zawrotnej melancholii. Xenia patrzyła na niego z pod oka i rzekła bardzo cicho:

— Prawda, panie, że ten pan Leszek Śmica to jest demon korytarzowy?

— Nie wiem nic o panu Śmicy.

— Ja także.

— A dlaczego pani tak go nazywa?

— Ja go się o jedną rzecz zapytam... — szepnęła.

— Panie! — rzekła do Śmicy

— Słucham!

— Czy pan znał jedną panią, nazwiskiem Wanda Orlińska?

— Bagatela! Pani Wandulka! Cudo mężatka!

— Pan pamięta, jak to ona chorowała na zapalenie płuc w hotelu, w Warszawie? Przyjechała wtedy pierwszy raz do Warszawy i zachorowała. Sama mi to mówiła. Pan ją jeden jedyny, pocziwy znajomy, odwiedzał w tej chorobie. Pana jednego tam znała, do pana się zgłosiła listownie w tej swojej biedzie.

— Pani! Rumienieć się... Pragnę być cnotliwym w ukryciu. To moja zasada.

— Prosiła wtedy ta biedna Wanda, żeby pan jej przyniósł z apteki lekarstwo. Dała panu w rękę do zmiany sto rubli z tem, żeby pan zapłacił za lekarstwo i zmienił te pieniądze, — prawda?

Śmica patrzył w Xenię jastrzębiami oczyma, bez zmruczenia ich na chwilę.

— Chce pani powiedzieć, że ja wtedy tej pocziwej pani Wandulce owe sto rubli... I że mnie ani oko, ani ucho... O to chodzi?

— Ależ nie! Właśnie, że nie o to chodzi. Tamto oczywiście, ona i tak wyzdrowiała. Prawda? Pan jest demon nie tylko korytarzowy...

Śmica odgarnął z czoła lwią grzywę i patrzył w oczy Xenii z bolesnym wyrzutem. Po chwili usniechał się już do niej z bestyalską pokusą. Jednakże z chwili jego, bądź co bądź, konsternacyi skorzystał poeta, żeby wszcząć rozmowę na temat swej pracowitości. Zabolęła go, widąc, uwaga Xenii, że nic nie robi. Począł szeroko i długo mówić o tem, czym jest wogóle praca, zatapiać się w ten problemat, nicując

go ze strony filozoficznej i społecznej. Skończyło się, oczywiście, na cytatach z Benedetto Croce. Poeta nie mógł sobie odmówić przytoczenia jednego aforyzmu z *Cultura e vita morale*. Mówił tedy dosłownie wyrazami Croce'go: „Il socialismo? Credo che sia morto“... Stąd wychodząc, Jaktor chciał swej pięknej słuchaczce wyjaśnić rolę poety w nowoczesnym społeczeństwie, rolę pracy poety w dorobku ludzkim i udowodnić, jak dalece myliła się, mówiąc, iż nic nie robi.

Był to wszakże szczegół źle do tej rozmowy wybrany. Xenia pobladła i stawiała się coraz bardziej ponurą. To nazwisko pisarza przypomniawszy jej chwilę jedną, tak, zda się, niedawną. Czytał jej coś z włoskiej książki. Tak się właśnie nazywał ten pisarz: Benedetto Croce. Po swojemu zapalał się, dowodził, chodząc po pokoju. Nie chciało się jej wtedy słuchać. Była innemi, lekkimi myślami zajęta. Powiedziała mu to w przykry sposób, iż ją wcale nie obchodzi, co on czyta i mówi w owej chwili, — aż zamilkł. Czemuż wtedy nie słuchała? Któż wiedział? A teraz do niej coś taki oto wałkoń mówi o tem samym, a ona nic nie wie, bo go wtedy nie posłuchała. A może teraz ma do niej o to samo żal? Jakżeby go za tamtą chwilę przeprosić? Poczula w sobie jego ówczesny żal i swój dzisiejszy, niezwyciężony, nieprzemierzony... Zębami zagryzała na ustach jęk. Siedziała naprzeciwko poety Jaktora, który bawił się jej rękawiczką, grzecznie uśmiechnięta. Słuchała, co mówił. W pewnej chwili wtrąciła.

— Nie rozumiem tego, co pan mówi.

— Czy tak? Może powtórzyć?

— Dziękuję panu. Ja tego nie rozumiem już nigdy. Mogłam i nie rozumiałam — dodała, kiwając głową.

— Jakto?

— Bo jestem bardzo głupia... — szepnęła patrząc w przestrzeń z niezgłębioną rozpaczą.

Gdy przyjechano do knajpy, było tam już niewiele osób, Artyści — bywalcy, „panowie“ (a raczej kandydaci na panów) — zamówili gabinet na kilkanaście osób. Ruch powstał wśród lokajów. Otwarto natychmiast drzwi do owego gabinetu i zapalano tam światło elektryczne. Stół długi, wysiedziane kanapy, sztuczne palmy, ogromne lustra, porysowane brylantami dziewczek...

Krzesła tam były złożone nogami do góry na owym stole, ale je w mig ustawiono. Nakryto stół obrusem. Xenia weszła za innymi do tego pokoju i poczuła w sobie nagły przypływ wesołości. Atmosfera tej ubikacji (być może) wytworzyła w niej właśnie przypływ, nawet nadmiar wesela. Wzięła się na siłę z samą sobą i pomyślała:

— A gdyby tak dzisiaj upić się, jak bela? Jak kłoda? Nie myśleć?

Zasiadła w pobliżu pani Lenty, która ogarnęła kanapę — zapadła się w tym sprzęcie, jak w łóżku. Pani Sabina, poprawiając włosy przed lustrem nuciła:

„Więc powiem wam w sekrecie,
Bo pocóż tać mam?
Że byłam w gabinecie
Z lalusiem sam na sam“...

Wnoszono z pośpiechem i rozstawiano talerze. Starszy garson spisywał na karcie zamówienia. Xenia, gdy na nią kolej przyszła, zamówiła jakieś mięso, a po chwili dodała:

— I flaszke Roederera...

Pani Żwirska rzuciła w stronę pani Saby porozumiewawcze spojrzenie. Pani Topolewska powtórzyła strofkę swej piosenki i końcem języka oblizała górną wargę. „Panowie“, których było ze siedmiu, naradzali się między sobą bardzo intensywnie. Xenia nachyliła się do pani Sabiny i szepnęła:

— Niech ciocia da nieznacznie znać temu dryblasowi Śmicy, że ja za niego zapłacę. Jeżeli jeszcze który nie ma pieniędzy, to także...

— Ależ, Xeniu, to są ludzie z towarzystwa!...

— Ja wiem, z jakiego oni są towarzystwa. Niech ciocia się przypatrzy, jak usiłują jeden drugich naciągnąć. A żaden nie ma gotówki... Po co to?

— To nie nasza rzecz płacić rachunki!

— Ja chcę płacić za siebie i za tych, którzy są ubodzy. Przecie Śmica jest ubogi, pochodzi z jakichś łyków. Dziś się upiję, bo jestem bardzo smutna.

— A kiedyż ty jesteś wesółą, moje dziecko?...

Pani Sabina wzruszyła ramionami, lecz, ostatecznie, porozumiała się ze Śmicą. On słuchał tego ze zmarszczoną powieką, z wyrazem dumy na twarzy.

Koniec końców wzniosł oczy w górę i westchnął. Rzecz była umówiona. W trakcie tego Xenia myślała:

— Żebym to mogła poznać jakiego człowieka. Człowieka starego i dobrego, któryby znał świat nie

po naszemu, nie po babsku. Z nikim mię nie zapoznał... A teraz co? Takie wycieruchy...

Śmiejąc się do wszystkich, wesoło dowcipkując, myślała jeszcze:

— Gdy już na dobre pojedę do kopalni, zapoznam się bliżej z ludźmi i gdzieś znajdę takiego, coby mi poradził. Ci „porządni“, co ich Ryszard tak wychowywał, inżynierowie, technicy, to — po pierwsze — nudziary i prostactwo, a — po drugie — takie same karyerowicze i aferzyści, jak i ci wszarze ze świata „sztuki“. Tylko spojrzeć uważniej — wszędzie to samo.

W głębokiej zadumie stwierdziła przed samą sobą:

— On to był jakoś inny. Ale też zrobił: — pociągnął mię ku sobie, a teraz zostawił samiuteńką. Ponauczał mię swoich sekretów, a kazał żyć wpośród tych. Jestem, jak chłopka, co to wyszła za pana. Chłopami się brzydzi a państwo się nią brzydzą. Żyj, jak chcesz.

Przyniesiono na wielkiej tacy hors d'œuvre'y, kanapki, rozstawiono kieliszki do wódek i koniaków. Xenia wypila dwa kieliszki. Obok niej zajął miejsce Leszek Śmica, naprzeciwko był poeta Jaktor, dalej siedziała królowa snobinetek, żona dziennikarza Horna, która do szafu, do ostatnich granic ekstazy uwielbiała wszystko, będące niejako na kadencji mody w muzyce, malarstwie, na scenie. Dalej siedział w milczenie i zajądanie pogrążony znakomity publicysta Horn, dalej, już w sferze wpływów pani Lenty, pewien obiecujący kompozytor muzyczny Wannicki, — pod okiem zaś i pod ręką pani Sabiny łysawy po-

wieściopisarz Strawski, wreszcie kilku młodych ludzi, dobijających się sławy w dziedzinie już to malarstwa, już literatury. Nazwiska tych były poplątane i, w ustach znakomitego poety Jaktora, przeskakiwały z osoby na osobę, — o co się tamci nie gniewali. Początkujący wielcy ludzie. Gdy podano potrawy, Xenia piła kieliszek za kieliszkiem, które jej Śmicia napełniał. Rozmawiała z nim o wszelakich rzeczach, zdając sobie wciąż sprawę, że oto pod wpływem wina wewnętrzne jej zmory przycichły. Oddaliły się od serca uciski. W pewnej chwili z dzikością pomyślała:

— Już to trzeba przyznać, że on mię oduczył wesołości! Literalnie wypruł ze mnie wesołość!...

Pierwszy raz od śmierci Ryszarda myślała o nim w formie on, nie w formie ty... Przypomniało jej się, że dopóki była sama i, zanim się w nim tak zakochała, świat dla niej był istnym cyrkiem. On ją chwycił na tę swoją wędę, jak wolną rybę z wartkiej rzeki. Zaczęły się smutki miłości. A teraz co? Świat — to cmentarz. A teraz co? — Umarł!

Podniosła do ust płaski kieliszek i chciwie ciągnęła złoty płyn. Zobaczyła w wielkiem lustrze odbicie swojej postaci i pierwszy raz od tylu czasów z rozkoszą i uwielbieniem dawnem przypatrzyła się sobie. Przegięła niepostrzeżenie głowę, dostrzegła nieposzlakowany zarys profilu swej twarzy... I oto żywiej, niż od płynu zagrała w niej dawna radość na widok piękności wizerunku oblicza.

— Brakuje mi to czego? — pomyślała.

Rzuciła brylantowy błysk spojrzenia po tych mężczyznach i uczuła w sercu kobiecą chciwość

rozkoszy. Wtedy właśnie Śmicia pokazywał jej jakiś rysunek w d'Art Decoratif, które miał za sobą. Nachylił się, zasłonił zeszytem pisma róg stołu. W tej samej chwili, jego ręka prawa spoczęła na kolanie Xenii. Palce tej ręki poczęły zbierać w fałdy suknię i unosić ją coraz wyżej. Odsunęła się od niego, lecz ociężała i zwolna. Och, jakże to dawno nie doświadczała przejmującej śmiertelnej rozkoszą męskiej pieśszoty! Myśli jej były teraz rozigrane i jakieś świętokradzkie:

— Zdaje się, — myślała, — że to Ryszard tak wyprawiał z Lentą, czy z Sabą w powozie. Ciekawam, czy z obiędwiema naraz...

Gwar rozmowy stawał coraz żywszy, coraz głośniejszy. Strzelały korki butelek i wino spływało w przezroczyste kielichy. Poeta deklamował pani Hornowej jakiś wiersz francuski. Xenia zwróciła się do Śmicy i patrzyła mu w oczy tak bezczelnie, że aż w tych zimnych źrenicach istnego jastrzębia coś zamigotało. Patrząc tak ciągle, rozmyślała:

— Gdyby też zapomocą takiego środka można było usunąć go, zepchnąć ze siebie, wytrącić z piersi... Przecie umarł! Czyż na zawsze mam być jego niewolnicą?

Głośno rzekła:

— Czy to pan i portrety maluje tymi kubami?

— Panią? Ależ!

— O broń mię, Boże, od pozowania!

— Namalowałbym panią najstarszym mydlarskim sposobem, zupełnie, jak dziadzio Ingres. Nawet mógłbym tak, jak on to „Źródło“... U spodu wysta-

wilbym dobrze „trafionego“ kotka z jednej strony, a z drugiej strony myszkę. To byłoby coś „tak ślicznego“, że pani Hornowa dostałaby drgawek z zachwyty. Drgałaby przez cały czas jesiennej wystawy.

— Ileż to mógłby kosztować taki konterfekt?

— Nie pójdziemy o to do wójta! Jak na jedyną w tym kraju milionerkę, — powiedzmy...

— Milionerkę! Czasz mamy ciężkie! Czy pan tego nawet nie odczuwa, że mamy finansowe przesilenie?

— Ja nie odczuwam finansowego przesilenia? To jest jedyna rzecz, którą odczuwam do gruntu, do ostatniej kurtki, którą odczuwam jak nikt w tym kraju.

Pito coraz bezładniej. Młody muzyk począł odwalać na pianinie swe kompozycje, — któryś z literatów chciał uczynić zadość życzeniu pani Lenty i przesiąść się na kanapę. Ale że trudno było dostać się tam drogą naturalną, więc przemycił się pod stołem. Trwało to bajecznie długo, gdyż przejście obfitowało w przeszkody. Gdy się wynurzył między damami na kanapie, był rozczochrany, jakby wracał z wycieczki na Orlą perć. Xenia śmiała się do rozpuku, pokładała się od chichotu, — na pozór z tego, że ów literat przekradał się pod stołem, — lecz w gruncie rzeczy z czego innego. Oto Śmicia stawał się beczelnie odważnym. Literalnie nie mogła obok niego siedzieć. Znajdowała, że to jest ordynarne i chamskie, lecz czuła, że ją wino zupełnie rozkleiło.

Wtedy to, wśród śmiechu, tarzając się na poręczu kanapy, uczuła, że ją przeszywa straszliwe zimno, jak gdyby cienki sopel lodu, drżący a przenikliwy, niby szpada, wbijał się coraz wyżej w jej stos pacierzowy. Chwyciło ją omdlenie i niewytłomaczony niepokój. Zerwała się z miejsca i powiedziała, że się czuje niedobrze. Śmicia zrobił jej zaraz miejsce. Szła ociężałymi krokami do drzwi gabinetu, czując, że ów sopel lodu znowu, lecz teraz ze zdwojoną siłą, przebija ją na wskroś. Gdy doszła do drzwi, Śmicia ją podtrzymał, gdyż byłaby upadła. Objął ją troskliwie i wyprowadził do sąsiedniego gabinetu, gdzie było ciemno. Tam usiadła na jakiejś sofie. On obok. Podtrzymywał ją i uspakajał czule, łagodnie. Była pijana i doznała rozkoszy złudzenia, że to Ryszard jest obok niej. Chciała coś powiedzieć, jak do męża, wytłomaczyć mu, co jej jest, — gdy wtem po raz trzeci zimno nią zatrzęsło, osiadło w ramionach na długą chwilę i osaczyło czaszkę, niby korona z lodu. Otrzeźwiała zupełnie.

Świadomość tego, co ona tam robi, gdzie jest i z kim, ścisnęła ją za gardło. Rozpacz sroga, dzika, ślepa, bezdenna!

Śmicia przechylił jej głowę i do ust zbliżył swe usta. Policzek odtrącił go daleko. Całe towarzystwo było już w tym punkcie zabawy, że odgłos policzka wywołał szaloną uciechę. Rozległy się oklaski, okrzyki radosne, rubaszne dowcipy. Porwano się od stołu i ze śmiechem śpieszono na ratunek...

Tyfus, który nazajutrz lekarze stwierdzili w organizmie Xenii, musiał ją od dawna nurtować. Pan Granowski sprosił specjalistów, a ci na konsylium orzekli o niewątpliwości tej właśnie choroby. Przeniesiono wdowę do zakładu, do cichego pokoju, którego okno wychodziło na cichy ogród. Białe miała łóżko i biały koc na nogach. W oknach ciężkie firanki, zapuszczone nocami aż do dolnej ramy...

Było jej tu jak gdyby lepiej, niż tam, gdzie stale mieszkała. Nie chodziła już ciemnymi jaskiniami swego podziemia. Nie tęskniła. Wielkie bóle głowy zamykały jej oczy, odwracały wzrok w jakoweś inne dziedziny i postronnymi, przymusowymi obrazami napełniały widnokrąg.

Popłoch się uczynił wśród młodzieży. Szerzyły go dwie przyjaciółki, które tyle sobie obiecywały po nawróceniu się smętnicy. Codzień przychodziły w odwiedziny, lecz nie zawsze je wpuszczano. Jeżeli której z nich wolno było wejść do pokoju, to tylko do jego środka, mało gawędzić i bez podawania ręki. Siedziały tedy w rozmownicy domu zdrowia, biorąc sobie do asysty we współczuciu to tego, to owego z młodych ludzi. Panowie nie byli dopuszczani przez lekarzy do pokoju chorej. Stan jej był bardzo ciężki. Gorączka stała i wielka. Towarzystwo, wyczekujące na wiadomości w poczekalni, badało w sposób bezowocny przyczyny i miejsca możliwości inkubacji tej choroby. Przychodzono do wniosku, że pacjentka musiała napić się wody, gdy sama jeździła do kopalni, co przedsiębrała ostatnimi czasy dosyć często. Na

ten temat ogłoszono różne roztropne zdania i czyniono słuszne uwagi.

Z rzeczy swych Xenia nie miała w tej separatce prawie nic. W szafie trochę bielizny — na wieszadle futro-rotundę, w którym ją tutaj przywieziono — miękkie pantofle przy łóżku. Tylko w szufladce stolika przechowywała jedną jedyną pamiątkę po zmarłym mężu — srebrny worek podręczny, a w nim schowany testament.

Jednej nocy gorączka podniosła się do najwyższego gradusa. Xenia leżała na wznak. Rozwartemi oczyma patrzyła w sufit. Sufit był ciemny, obcy. Tylko jeden biały promyczek lampy elektrycznej, jarzącej się na korytarzu, przedzierał się wskrós górnej we drzwiach szczeliny. Na tym promyczku, jakby na haku, zawisł wzrok. Teraz dopiero wszystko ujrzała. Ten to jej maleńki w ciemności promyczek wszystko rozświetlił. Rozum w ogniu wewnętrznym, jak gdyby przepalił się, spopielał. Nastąpiło zwolnienie i odprawa biegu myśli. Ich miejsce zajęła głęboka i wszechwidząca zaduma. Jakoweś przymusowe, natrętne, niezwalczone obrazy dane zostały pamięci do wszechstronnego rozpatrzenia. Wyobrażenia stała się widzącą wszystko na świecie i w głębiach. Tuman widzeń płynął, jak chciał i dokąd chciał. Niepojętą była szybkość oglądania zjawisk, stanów i niepowstrzymaną była przenikliwość dostrzeżeń. Wszystko się otwarło i wszystko było dostępne. Xenia pojmowała światło księżyca, które stało tej nocy w przestworze, i miała przed sobą życie ziemi, jakiekolwiek i gdziekolwiek było. Czuła za drzewa nieruchome

i wiedziała, czego doświadczają. Obejmowała pamięcią wszystkie rzeczy minione, o które tylko w locie swym potknęło się jej wspomnienie. Miała w sobie nieprzebraną pełnię uczuć, wszystek ich początek, wzrost, życie, szaleństwo i upadek. Nie tylko swoje wzruszenia ogarnęła niezwalczoną władzą pamięci, lecz także wszystko, co za żywota swego przeżył, on, przechodzić...

Mówi się, iż był to symptom choroby, znak tej tajemniczej sprawy, która się w zdrowym organizmie dokonywała. Mówi się, iż choroba nie jest nigdy jakimś izolowanym, samoistnym procesem natury, lecz tylko szeregiem częściowych zmian w zajęciach fizjologicznych organizmu. Lecz z jakichże źródeł niewiadomych i dotychczas nieistniejących w tym organizmie wytrysły fale przedziwnej, pozarozumowej pojętności? Co nadało duszy ten czarodziejski przywilej, iż mogła widzieć zajścia tak niesłychane, scenę wstrząsającą, aż do najgłębszej istoty uczucia — boskiego dramatu swojego na ziemi bytowania? Z podziwem i srogiem wzruszeniem zaciekawienia Xenia patrzyła na przygody, które były tak bezwzględnie obce i nowe, nigdy się i nigdzie nie wydarzyły, a przecie kędyś, stokroć pewniej, niż jakakolwiek rzeczywistość, zostały dokonane, — w nieprzemierzonym ogromie ducha, czy we wszechmądrym miłosierdziu Boga...

Była to widna, księżycowa noc wczesną jesienią — we Francyi. Jeszcze drzewa nie utraciły liści, ale już je zatruł jad skonu. Zamglone światło księżyca nieruchomo leżało na gałęziach wysokich sokor i to-

poli. Stary był ów otoczony murem ogród willi z ośmnastego wieku — w Chaville pod Paryżem. Mur niezbyt wysoki, gruby, z poczerniałej cegły, na szczycie swym okryty rzęsiście wmurowaną w cement ostrą szczecinią z tłuczonego szkła. Ten najeżony, zębaty wierzchołek ogrodzenia połyskiwał w świetle księżyca tysiącem igieł, nożyc, pił, haków...

Toż to ona sama — nazwiskiem niegdyś Gradowska, imieniem Xenia — mieszkała w tej starej i bogatej willi w Chaville z mężem swym, czy kochankiem, malarzem Leszkiem Śmicą. Taki porządek przyszłości ukazało widzenie. Czemu taki a nie inny? Któż to zrozumie logikę snu? Tam na rogu, w prawem skrzydle jest pracownia nowego „pana“ — szeroła galerya z górnem światłem, zawieszona gobelinami i dywanami, tak ciekawa dla zgromadzonych przez znawcę bronzów, zbroi, makat, sztychów, rzeźb, zabytków, japońskich i etruskich waz...

W drugim skrzydle mieści się mieszkanie „pani“. W te to okna pada światło księżyca. Ciemne żaluzye, spuszczone aż do samej dolnej ramy, nie przepuszczają blasku, to też on trwa odbity i uwięziony w szybach, niby w lustrze. Ciemno w pokoju. Tylko jeden mały na suficie promyczek o wszystkim powiada...

Skąd Ryszard wyszedł i jakimi dąży drogami, tego rozumem nie wiedziała, gdy nie mogła się zdobyć na żadne przypuszczenie. Spozrzęgała go dopiero wtedy, gdy się przedzierał w dali poprzez rowy, zarosnięte trawą, rzęsą i skrzekiem, pełne rudej wilgoci i niskiego tataraku, — gdy przesadzał kolczaste

ploty cudzych warzywnych ogrodów, — gdy się darł przez żywopłoty berberysu i dzikiego agrestu. Słyszała wciąż jego kroki, chlupanie błota i szelest, szastanie się, szurganie butów. Miał na białiznie tylko płaszcz, więzienny, zakonny, czy żołnierski, i długie polskie buty, wdziane na bosc nogi. Tak długo dążył do tego domu, wędrowiec samotny, błędny tułacz, odszczepieniec od wszystkiego. Ludzie go nie zrozumieli, ukamienowali swą głupotą. Noc go smutna zaskoczyła w pielgrzymstwie...

Ale oto wreszcie trafił na mur, okalający willę i ogród, na mur, którego dachówką jest nieszczędnie rozsypane tłuczone szkło. Przyszedł od tyłu posesyi i — nic dziwnego — nie znalazł tam bramy, ni furtki. Czuła wszystkimi jego czuciami, i łoskot jego strudzonego serca miała w swej piersi, ponieważ wszystko tej nocy i za wszystko wiedzieć mogła. Wsparł się na zimnym, cudzym murze. Widziała jego oczyma, gdy patrzył w okna jej sypialni, gdzie mieszka, jako Śmicy kochanka. Och, światło, światło księżycy, padające w okna Xenii, cudzej kochanki! Och, światło, światło! Leżało na szybach nieruchome, niezmiennie, lśniło nieporuszone, — obraz przemocy, której nic złamać nie może. Podniosła się w jego piersiach waleczna moc przeciwko temu zwierciadłu potęgi szatana na ziemi, boleść zbyt wielka, ponad możność objęcia i zniesienia przez serce człowiecze. Nieprzebragany anioł złego ukazał jego żrenicom w tych białych szybach szkła, w tem lustrze zapomnienia, dowód swojego tryumfu. Xenia słyszała ciszę tamtego ogrodu i patrzyła na dzieje uczuć, idące

wpółśród niezmaconego milczenia. Ręce jego przerzuciły się poprzez ten mur i piersi podały naprzód, ażeby go przesadzić, ale ciężar świadomości o dokonaniu przeważył wszystkie siły ciała. I tak oto zwisły tu i tam, z głową nisko upadłą na stronę ogrodu, samotny potępieniec został przewieszony na murze w swojej bezdennej niedoli. Być może, iż tam wylewał nędzne łzy, być może, iż zaklinał ludzkie czucie, ażeby już na zawsze znikło i odeszło z jego duszy. Być może, iż wzywał Boga. Dopiero późno — późno w nocy, gdy cisza stała się tak głęboką i zupełną, jak jego ostatnie potępienie, podźwignął ciężkie kowadło głowy, podparł je rękami i patrzył w białe szyby sypialni. Czekala na to, co jeszcze uczyni ten nocny gość. Jak złodziej wciągnął się na mur, odchylił swój zbrudzony płaszcz, zakonny, czy żołnierski, i na wznak położył się na tłuczonym szkłe. Zrozumiała, że, zaiste, tylko to jedyne... Uczuła, jak się wrzynała w niego ta podobizna włosiennicy. Patrzyła z rozkoszą na jego usta i oczy, zwrócone w wysokie niebo. Tarcza księżycy zaniesiona była wiotką, nieruchomą mgłą o kolorze miedzi. Wszystkie wichry myśli z czterech stron świata były teraz w tej jednej głowie. Gdy krew spływać poczęła po chropawości muru, czuła za niego wszystko, od krańca do krańca, od poddmuchów szaleństwa aż do obłudnej cichości pociechy, co gąbką z octem zwilża wargi. Słyszała, jak te wargi szepcą:

— Już niema mnie w jej sercu. Przyszło już zapomnienie i podłość zdrady. Serce moje jest w niej na wieki, a miłość moją wiernością w pustce. Bądź

błogosławiony za wszystko, com zobaczył i przecierpiał!

I zobaczyła sprawę najprzedziwniejszą — zarazem przebaczenie i zarazem samotną miłość wiekuistą.

Wtedy poderwała się w sypialni swej, jakby ptak przez świtanie ockniony. Cichy, radosny śmiech zaniosł się w jej sercu, jak za dawnych, pradawnych godzin dzieciństwa. Szeptała:

— Jestem niewinna, Panie! Ty widzisz sam duszę moją. Ani na jedną najkrótszą chwilę nie przestałam miłować tego człowieka. Ale otaczały mnie pokusy wewnątrz mnie samej i tyle zdrad, tak wielka pełność grzechów. Nie wiedziałam, co jest grzech, a co cnota.

Wstała. Na palcach zbliżyła się do okna i uchyliła ciężką, czarną żaluzję. Gdy w szybach poruszyło się odbite światło księżyca, coś stało się w ogrodzie. Nie mogła zrozumieć... Zeszła po ciemnych schodach, minęła czarne pokoje. Bez szelestu poruszyły się szklane drzwi na dole. Blask łamiący się w nich znowu coś strasznego wywołał w ogrodzie. Zeszła tam w towarzystwie Teresy Neville, która czekała na dole. Szły obiedwie poprzez ten sad bezszelestnie z palcami na ustach, żeby się najłżejszym ruchem nie zdradzić. Poruszały się między martwymi drzewami tak cicho i niepostrzeżenie, jakby były dwoma pasmami mgły. Zobaczył je przecie białe i napół wyraźne, istne upiory, gdy mknęły uliczką ogrodu.

Dostrzegł, że u wylotu ciemnego szpaleru całują się, jak wówczas w mroku ulicy Notre-Dame des Champs i jak kiedyindziej na tle kościoła Madeleine.

Nie poruszył głową, ani ręką nie skinął. Leżał w cieniu olbrzymiego drzewa topoli niewidzialny, mroczny, martwy. Było teraz tak, jakby o jego bytności nie nie wiedziała — było tak, jak zawsze, gdy się znalazła w towarzystwie Teresy. Weszły obiedwie do altany, ocienionej czerwonymi liśćmi dzikiego wina, skryły się doskonale i poczęły rozmawiać. Zawsze z nią było tak rozkosznie, tak dobrze i wesoło rozmawiać! Teresa wiedziała tyle rzeczy niedostępnych, spraw i sprawek tajnych dla młodej kobiety — wiedziała doprawdy wszystko o kobiecie i wszystko o mężczyźnie — znała się na zachodach, podstępach, przespiegach, pułapkach, na oszustwach i zdradach mężczyzn — umiała w każdej okoliczności rozpoznać manewr każdego z nich i w tej chwili oceniała bez błędu „jaki to jest nowy rodzaj zwierzęcia“. Od błysku oka zdolna była przeniknąć rodzaj ponęty, jakoś zamysłu, siłę napęci i miarę łotrostwa mężczyzny przeciw kobiecie — a nadto władała olbrzymim zasobem wiadomości o mamidlach i oszustwach miłosnych, o rozkosznych i powolnych truciznach, jakimi kobieta ma się bronić przeciwko niemu. Zresztą posiadała przez swe życie wiedzę o rozkoszy we wszelkich jej postaciach i gatunkach, sekretną znajomość tajemnic. Na każde pytanie miała odpowiedź zdumiewająco nieomylną. Była, jak wyrocznia.

Ryszard zawołał z cicha:

— Xenia!

Poprzez tyle dni i tyle nocy, poprzez takie morze żalu, z za siedmiu gór i siedmiu rzek tęsknoty odezwał się ten głos żywy, zabrzmiał w uchu. Tak znowu było,

jakby się dopiero w tej chwili dowiedziała o jego tam obecności. Westchnęła... Podeszła cicho, ze ściskaniem w sercu i rozkosznym spazmem w łonie. Ujrzała oczyma jego oczy żywe i patrzyła twarzą w twarz — o senna rozkoszy! — w zaginione swoje szczęście. Oparła łokcie nagie na szklach tego muru i dłońmi objęła jego głowę, ażeby ją lepiej zobaczyć. Samą oto miłość swoją w rękach swych trzymała. Kołysała ją łagodnie w dłoniach. Syciła oczy widokiem włosów, czoła, oczu, ust, zarysu twarzy — aż do omdlenia, aż do szału, do zatchnięcia się, aż do śmierci. Z cicha, w tajemnicy przed śmiercią, przywarła ustami do ust i zapamiętała się w pocałunku jednym i nierozdzielным na wieki wieków. Ten pocałunek sam jeden był oczywiście świadectwem prawdy, pieczęcią niezłomną, herbem wierności.

Lecz oto nagle on oderwał usta i twardo zapytał o Leszka Śmicę. Nie odjęła palców od jego włosów i nawzajem zapytała:

— A ty skąd idziesz?

— Ja? Stamtąd... — odrzekł niedbale, wskazując ręką na dom w oddali, gdzie świeciły się okna, przesłonięte firankami.

— Stamtąd?... — jęknęła, czując, że nogi uginają się pod nią, i że piersi nie mogą już złapać ani jednego tchu.

Oparła się plecami o mały pień octowego drzewa, ażeby nie upaść na wznak. Zadrżało pod jej ciężarem to małe drzewo, zatrzęsło się gałęzmi i wszystkimi liśćmi. Uczuło boleść jej ciała to niedorośle drzewko i długo dygotało zwisłymi liśćmi. A nie zlitował się —

on. Dowiedziało się nareszcie w chwili tej serce przeżyte, czym jest miłość, i czym jest dla miłości — zdrada. Dowiedziało się serce jej, jakie było cierpienie tego Ryszarda, gdy ją podglądał w ulicach miasta Paryża. I tak oto wyrównała się miara — stanęły kędyś tajemnicze szale przedziwnej wagi. Miała w piersiach straszliwy krzyk, a nie mogła go wydać. Taki sam oto krzyk, jak ów jego, co się roztrącił o martwą ziemię. Podniosła ręce, ażeby go chwycić za włosy, ale się zsunął na tamtą stronę muru i chyłkiem uchodził. W zamglonem świetle księżycy poprzez rowy i żywopłoty, szurgając i szeleszcząc stopami po wodach i zaroślach, w ciszy tej nocy uchodził, uchodził...

Jakimże to sposobem wróciła się do tej izby straszliwej? I cóżeś to rozświetlił blady na suficie promyku? Cóżeś pokazał?

Zerwała się z łóżka. Usiadła. Sama jest w tym pokoju. Niema go! Poszedł! Chciała krzyczeć... Nie mógł! Ciężar na piersiach głos dusi. Ach, więc to tamten plugawy grzech tak się zemścił straszliwie. I zemstę rzucił jej na piersi. Odszedł. Pozwoliła nygusowi, pierwszemu z brzegu, podgiąć swą suknię i głaskać rękami kolana... Tak! To jest prawda! Pozwoliła mu beczelnie patrzeć w swe oczy i sama długo w jego oczy patrzyła. Tak! To jest prawda! Gdy ją w drugim pokoju przygarnął rękoma, gotowa była na wszystko. Czy na wszystko? Alboż wie?...

— Pójdź! Wszystko ci powiem! — szeptała w mrok, w jakimś kierunku, w kierunku, to drzwi,

to okna. — Nie masz potrzeby podpatrywać! Już tamte podstępny skończone. Sama ci powiem wszystko Bo przecie nie żyje już Teresa Neville... Czy ja zrobiłam co złego?...

Zapuşciła i uwikłała palce we włosy. Kajała się:

— Czy ja zrobiłam co złego?... Czy ja zdradziłam?

Czuła, że popelniła to wszystko, co być mogło, w sercu swem, we krwi, w żylach, w żądry. Brońiła się:

— Alboż nie miałam wtedy serca i żył, pełnych krwi i żądry? Odbiegł mię rozum... On mówił, iż to są „święte pieniądze ludu polskiego“... Na to wszyscy odpowiadali, że to jest śmieszny sankiulotyzm i doktrynerstwo. Ciskałam w tamtym szynku „święte pieniądze ludu polskiego“. Tak! To jest prawda!

Serce jej rozdarło się na dwie połowy. Głębokie jakoweś zapomnienie niweczyło myśli. Zostawał w ciele tylko żal... Żal pięknej młodości, blasku słońca, dolin tatrzańskich i ich kwiatów fiołkowych...

Wtem zadrżała od strasznego zimna, jak tamto małe drzewko w ogrodzie. Zimno! Trwoga! Szał!

Posłyszała, że Ryszard wszedł na schody. Dzwoni!

— To Ryszard! — wyszeptała, nasłuchując w śmiertelnem wzruszeniu.

Rozwartemi oczyma patrzyła w mrok. Widziała poprzez drzwi zamknięte. Skrwawiony taszczy się po schodach, ciągnie za sobą rzekę krwi. Upadł pod

progiem. Tłucze we drzwi czołem i prosi się upływem krwi, żeby otworzyła i wyszła. Przycisnęła serce rękami i słuchała. Czuła szczęście, szczęście miłości, jak wówczas w Paryżu, gdy go w Luxemburskim ogrodzie ujrzała i, jak tej nocy, gdy ją po imieniu z altany wywołał. Zgodziła się w szaleństwie radośnem iść wszędzie, dokąd tylko będzie chciał, jak tam, gdy szli bawić się w wielkiem mieście. Wyciągnęła ręce. Nie mogła dostać go, podźwignąć z ziemi. Cóż tu czynić? Zwlokła z postania ciężkie nogi i jęła po omacku szukać w szufladce stolika. Znalazła srebrny woreczek. Otworzyła go drżącymi palcami. Zaprzeczenie! Dowód! Dokument! Pokazała mu, że ma testament i że go nie uрониła. Wszystko wie i wszystko pamięta! Wie, co znaczy każda litera i każda kreska! Sama jedna to wie. I nie przeminie, nie zginie ani jeden z tych znaków!

Na chwiejnych ze szczęścia nogach poszła do drzwi. Otuliła się futrem od zimna. Szła ku niemu, ku niemu, ku niemu...

Po jakowychś ruchomych schodach, wciąż w dół, pełen lodowatej ciemności...

Szukała go w mroku ciemności...

Nazajutrz rano znaleziono ją martwą pod progiem tego pokoju. W zamkniętej dłoni ścisnęła kurczowo arkusz papieru przytulony do serca. Wieczny sen, gdy ją tam pochwycił, nie zdołał zniweczyć z jej

oblicza uśmiechu, który do innego już należał świata.
Ludzie, służący śmierci, żywiący się pracą zamykania
powiek, którzy przyszli zwłoki te ziemi oddać, musieli
przystanąć w zadumie, nim te zasunęli powieki, by
westchnąć na widok czarodziejskich źrenic, pełnych
radości do innego wysłanej świata.

KONIEC.

Wyżnie Hagi
w Lipcu 1914 roku.



58634

2,100

0,172,50

90,00

23,00

50,00

272 2437,50

60—
22/24/3284

